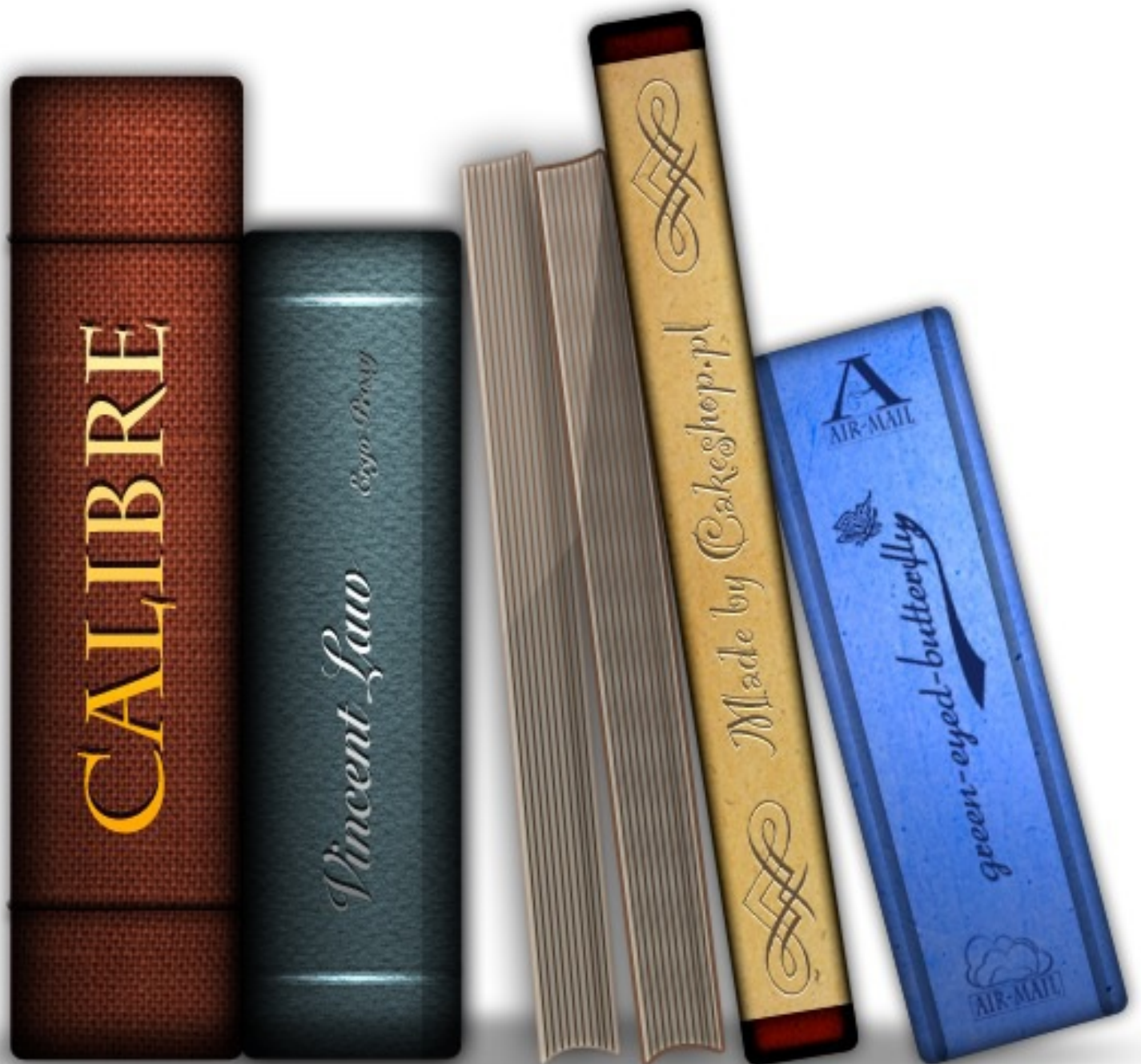


Tajemniczy pan Quin

Christie Agatha



calibre 0.8.24

Tajemniczy pan Quin

Tłumaczyła Agnieszka Bihl

Tytuł oryginału: The Mysterious Mr Quin

Rozdział pierwszy

Nadchodzi pan Quin

Wigilia Nowego Roku.

Starsi uczestnicy przyjęcia w Royston zebrali się w przestronnym holu.

Pan Satterthwaite był zadowolony, że młodzież poszła już spać. Nie przepadał za młodymi ludźmi w stadzie. Uważał ich za nieciekawych i pozbawionych oglądy. Brakowało im subtelności, a on wraz z upływem lat coraz wyżej ją sobie cenił.

Pan Satterthwaite miał sześćdziesiąt dwa lata; był lekko pochylonym, zasuszonym człowieczkiem o badawczym, dziwnie figlarnym spojrzeniu, żywo, jeśli nie nadmiernie zainteresowanym losami bliźnich. Można by rzec, że przez całe życie siedział w pierwszym rzędzie widowni, obserwując rozgrywające się wokół ludzkie dramaty. Tyle że teraz, gdy starość trzymała go w swoim uścisku, odkrył, że jest coraz bardziej krytyczny wobec analizowanych wydarzeń. Pragnął czegoś choć trochę niezwykłego.

Bez wątpienia miał nosa do tych spraw. Instyktownie wiedział, gdzie szukać tragedii. Wyczuwał ich zapach jak bojowy rumak. Od chwili przybycia do Royston tego popołudnia jego niezwykły zmysł postawił go w stan gotowości. Działo się — lub miało się stać — coś interesującego.

Przyjęcie nie było zbyt liczne: Tom Evesham, towarzyski, wesoły gospodarz i jego poważna żona o politycznym zacięciu, z domu lady Laura Keene; sir Richard Conway, żołnierz, podróżnik i sportowiec; sześcioro czy siedmioro młodych ludzi, których nazwisk pan Satterthwaite nie zapamiętał, no i Portalowie.

Oni właśnie zaciekawili pana Satterthwaite'a.

Nigdy wcześniej nie spotkał pana Portala, lecz wiedział o nim wszystko. Znał jego ojca i dziadka. Alex Portal był typowym przedstawicielem swojej klasy: tuż przed czterdziestką, jasnowłosy i biękitnooki jak wszyscy Portalowie; lubił sport i był dobrym graczem, a poza tym był zupełnie pozbawiony wyobraźni. W Aleksie Portalu nie kryło się nic niezwykłego. Przeciętny, typowy Anglik.

Jego żona była inna. Pan Satterthwaite wiedział, że pochodziła z Australii. Portal wyjechał tam dwa lata temu, spotkał ją, poślubił i przywiózł do domu. Przed ślubem nigdy nie była w Anglii. A jednak nie przypominała żadnej ze znanych panu Satterthwaite'owi Australijek.

Teraz obserwował ją ukradkiem. Interesująca kobieta, i to bardzo. Milcząca, a jednak pełna życia. Pełna życia! O to właśnie chodziło! Nie piękna, nie, nie można było jej nazwać piękną, jednak miała w sobie jakiś fatalny czar, którego nie sposób nie zauważyć — żaden mężczyzna nie mógł go nie dostrzec. Przemawiała tu męska natura pana Satterthwaite'a, lecz kobiecą jej część (gdyż pan Satterthwaite miał sporo kobiecych cech) intrygowało pytanie: Dlaczego pani Portal farbowała włosy?

Prawdopodobnie inny mężczyzna nie domyśliłby się, że je farbuje, lecz pan Satterthwaite wiedział.

Znał się na takich sprawach. Był zdziwiony. Wiele brunetek farbuję włosy na blond, ale nigdy jeszcze nie spotkał blondynki, która farbuję sobie włosy na czarno.

Wszystko w niej go intrygowało. Intuicyjnie czuł, że była albo bardzo szczęśliwa, albo bardzo nieszczęśliwa — nie wiedział, które „bardzo” jest prawdą i ta niewiedza go irytowała. Poza tym chodziło jeszcze o dziwny wpływ, jaki wywierała na męża.

Uwielbia ją — powiedział sobie pan Satterthwaite — lecz czasem... tak, czasem się jej boi! To bardzo interesujące. Niezwykle interesujące.

Portal pił za dużo, to pewne. Miał też dziwaczny zwyczaj obserwowania swojej żony, kiedy na niego nie patrzyła.

Nerwy — ocenił pan Satterthwaite. — Jest potwornie nerwowy. Ona to wie, ale nie może nic na to poradzić.

Ta para ogromnie go intrygowała. Działo się coś, czego nie potrafił zrozumieć.

Z rozważań wyrwało go uroczyste bicie zegara w rogu.

— Dwunasta — powiedział Evesham. — Nowy Rok. Szczęśliwego Nowego Roku wszystkim. Mówiąc prawdę, ten zegar spieszy się o pięć minut. Nie mam pojęcia, czemu dzieci nie zaczekały, aż zacznie się Nowy Rok?

— Nawet przez minutę nie przypuszczałam, że naprawdę poszły spać — powiedziała spokojnie jego żona.

— Prawdopodobnie wkładają nam do łóżek szczotki do włosów. Takie żarty bardzo je bawią, nie wiem, dlaczego. Za moich czasów nigdy nie pozwolono by nam na coś podobnego.

— Autre temps, autres moeurs — zauważył z uśmiechem Conway.

Był to wysoki mężczyzna o wyglądzie wojskowego. Obaj z Eveshamem należeli do tego samego typu — uczciwi, prości, życzliwi ludzie bez większych pretensji intelektualnych.

— Za moich czasów podawaliśmy sobie ręce, stając w koło i śpiewaliśmy Auld Lang Syne — ciągnęła lady Laura. — „Czyż starzy znajomi mają odejść w zapomnienie...” Zawsze wzruszały mnie te słowa. Evesham poruszył się z irytacją.

— Przestań, Lauro — mruknął. — Nie tutaj. Przeszedł przez szeroki hol, w którym siedzieli, i włączył dodatkowe światło.

— Głupio z mojej strony — orzekła lady Laura sotto voce. — To mu oczywiście przypomina biednego pana Capela. Moja droga, czy ogień nie jest zbyt duży?

Eleanor Portal wzdygnęła się gwałtownie.

— Dziękuję pani. Odsunę trochę krzesło.

Ależ śliczny głos — jeden z tych niskich, głębokich głosów na granicy szeptu, które zapadają w pamięć — pomyślał pan Satterthwaite. Teraz jej twarz znalazła się w cieniu. Jaka szkoda.

Odezwała się ponownie ze swojego pogrążonego w mroku miejsca.

— Pan... Capel?

— Tak. Pierwszy właściciel tego domu. Wie pani, zastrzelił się... Och, dobrze. Tom, mój kochany. Nie będę o tym mówić, jeśli nie chcesz. Dla Toma był to oczywiście ogromny szok. Był tutaj, kiedy się to stało. Tak jak pan, sir Richardzie, prawda?

— Tak, lady Lauro.

Stary zegar w drugim rogu jęknął, sieknął, sapnął astmatycznie i wybił północ.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Tom — mruknął apatycznie Evesham.

Lady Laura zwinęła niespiesznie swoją robótkę.

— A więc powitaliśmy Nowy Rok — stwierdziła, a patrząc na panią Portal dodała: — O czym pani myśli, kochanie?

Eleanor Portal podniosła się szybko na nogi.

— O łóżku, bezwzględnie — rzuciła lekko.

Jest bardzo blada — pomyślał pan Satterthwaite. — Również wstał i zajął się świecznikami. — Zwykle nie jest aż tak blada.

Zapalił świecę i podał jej ze śmiesznym, staroświeckim ukłonem. Odebrała ją, dziękując, i wolno poszła na górę.

Nagle pan Satterthwaite odczuł osobliwy impuls: chciał pójść za nią, uspokoić ją. Miał dziwne wrażenie, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Po chwili zawstydził się. On również robi się nerwowy.

Pani Portal nie obejrzała się na męża, podchodząc do schodów, lecz teraz odwróciła głowę i rzuciła mu długie, badawcze, niezwykle intensywne spojrzenie. Wywarło ono dziwne wrażenie na panu Satterthwaicie.

Życzył gospodyni dobrej nocy, z trudem skrywając wzburzenie.

— Oby to był szczęśliwy rok — powiedziała lady Laura. — Choć według mnie sytuacja polityczna obfituje w wielkie niewiadome.

— Na pewno — odparł żywo pan Satterthwaite. — Na pewno.

— Mam tylko nadzieję — ciągnęła lady Laura, nie zmieniając ani na jotę tonu — że jako pierwszy przekroczy nasz próg jakiś brunet. Zapewne zna pan ten przesąd, panie Satterthwaite? Nie? Zaskakuje mnie pan. Otóż, żeby szczęście przyszło do domu, pierwszy w dzień Nowego Roku musi przejść przez próg ciemnowłosy mężczyzna. Mój Boże, obym tylko nie znalazła w swoim łóżku czegoś bardzo nieprzyjemnego. Nie ufam dzieciom. Są aż za bardzo pełne wigoru.

Potrząsając głową w smutnym przeczuciu lady Laura wspięła się majestatycznie po schodach.

Kiedy panie odeszły, krzesła przysunięto bliżej wokół kłód płonących w otwartym kominku.

— Mówcie, kiedy — powiedział Evesham, zachęcająco podnosząc karafkę z whisky.

Gdy każdy miał już napełnioną szklankę, rozmowa wróciła do tematu zakazanego wcześniej.

— Znał pan Dereka Capela, Satterthwaite? — spytał Conway.

— Tak, choć słabo.

— A pan, Portal?

— Nie, nigdy go nie spotkałem.

Powiedział to gwałtownie, jakby się bronił, aż pan Satterthwaite podniósł na niego zdumiony wzrok.

— Nie cierpię, kiedy Laura wraca do tego tematu — stwierdził powoli Evesham. — Musicie wiedzieć, że po tragedii dom sprzedano jakiemuś wielkiemu fabrykantowi. Wyniósł się po roku. Nie odpowiadał mu czy co? Oczywiście opowiadano sporo bzdur o tym, że w tym domu straszy i posiadłość zyskała złą sławę. Potem Laura kazała mi kandydować z okręgu West Kidleby, co oczywiście oznaczało zamieszkanie w tej części kraju, a niełatwo było znaleźć odpowiednią siedzibę. Royston sprzedawano tanio, więc cóż, w końcu je kupiłem. Duchy to bzdura, ale mimo to nikt nie chce, żeby przypominano mu, iż mieszka w domu, w którym zastrzelił się jeden z jego przyjaciół. Biedny stary Derek. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego to zrobił.

— Nie jest pierwszym ani ostatnim człowiekiem, który zastrzelił się nie podając przyczyny — powiedział ciężko Alex Portal.

Wstał i zrobił sobie kolejnego drinka, szczodłą ręką lejąc whisky.

Dzieje się z nim coś złego — orzekł w duchu pan Satterthwaite. — Bardzo złego. Chciałbym wiedzieć, w czym rzecz.

— No, no! — odezwał się Conway. — Posłuchajcie wiatru. Dzika noc.

— Idealna dla duchów — rzucił Portal z zuchwałym śmiechem. — W taką noc wszystkie diabły wychodzą z piekła.

— Według lady Laury, nawet najczarniejszy z nich przyniósłby nam szczęście — zauważył Conway, śmiejąc się. — Posłuchajcie tego!

Wiatr znów zawył przeraźliwie, a kiedy ucichł, rozległy się trzy głośnie uderzenia w okute drzwi wejściowe. Wszyscy aż podskoczyli.

— Kto to, na Boga, może być, o tej porze? — zawołał Evesham.

Popatrzyli na siebie.

— Otworzę — powiedział Evesham. — Służba poszła już spać.

Podszedł do drzwi, grzebał się trochę z ciężkimi zasuwami i wreszcie otworzył je na oścież. Do holu wpadł lodowaty podmuch wiatru.

Na progu stał jakiś mężczyzna, wysoki i smukły. Witraż nad drzwiami sprawił, że panu Satterthwaite'owi wydało się, iż ubrany jest we wszystkie kolory tęczy. Kiedy postąpił naprzód, okazał się szczupłym brunetem w sportowej marynarce.

— Muszę gorąco przeprosić za ten najazd — przemówił miłym, stonowanym głosem. — Mój samochód się zepsuł. Nic poważnego. Szofer naprawia go, lecz potrwa to jakieś pół godziny, a na dworze jest tak potwornie zimno...

Urwał, a Evesham szybko podchwycił wątek.

— Na pewno. Proszę wejść i napić się z nami. Nie potrzebuje pan pomocy przy samochodzie?

— Nie, dziękuję. Mój człowiek wie, co robić. A w ogóle to nazywam się Quin. Harley Quin.

— Niechże pan siada, panie Quin — powiedział Evesham. — To sir Richard Conway, to pan Satterthwaite. Ja nazywam się Evesham.

Pan Quin przywitał się i opadł na krzesło gościnnie podsunięte przez Eveshama. Kiedy siadał, płomienie w kominku przygasły, na chwilę pogrążając jego twarz w mroku, co wyglądało niemal tak, jakby założył maskę.

Evesham dorzucił dREW do ognia.

— Drinka?

— Z chęcią.

Evesham przyniósł mu szklanekę i podając ją zapytał:

— Zna pan dobrze tę część kraju, panie Quin?

— Przejeżdżałem tędy kilka lat temu.

— Naprawdę?

— Tak. Ten dom należał wtedy do człowieka nazwiskiem Capel.

— A tak. Biedny Derek Capel. Znał go pan?

— Tak, znałem.

Zachowanie Eveshama uległo delikatnej zmianie, prawie niezauważalnej dla kogoś, kto nie zgłębił charakteru Anglika. Poprzednio była w nim lekka rezerwa, która teraz zniknęła. Pan Quin znał Dereka Capela. Był przyjacielem przyjaciela, co stanowiło wystarczające poręczenie i pozwalało obdarzyć go zaufaniem.

— To zdumiewająca sprawa — zwierzył się Evesham. — Właśnie o niej rozmawialiśmy. Mówię panu, kupiłem ten dom wbrew sobie. Gdybym znalazł cokolwiek innego, równie dogodnego... ale nic nie było. Nocowałem tu, kiedy się zastrzelił, tak samo jak Conway i daję słowo, zawsze spodziewałem się, że duch Capela będzie tu krążył.

— Trudno to wyjaśnić, powiedział wolno i z rozwagą pan Quin i urwał jak aktor, który właśnie podał widzom ważną wskazówkę.

— Może pan sobie mówić, że trudno — rzucił gwałtownie Conway. — Cała rzecz jest absolutną tajemnicą i tak już pozostanie.

— Doprawdy? — rzucił wymijająco pan Quin. — Tak, sir Richardzie, co pan mówił?

— Zdumiewające, takie właśnie to było. Oto mężczyzna w kwiecie wieku, wesoły, beztroski, bez żadnych zmartwień. Nocuje u niego pięciu czy sześciu starych kumpli. Przy kolacji ma wyśmienity humor, jest pełen planów na przyszłość. I prosto od stołu idzie na górę do swojego pokoju, wyciąga rewolwer z szuflady i strzela. Dlaczego? Nie wiedzieliśmy wtedy i nigdy się tego nie dowiemy.

— Czy to nie przesadne stwierdzenie, sir Richardzie? — zapytał z uśmiechem pan Quin.

Conway zagapił się na niego.

— Co ma pan na myśli? Nie rozumiem.

— Problem niekoniecznie jest nie do rozwiązania, ponieważ dotąd go nie rozwiązano.

— Och! Ejże, człowieku, przecież jeśli nic nie wyjaśniło się wtedy, mało prawdopodobne, by udało się to teraz, dziesięć lat później?

Pan Quin łagodnie pokręcił głową.

— Nie zgadzam się z panem. Przemawia przeciwko panu historia. Współczesny kronikarz nigdy nie opisze historii równie dokładnie jak historyk z późniejszego pokolenia. Chodzi o lepszą perspektywę, możliwość zobaczenia wydarzeń we właściwych proporcjach. Jeśli pan woli, jest to kwestia

względności, jak zresztą wszystko.

Alex Portal pochylił się do przodu z boleśnie wykrzywioną twarzą.

— Ma pan rację, Quin — wykrzyknął. — Ma pan rację. Czas nie likwiduje pytań, przedstawia je tylko na nowo, w innym ujęciu.

Evesham uśmiechał się tolerancyjnie.

— Chce pan powiedzieć, Quin, że gdybyśmy urządzili tu dziś wieczór... nazwijmy to przewodem sądowym w sprawie okoliczności śmierci Dereka Capela, mamy równe szansę dotarcia do prawdy, jak wówczas?

— Większe, panie Evesham. Niemal zupełnie zniknął już wasz osobisty stosunek do wydarzeń, pamiętacie więc fakty jako fakty, nie szukacie sposobu, by zniekształcić je własną interpretacją.

Evesham zmarszczył czoło, pełen wątpliwości.

— Oczywiście, od czegoś trzeba zacząć — ciągnął pan Quin spokojnym tonem. — Zazwyczaj zaczyna się od teorii. Jestem pewien, że któryś z panów ma własną. Może pan, sir Richardzie?

Conway ściągnął brwi z zastanowieniem.

— Cóż, oczywiście — zaczął się tłumaczyć — myśleliśmy... to było całkiem naturalne... że za tym musi kryć się jakaś kobieta. Zwykle chodzi o kobietę lub o pieniądze, prawda? A tu na pewno nie wchodziły w grę pieniądze. Żadnych problemów w tej materii. Tak więc... o co innego mogło chodzić?

Pan Satterthwaite aż podskoczył. Pochylił się, by podzielić się własnym zdaniem, i w tej samej chwili dostrzegł kobiecą postać, przykucniętą przy balustradzie biegnącej wokół galerii na piętrze. Skuliła się, widoczna jedynie z miejsca, gdzie siedział i z napięciem przysłuchiwała się temu, co mówiono poniżej. Była tak nieruchoma, że z trudem uwierzył świadectwu własnych oczu.

Jednak z łatwością rozpoznał deseń sukni — staromodny brokat. To była Eleanor Portal.

I nagle wszystkie wydarzenia tego wieczoru ułożyły się w spójną całość: przybycie pana Quina nie było czystym przypadkiem — na scenie pojawił się aktor, który ma podać najważniejszą wskazówkę. W holu Royston wystawiano właśnie tragedię, wcale nie mniejszą przez to, że jeden z aktorów nie żyje. Och, Derek Capel również brał udział w przedstawieniu. Tego pan Satterthwaite był pewien.

I równie nagle spadło na niego kolejne olśnienie. Sytuacja była zasługą pana Quina. To on wystawiał tę sztukę, to on rozdawał aktorom role. Stał u źródła tajemnicy, pociągając za sznurki, wprawiając kukielki w ruch. Wiedział o wszystkim, nawet o kobiecie skulonej za drewnianą balustradą na piętrze. Tak, on wiedział.

Oparłszy się wygodnie na krześle, bezpieczny w roli jednoosobowej widowni, pan Satterthwaite obserwował rozgrywający się przed jego oczyma dramat. Pan Quin pociągał za sznurki spokojnie, ze

swobodą poruszając swoimi marionetkami.

— Kobieta... tak — mruknął z namysłem. — Czy podczas owej kolacji nie wspomniano o jakiejś kobiecie?

— Ależ tak — wykrzyknął Evesham. — Capel ogłosił swoje zaręczyny. To dlatego wszystko, co wydarzyło się potem, wydawało się kompletnym szaleństwem. Dlatego był taki ożywiony. Wyznał, że nie powinien tego jeszcze ogłaszać oficjalnie, zrobił tylko aluzję, że wkrótce porzuci kawalerski stan.

— Z miejsca odgadliśmy, o jaką damę chodzi — dołączył się Evesham. — Marjorie Dilke. Miła dziewczyna.

Wydawało się, że kolej na uwagę pana Quina, lecz on nie odezwał się; jego milczenie było dziwnie prowokujące, zupełnie jakby podał w wątpliwość ostatnie twierdzenie. W efekcie Conway zajął obronną pozycję:

— Bo o kogo innego mogło chodzić? Jak myślisz, Evesham?

— Nie wiem — odparł wolno Tom Evesham. — Zaraz, co on dokładnie powiedział? Ze porzucą stan kawalerski i że nie może podać nam nazwiska swojej wybranki, zanim nie uzyska jej pozwolenia... Że jeszcze nie wolno mu nic oficjalnie ogłaszać. Pamiętam, powiedział, że jest cholernym szczęściarzem. Że chce, by jego dwaj starzy przyjaciele wiedzieli, iż za rok o tej porze będzie szczęśliwym małżonkiem. Przyjeliśmy oczywiście, że mówi o Marjorie. Przyjaźnili się i często się spotykali.

— Jedyne... — zaczął Conway i zaraz urwał.

— Co chciałeś powiedzieć, Dick?

— Cóż, rzecz w tym, że jeśli rzeczywiście mówił o Marjorie, trochę dziwne, że nie mógł od razu ogłosić zaręczyn. Po co ta tajemnica? Wyglądało to tak, jakby chodziło o jakąś mężatkę... wiecie, kobietę, której mąż zmarł właśnie albo której sprawa rozwodowa była w toku.

— To prawda — zgodził się Evesham. — W takiej sytuacji jasne, że nie mógł ogłosić zaręczyn. I wiecie, jeśli się głębiej zastanowić, wcale nie spotykał się z Marjorie tak często. Wszystko urwało się rok wcześniej. Pamiętam, że pomyślałem, iż stosunki między nimi znacznie się ochłodziły.

— Dziwne — rzucił pan Quin.

— Tak... zupełnie jakby pomiędzy nich wszedł ktoś trzeci.

— Inna kobieta — powiedział z zastanowieniem Conway.

— Na Jowisza! — zawołał Evesham. — Wiecie, tamtej nocy Derek był niemal nieprzyzwoicie wesoły, prawie pijany ze szczęścia. A jednak... nie potrafię tego dokładnie nazwać, ale zachowywał się jakby... prowokacyjnie:

— Jak człowiek wyzywający los — dorzucił ciężko Alex Portal.

Czy aby na pewno mówił o Dereku Capelu, a nie o sobie? Patrząc na niego pan Satterthwaite skłaniał się raczej ku drugiemu przypuszczeniu. Tak, tak właśnie zachowywał się Alex Portal — jak człowiek wyzywający los.

Jego wyobraźnię, rozleniwioną alkoholem, rozbudził raptownie ten właśnie aspekt całej historii, przypominając mu jego własną tajemną troskę.

Podniósł wzrok w górę. Nadal tam była. Obserwowała, słuchała. Wciąż bez ruchu, zastygła... jak martwa.

— Dokładnie — mówił Conway. — Capel był podniecony, i to dziwnie. Opisałbym go jako człowieka, który obstawiał wysoko i wygrał wbrew wszelkim szansom.

— Może zbierał się na odwagę, niezbędną, by zrobić to, na co się zdecydował? — podsunął Portal.

I jakby pod wpływem nasuwającego się skojarzenia wstał i nalał sobie kolejnego drinka.

— W żadnym razie — rzucił ostro Evesham. — Mógłbym niemal przysiąc, że nic takiego nie chodziło mu po głowie. Conway ma rację. Szczęśliwy gracz, który sporo zaryzykował i ledwo może uwierzyć w wygraną. Tak właśnie się zachowywał.

Conway machnął ręką ze zniechęceniem.

— A jednak — powiedział — w dziesięć minut później...

Siedzieli w milczeniu. Evesham z hukiem uderzył pięścią w stół.

— Coś musiało się wydarzyć w ciągu tych dziesięciu minut — krzyknął. — Musiała! Ale co? Prześledźmy to. Rozmawialiśmy. W środku rozmowy Capel nagle wstał i wyszedł z pokoju...

— Dlaczego — spytał pan Quin.

Ta uwaga wytrąciła Eveshama z toku myślenia, — Słucham?

— Spytałem jedynie: dlaczego? — powtórzył pan Quin. Evesham zmarszczył brwi, z wysiłkiem skupiając pamięć.

— Wówczas to nie wydawało się istotne... Ach, tak, oczywiście: poczta. Nie pamiętacie, w jakie podniecenie wprowadził nas dzwonek do drzwi? Od trzech dni siedzieliśmy zasypani śniegiem. To była największa śnieżycy od lat. Wszystkie drogi stały się nieprzejezdne. Nie dostarczano gazet ani listów. Capel wyszedł zobaczyć, czy coś wreszcie przyszło i wrócił z całym stosem gazet i listów. Najpierw stworzył gazetę, żeby sprawdzić nowinki, a potem poszedł na górę z listami. Trzy minuty później usłyszeliśmy strzał... Niepojęte. To absolutnie niepojęte.

— To wcale nie jest niepojęte — powiedział Portal. — Musiał dowiedzieć się z listu czegoś, czego

się zupełnie nie spodziewał. Według mnie to całkiem jasne.

— Och! Nie, sądzę, że przegapiliśmy coś równie oczywistego. To było pierwsze pytanie koronera. Ale Capel nie otworzył żadnego listu. Cały stos leżał nietknięty na toalecie.

Portal wyglądał na zbitego z tropu.

— Jesteś pewien, że nie otworzył nawet jednego listu? Mógł zniszczyć go po przeczytaniu.

— Nie, jestem absolutnie pewien. Takie rozwiązanie byłoby najprostsze. Ale nie — żaden list nie został otwarty. Niczego nie spalono, niczego nie podarto. Nawet nie rozpalono ognia w kominku.

Portal pokręcił głową.

— Niezwykłe.

— W sumie to upiorna sprawa — zauważył cicho Evesham. — Conway i ja poszliśmy na górę, kiedy usłyszeliśmy strzał i znaleźliśmy go... Mówię wam, co to był za szok.

— Można było tylko wezwać policję, jak sądzę? — zapytał pan Quin.

— W Royston nie było telefonu. Założyłem go, kiedy kupiłem dom. Na szczęście, akurat wtedy siedział w kuchni miejscowy posterunkowy. Jeden z psów... pamiętasz biednego starego Rovera, Conway? Przepadł dzień wcześniej. Przejeżdżający wozem człowiek znalazł go na pół zamarzniętego w zaspie i zabrał na posterunek. Rozpoznali, że to pies Capela, w dodatku jego ulubiony, więc posterunkowy sam go przyniósł. Dotarł tu minutę przed strzałem. To oszczędziło nam problemów.

— Rany, ależ to była śnieżycyca — wspominał Conway.

— Mniej więcej o tej porze roku, prawda? Na początku stycznia.

— Chyba lutego. Niech pomyślę, zaraz potem wyjechaliśmy za granicę.

— Jestem przekonany, że to było w styczniu. Mój koń, Ned... pamiętasz Neda? Okulał pod koniec stycznia. To stało się wkrótce potem.

— W takim razie to musiał być sam koniec stycznia. Śmieszne, jak trudno przypomnieć sobie daty po upływie lat.

— To jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie — rzucił lekko pan Quin. — Chyba że jakieś głośne wydarzenie może stanowić punkt odniesienia... Na przykład zamach na koronowaną głowę albo sprawa o morderstwo.

— Hej, rzeczywiście! — wykrzyknął Conway. — To było tuż przed sprawą Appletona.

— Raczej zaraz po niej?

— Nie, nie, nie. Pamiętasz? Capel znał Appletonów, zatrzymał się u staruszka poprzedniej wiosny, zaledwie na tydzień przed jego śmiercią. Mówił o nim któregoś wieczoru. Jaki stary zrzęda był z niego i jakie okropne musiało być takie życie dla młodej i pięknej kobiety, takiej jak pani Appleton. Wtedy nie podejrzewano jeszcze, że go zabiła.

— Na Jowisza, masz rację. Czytałem w gazecie o udzieleniu zgody na ekshumację; miała się odbyć tego samego dnia. Pamiętam, że przeczytałem to na pół świadomie, bo cały czas myślałem o biednym Dereku, który leżał martwy na górze.

— To zjawisko bardzo powszechne, choć osobliwe — zauważył pan Quin. — W chwilach wielkiego napięcia umysł koncentruje się na zupełnie nieistotnej sprawie, którą zapamiętujemy bardzo dokładnie, zupełnie jakby utrwalił ją przeżywany stres. Może to być zupełnie nieistotny szczegół, jak wzór tapety, lecz nigdy nie zostanie zapomniany.

— To dziwne, co pan mówi, panie Quin — odezwał się Conway. — Gdy pan to powiedział, nagle odniosłem wrażenie, że znów jestem w pokoju Dereka. On leży na podłodze, martwy. Zobaczyłem wtedy niesamowicie wyraźnie duże drzewo za oknem i cień, jaki rzucało na leżący wokół śnieg. Tak, blask księżyca, śnieg i cień drzewa, widzę to wszystko w tej chwili. Na Boga, mógłbym to namalować, a nigdy nie uświadomiłem sobie nawet, że na to wtedy patrzyłem.

— Jego pokój to był ten duży nad gankiem, prawda? — zapytał pan Quin.

— Tak, a drzewo to był ten wielki buk na łuku podjazdu.

Pan Quin skinął głową, jakby ta informacja go usatysfakcjonowała. Pana Satterthwaite'a ogarnęło dziwne podniecenie. Był przekonany, że każde słowo, każda zmiana tonu w głosie pana Quina miała swój cel. Zmierzał do czegoś konkretnego — pan Satterthwaite nie wiedział dokładnie, do czego, ale nie wątpił, kto nimi wszystkimi steruje.

Na chwilę zaległa cisza, a potem Evesham wrócił do wcześniejszego tematu.

— Ta sprawa Appletonów, teraz przypominam sobie dokładnie. Wywołała sporo sensacji. Została uniewinniona, prawda? Ładna kobieta... bardzo szlachetna... wyjątkowo szlachetna.

Niemal wbrew woli wzrok pana Satterthwaite'a odszukał postać klęczącą na piętze. Czy wydawało mu się, czy naprawdę zadrżała lekko, jakby ktoś ją uderzył? Czy widział dłoń wędrującą do obrusa i zatrzymującą się w pół ruchu?

Kieliszek upadł z hukiem. To Alex Portal, który nalewał sobie whisky, upuścił karafkę.

— Bardzo... bardzo mi przykro. Nie wiem, co mi się stało.

Evesham uciał jego przeprosiny.

— Wszystko w porządku. Wszystko w porządku, mój drogi. To dziwne, ale coś mi to przypomina. To właśnie zrobiła, prawda? Pani Appleton. Stłukła karafkę z porto.

— Tak. Stary Appleton co wieczór wypijał kieliszek porto, tylko jeden. Dzień po jego śmierci jeden ze służących widział, jak pani Appleton podnosi karafkę i celowo ją rozbija. To wywołało sporo plotek, oczywiście. Służba wiedziała, jak była z nim nieszczęśliwa. Plotkowano coraz bardziej i w końcu, wiele miesięcy później, jeden z krewnych zmarłego zażądał ekshumacji zwłoki I okazało się, że starzec został otruty. To był arszenik, prawda?

— Nie, chyba strychnina. Zresztą to nie ma wielkiego znaczenia. No i wszystko było jasne: tylko jedna osoba mogła go zabić. Pani Appleton stanęła przed sądem. Uwolniono ją raczej na skutek braku obciążających dowodów, a nie jakiegoś zdecydowanego dowodu niewinności. Innymi słowy, miała szczęście. Tak, nie przypuszczam, by ktokolwiek wątpił w jej winę. Co się z nią stało później?

— Wydaje mi się, że wyjechała do Kanady. A może do Australii? Miała tam wuja czy krewniaka, który zaofiarował jej swój dom. To najlepsze, co mogła zrobić w takich okolicznościach.

Pana Satterthwaite'a fascynowało to, co działo się z ręką Aleksa Portala. Z całych sił zaciskał ją na kieliszku.

Rozbije go za chwilę, jeśli nie będzie uważał — pomyślał sobie. — Mój Boże, ależ to intrygujące.

Evesham wstał i nalał sobie drinka.

— Cóż, nie jesteśmy dużo bliżej odkrycia, dlaczego nieszczęsny Derek Capel się zastrzelił — powiedział. — Nasz sąd nie okazał się zbyt skuteczny, prawda, panie Quin?

A pan Quin roześmiał się...

Był to dziwny śmiech, ironiczny i jednocześnie... smutny. Sprawił, że wszyscy aż podskoczyli.

— Przepraszam — powiedział. — Nadal żyje pan przeszłością, panie Evesham. Wciąż nie wychodzi pan poza wniosek przyjęty wcześniej. Lecz ja, człowiek z zewnątrz, obcy, który zjawił się przypadkiem, widzę wyłącznie... fakty!

— Fakty?

— Tak jest: fakty.

— Co ma pan na myśli? — spytał Evesham.

— Widzę wyraźne następstwo wydarzeń, które sami mi przedstawiliście, a którego znaczenia nie dostrzegacie. Cofnijmy się o dziesięć lat i przyjrzyjmy się temu, co widzimy — nie zakłócając obrazu przypuszczeniami i sentymentami.

Pan Quin powstał. Wydawał się bardzo wysoki. Ogień za nim podskoczył kapryśnie. Przemówił niskim, zmuszającym do uwagi głosem.

— Jecie obiad. Derek Capel ogłasza swoje zaręczyny. Myśleliście wtedy, że z Marjorie Dilke. Teraz nie jesteście już tego tacy pewni. Jest niezwykle podniecony, jak człowiek, któremu udało się

zwyciężyć los, człowiek, który według waszych własnych słów wykonał mistrzowskie posunięcie na przekór przeciwnościom. Potem rozlega się dzwonek do drzwi. Wychodzi, by odebrać opóźnioną pocztę. Nie otwiera listów, ale wspomnieliście, że przejrzał gazetę, by zerknąć na wiadomości. To było dziesięć lat temu, więc nie wiemy, o czym wówczas pisano: może o trzęsieniu ziemi na drugim końcu świata, może o zbliżającym się kryzysie politycznym? Wiemy jedynie, że w gazecie znalazł się mały artykuł — stwierdzający, że trzy dni wcześniej Ministerstwo Spraw Wewnętrznych udzieliło zgody na ekshumację ciała pana Appletona.

— Co?

Pan Quin mówił dalej.

— Derek Capel idzie na górę do swojego pokoju i stamtąd widzi coś za oknem. Sir Richard Conway powiedział nam, że zasłony nie były zaciągnięte i że widać było stamtąd podjazd. Co takiego zobaczył? Co mógł zobaczyć, że zmusiło go to do odebrania sobie życia?

— O czym pan mówi? Co ujrzał?

— Myślę — powiedział pan Quin — że zobaczył posterunkowego. Tego, który przyszedł w sprawie psa. Ale o tym Derek Capel nie wiedział. Po prostu zobaczył... policjanta.

Na długo zapadła cisza, jakby musiało trochę potrwać, zanim wniosek stanie się oczywisty.

— Mój Boże! — wyszeptał wreszcie Evesham. — Nie może pan tego właśnie mieć na myśli? Appleton? Ale jego nie było tam w czasie śmierci Appletona. Starzec był sam z żoną...

— Ale mógł być u nich tydzień wcześniej. Strychnina nie rozpuszcza się łatwo, chyba że jest w postaci chlorowodoru. Największa dawka, wsypana do porto, znalazłaby się w ostatnim kieliszku, i zostałaby wypita w jakiś tydzień po jego wyjeździe.

Portal poderwał się z krzesła. Miał przekrwione oczy, a jego głos był ochrypły.

— Dlaczego stłukła karafkę? — zawołał. — Dlaczego stłukła karafkę? Powiedźcie mi!

Po raz pierwszy tego wieczoru pan Quin zwrócił się do pana Satterthwaite'a.

— Ma pan olbrzymie doświadczenie życiowe, panie Satterthwaite. Może pan potrafi nam to wyjaśnić.

Głos pana Satterthwaite'a drżał lekko. Wreszcie otrzymał swoją wskazówkę. Miał wypowiedzieć jedną z najważniejszych kwestii w tej sztuce. Teraz był aktorem — a nie widzem.

— Jak ja to rozumiem — zaczął cicho i skromnie — jej... zależało na Dereku Capelu. Była, jak sądzę, dobrą kobietą, i odprawiła go z niczym. Kiedy zmarł jej mąż, podejrzewała prawdę. Tak więc, by uratować człowieka, którego kochała, próbowała zniszczyć dowód jego winy. Później zapewne przekonał ją, że jej podejrzenia były bezpodstawne i zgodziła się wyjść za niego za mąż. Lecz nawet wtedy miała opory. Według mnie kobiety mają dobrą intuicję.

Pan Satterthwaite odegrał swoją rolę. Nagle powietrze wypełniło przeciągłe, drżące westchnienie.

— Mój Boże! — krzyknął Evesham. — Co to było?

Pan Satterthwaite mógł mu powiedzieć, że to Eleanor Portal w galerii na piętrze, lecz miał zbyt artystyczną duszę na to, by zepsuć efekt.

Pan Quin uśmiechał się.

— Mój samochód zapewne jest już naprawiony. Dziękuję za gościnę, panie Evesham. Mam nadzieję, że uczyniłem coś dla mojego przyjaciela.

Spojrzeli na niego w bezrozumnym zdumieniu.

— Nie uderzył panów ten aspekt sprawy? Widzicie, on kochał tę kobietę. Dość mocno, by dla jej dobra popełnić morderstwo. Gdy doścignęła go kara, jak mylnie uznał, odebrał sobie życie. I nierozsądnie zostawił ją, by sama stawiała czoło konsekwencjom.

— Została uniewinniona — mruknął Evesham.

— Ponieważ nie można było dowieść jej winy. Zgaduję — choć to tylko przypuszczenie — że nadal płaci za tamten uczynek.

Portal opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Pan Quin odwrócił się do pana Satterthwaite'a.

— Do widzenia, panie Satterthwaite. Interesuje się pan teatrem, prawda?

Pan Satterthwaite przytaknął, zaskoczony.

— Muszę polecić pana uwadze Arlekinadę. W dzisiejszych czasach traci popularność, ale warta jest obejrzenia, zapewniam. Trudno odczytać jej symbolikę, jednak musi pan pamiętać, że nieśmiertelni pozostają nieśmiertelnymi. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Patrzyli, jak wkracza w mrok. Jak przedtem, witraż zdawał się rozbłyskiwać pstrokatymi barwami...

Pan Satterthwaite poszedł na górę. Chciał zamknąć okno w swoim pokoju, gdyż na dworze było zimno. Pan Quin oddalał się wzdłuż podjazdu. Z bocznych drzwi wybiegła jakaś kobieta. Chwilę rozmawiali, potem ona wróciła do domu. Przechodziła tuż pod oknem i pana Satterthwaite'a uderzyło widoczne na jej twarzy ożywienie. Poruszała się jak kobieta śniąca szczęśliwy sen.

— Eleanor!

Przyłączył się do niej Alex Portal.

— Eleanor, wybac mi... wybac mi... powiedziałaś mi prawdę, lecz niech Bóg mi przebaczy, nie do końca ci uwierzyłem...

Pana Satterthwaite'a ogromnie ciekawiły sprawy innych ludzi, ale był także dżentelmenem. Zrozumiał, że powinien zamknąć okno i tak uczynił.

Lecz zamykał je bardzo powoli.

Dosłyszał jej głos, żywy i trudny do opisania.

— Wiem... wiem. Przeżyłeś piekło. Jak ja niegdyś. Kochałam... na zmianę wierzyłam i podejrzewałam... odsuwałam na bok wątpliwości, a one pojawiały się, łypiąc na mnie złośliwym okiem... Wiem, Alex, wiem... Lecz istnieje piekło jeszcze gorsze — piekło, w którym żyłam wraz z tobą. Widziałam twoje wątpliwości, twój strach przede mną... zatruwający naszą miłość. Ten człowiek, ten przypadkowy gość, uratował mnie. Nie zniosłabym tego dłużej, sam rozumiesz. Dziś w nocy... dziś w nocy zamierzałam się zabić. Alex... Alex...

Rozdział drugi

Cień na szybie

— Niech pan tylko posłucha — powiedziała lady Cynthia Drage.

Odczytała na głos informację z trzymanej w ręku gazety.

— „Państwo Unkerton wydają w tym tygodniu przyjęcie w Greenways House. Wśród zaproszonych znaleźli się lady Cynthia Drage, państwo Scott, major Porter, pani Staverton, kapitan Allenson i pan Satterthwaite.” Dobrze wiedzieć, co nas czeka — stwierdziła, odrzucając dziennik na bok. — Ładnie namieszali!

Jej towarzysz, pan Satterthwaite, którego nazwisko figurowało na końcu listy gości, spojrział na nią pytająco. Powiadano, że jeśli pana Satterthwaite'a spotkało się w domach nowobogackich, było to znakiem, że albo podawano tam wyjątkowo dobre jedzenie, albo że miał się tam rozegrać jakiś dramat. Pan Satterthwaite niezmiernie interesował się komediami i tragediami spotykającymi jego bliźnich.

Lady Cynthia, dama w średnim wieku, o surowej twarzy i obfitym makijażu, stuknęła go boleśnie najmodniejszą parasolką, która spoczywała niedbale na jej kolanach.

— Proszę nie udawać, że pan nie rozumie, bo rozumie pan doskonale. Co więcej, jestem przekonana, że znalazł się pan tutaj właśnie w tym celu: by zobaczyć, jak wióry lecą!

Pan Satterthwaite zaprotestował energicznie. Nie miał pojęcia, o czym mówi lady Cynthia.

— Mówię o Richardzie Scotcie. Udaje pan, że nigdy o nim nie słyszał?

— Ależ oczywiście, słyszałem. To słynny myśliwy, prawda?

— No właśnie: „wielgachne niedźwiedzie i tygrysy” — jak w piosence. Sam jest prawdziwym lwem salonowym. Unkertonowie szaleli, by go zaprosić. A do tego młoda żona! Czarujące z niej dziecko. Och, absolutnie czarujące, choć tak naiwne. Wie pan, ona ma zaledwie dwadzieścia lat, a on co najmniej czterdzieści pięć.

— Pani Scott wydaje się urocza — powiedział spokojnie pan Satterthwaite.

— Tak, biedactwo.

— Dlaczego „biedactwo”?

Lady Cynthia rzuciła mu pełne nagany spojrzenie i kontynuowała temat na swój własny sposób.

— Porter jest w porządku, chociaż to nudziarz. Jeszcze jeden afrykański myśliwy, spalony słońcem milczek. Gra drugie skrzypce przy Richardzie Scotcie, i to od zawsze. Są przyjaciółmi od urodzenia. Kiedy tak się zastanawiam, wydaje mi się, że na tej wyprawie byli razem...

— Jakiej wyprawie?

— No na tej. Na wyprawie pani Staverton. Zaraz pan powie, że nigdy nie słyszał o pani Staverton.

— Słyszałem o niej — powiedział niemal niechętnie pan Satterthwaite.

Wymienili spojrzenia.

— To takie podobne do Unkertonów — poskarżyła się lady Cynthia. — Są kompletnie beznadziejni towarzysko. Pomysł, żeby zaprosić tych dwoje razem! Słyszeliście, że pani Staverton była sportsmenką i podróżniczką, i że napisała książkę. Ludzie tacy jak Unkertonowie ani na jotę nie uświadamiają sobie, jakie czyhają na nich pułapki. Opiekowałam się nimi przez cały ubiegły rok. Nikt nie wie, przez co przesłam. Trzeba bez przerwy stać u ich boku. „Nie róbcie tego! Nie możecie tego zrobić!” Dzięki Bogu, już z tym skończyłam. Nie pokłóciliśmy się, nie, ja nigdy się nie kłócę, ale teraz ktoś inny może przejąć moje obowiązki. Jak zawsze powtarzam, mogę wytrzymać wulgarność, ale nie zniosę skąpstwa!

Po tej dość tajemniczej wypowiedzi lady Cynthia umilkła na chwilę, wspominając skąpstwo Unkertonów, którego sama doświadczyła.

— Gdybym nadal zajmowała się ich sprawami — podjęła po chwili — winnam powiedzieć jasno i zdecydowanie: Nie powinniście zapraszać pani Staverton razem z Richardem Scottem. Oni byli niegdyś...

Urwała wymownie.

— Gdzie? — spytał pan Satterthwaite.

— Ależ, mój dobry człowieku! To znana historia. Ta wyprawa do interioru! Dziwię się, że ta kobieta miała odwagę przyjąć zaproszenie.

— Może nie wiedziała, że Scottowie też będą? — podsunął pan Satterthwaite.

— Może właśnie wiedziała. To dużo bardziej prawdopodobne.

— Sądzi pani...?

— Takie jak ona nazywam niebezpiecznymi kobietami. Nie cofnie się przed niczym. W ten weekend nie chciałabym znaleźć się na miejscu Richarda Scotta.

— Myśli pani, że jego żona nic nie wie?

— Jestem pewna. Tyle że przypuszczam, iż jakaś życzliwa przyjaciółka oświeci ją prędzej czy później. A oto Jimmy Allenson. Taki miły chłopiec. Uratował mi życie rok temu w Egipcie. Tak się nudziłam. Witaj, Jimmy, chodźże tu natychmiast.

Kapitan Allenson posłuchał, opadając na trawę obok lady Cynthii. Był przystojnym, trzydziestoletnim mężczyzną o białych zębach i zaraźliwym uśmiechu.

— Cieszę się, że komuś jestem potrzebny — powiedział. — Scottowie zachowują się jak papuzki nierozłączki: dwoje to towarzystwo, troje — niedogodność. Porter pożera swoją gazetę, a mnie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, że zacznie mnie zabawiać nasza gospodyni.

Roześmiał się. Lady Cynthia zawtórowała mu. Pan Satterthwaite, pod pewnymi względami staromodny i rzadko żartujący ze swoich gospodarzy, póki nie opuścił ich domu, zachował powagę.

— Biedny Jimmy — rzuciła lady Cynthia.

— Nie pytaj, dlaczego, lecz zwiewaj, kolego. Ledwie udało mi się uniknąć wysłuchania rodzinnej historii o duchach.

— Duch Unkertonów — powiedziała lady Cynthia.

— Przerazające.

— Nie Unkertonów — sprostował pan Satterthwaite.

— Duch Greenways House. Kupili go razem z domem.

— Oczywiście — poprawiła się lady Cynthia. — Teraz sobie przypominam. Ale on nie stuka łańcuchami, prawda? Ma jedynie coś wspólnego z oknem?

Jimmy Allenson błyskawicznie podniósł wzrok.

— Z oknem?

Jednak pan Satterthwaite nie odpowiedział od razu. Patrzył ponad głowę Jimmy'ego na trzy postacie nadchodzące od strony domu — szczupłą dziewczynę między dwoma mężczyznami. Obu łączyło zewnętrzne podobieństwo: byli wysocy, ciemnowłosi, o opalonych twarzach i bystrych oczach, lecz na drugi rzut oka to podobieństwo znikało. Richard Scott, myśliwy i podróżnik, obdarzony był wyjątkowo energicznym charakterem. Miał wręcz magnetyczny urok. John Porter, jego przyjaciel i towarzysz wypraw, był bardziej krępy, miał nieruchomą, beznamietną twarz i zamyślane, szare oczy. Był to człowiek spokojny i zadowolony, że przy swoim koledze zawsze gra drugie skrzypce.

Między tą dwójką szła Moira Scott, jeszcze trzy miesiące temu Moira O'Connell. Miała smukłą figurę, rozmarzone brązowe oczy i rudawozłote włosy okalające drobną buzię jak aureola.

Nie wolno skrzywdzić tego dziecka — powiedział sobie pan Satterthwaite. — Krzywda wyrządzona komuś tak niewinnemu byłaby czymś ohydny.

Lady Cynthia powitała nowo przybyłych machnięciem parasolki.

— Siadajcie i nie przerywajcie — poleciła. — Pan Satterthwaite opowiada nam historię o duchach.

— Uwielbiam opowieści o duchach — powiedziała Moira Scott. Usiadła lekko na trawie.

— O duchu z Greenways House? — zapytał Richard Scott.

— Tak. Zna ją pan? Scott przytaknął.

— Przyjeżdżałem tu w dawnych czasach — wyjaśnił. — Zanim Elliotowie musieli sprzedać posiadłość. To duch Wszystkowidzącego Kawalera, prawda?

— Wszystkowidzący Kawaler — powtórzyła cicho jego żona. — To mi się podoba. Brzmi interesująco. Proszę opowiadać.

Ale pan Satterthwaite nie miał na to zbyt wielkiej ochoty. Zapewnił ją, że cała historia wcale nie jest ciekawa.

— Teraz dopiero pan narobił, panie Satterthwaite — stwierdził z ironią Richard Scott. — Pańska niechęć pobudza zaciekawienie.

I ponieważ wszyscy się tego domagali, pan Satterthwaite musiał zacząć mówić.

— To naprawdę mało ciekawe — usprawiedliwił się. — Wszystko zaczyna się od przodka Elliotów, który należał do prostuartowskiego stronnictwa Kawalerów. Jego żona miała kochanka, który popierał Cromwella. Kochanek zabił męża w pokoju na piętrze i oboje musieli uciekać, ale odjeżdżając obejrzeli się na dom i zobaczyli w oknie twarz spoglądającego za nimi zmarłego. Tyle legenda, natomiast opowieść o duchu dotyczy jedynie szyby w oknie w tym właśnie pokoju, na której widać nieregularną plamę, niemal niewidoczną z bliska, natomiast z daleka rzeczywiście przypominającą twarz mężczyzny.

— Które to okno? — zapytała pani Scott, kierując spojrzenie na dom.

— Stąd go nie widać — wyjaśnił pan Satterthwaite. — Jest po drugiej stronie, ale wiele lat temu zabito je deskami od wewnątrz. To było czterdzieści lat temu, jeśli mam być dokładny.

— Dlaczego? Przecież mówił pan chyba, że ten duch nigdzie nie wędruje?

— I tak jest — zapewnił ją pan Satterthwaite. — Sądzę... wydaje mi się, że wokół tej historii zaczęło krążyć za dużo przesądów, i tyle.

Po czym całkiem zręcznie udało mu się zmienić temat rozmowy. Jimmy Allenson z ochotą zajął się problemem egipskich wróżbiarzy.

— Większość z nich to oszuści. Gotowi podać niejasne informacje dotyczące przeszłości, ale nie odważą się już sięgnąć w przyszłość.

— Zawsze sądziłem, że jest dokładnie odwrotnie — zauważył John Porter.

— W tym kraju przewidywanie przyszłości jest nielegalne, prawda? — rzucił Richard Scott. — Moira namawiała jedną Cyganekę, by jej powróżyła, ale ta zwróciła szylinga i powiedziała, że nie warto lub coś w tym sensie.

— Może zobaczyła coś tak przerażającego, że nie chciała mi o tym powiedzieć — odezwała się Moira.

— Niech pani nie przesadza, pani Scott — rzucił lekko Allenson. — Ja nigdy nie uwierzę, że wisi nad panią jakiegokolwiek fatum.

Kto wie — pomyślał pan Satterthwaite. — Kto wie.

Podniósł gwałtownie wzrok. Od strony domu nadchodziły dwie kobiety: niska, krępa, czarnowłosa, w wyszarzałej, niegustownej zielonej sukni i wysoka, smukła, w kremowej bieli. Pierwszą była gospodyni, pani Unkerton, a drugą kobieta, o której często słyszał, ale której nigdy jeszcze nie spotkał.

— Oto pani Staverton — obwieściła pani Unkerton pełnym satysfakcji tonem. — Pewnie wszyscy się znacie.

— Ci ludzie mają niesamowity dar mówienia właśnie tego, czego nie powinni — mruknęła lady Cynthia, ale pan Satterthwaite jej nie słuchał. Przyglądał się pani Staverton.

Bardzo swobodna, bardzo naturalna. Rzuciła bez troski:

— Witaj, Richardzie, wieki całe, odkąd się widzieliśmy. Przykro mi, że nie mogłam przyjść na ślub. To twoja żona? Musi być pani zmęczona poznawaniem wszystkich nadgryzionych zębem czasu starych przyjaciół męża?

Odpowiedź Moiry była stosowna, choć raczej nieśmiała. I szybkie, oceniające spojrzenie starszej z kobiet, natychmiast przeniesione na drugiego z dawnych znajomych.

— Witaj, John! — tym samym swobodnym tonem, choć z delikatną zmianą brzmienia: z ciepłym nieobecny wcześniej.

A potem ten nagły uśmiech. Zupełnie ją odmienił. Lady Cynthia miała absolutną rację. Niebezpieczna kobieta! Bardzo piękna: głębokie, niebieskie oczy — kolor nietypowy dla kusicielek; twarz, niemal wymizerowana, rozjaśniała się w nieoczekiwanym, olśniewającym uśmiechu. Mówiła wolno, przeciągle.

Iris Staverton usiadła. W naturalny, nieuchronny sposób stała się centrum całej grupki. Miało się wrażenie, że tak by się stało w każdej sytuacji.

Od rozważań oderwał pana Satterthwaite'a major Porter, proponując przechadzkę. Pan Satterthwaite, który z reguły nie przepadał za spacerami, wyraził zgodę. Obaj odeszli niespiesznym krokiem przez trawnik.

— Opowiedział nam pan bardzo ciekawą historię — ocenił major.

— Pokażę panu to okno — zaproponował pan Satterthwaite.

Poprowadził swego towarzysza wzdłuż zachodniej ściany domu. Urządzono tu niewielki, tradycyjny ogródek. Nazywano go Prywatnym Ogrodem i ta nazwa miała pewne uzasadnienie, gdyż otaczał go wysoki żywopłot z ostrokrzewu i nawet wchodziło się doń krętą dróżką między kłującymi krzakami.

A kiedy się już weszło, ogród okazywał się naprawdę czarujący, ze staromodnymi, konwencjonalnymi grządkami kwiatów, ścieżkami wyłożonymi kamieniem i niską, kamienną ławką, ozdobnie rzeźbioną. Kiedy dotarli do samego środka, pan Satterthwaite odwrócił się i wskazał na dom. Dłuższe ściany Greenways House biegnęły z północy na południe. Wąska ściana zachodnia miała tylko jedno okno na pierwszym piętrze, niemal zupełnie przysłonięte bluszczem. Szybki oblepiał brud i ledwo było widać, że od środka zabito je deskami.

— Oto ono — powiedział pan Satterthwaite.

Porter spojrział w górę, wyciągając lekko szyję.

— Hmm... widzę jakieś zabarwienie na jednej z szyb, nic poza tym.

— Jesteśmy za blisko — powiedział pan Satterthwaite. — Dalej w lesie jest polanka, z której widać to naprawdę wyraźnie.

Wyprowadził majora z Prywatnego Ogrodu i skracając ostro w lewo, wszedł do lasu. Opanował go entuzjazm przewodnika i nie zauważył, że mężczyzna u jego boku jest nieobecny duchem i nieuważny.

— Musieli, oczywiście, wybić drugie okno, kiedy zasłonili to — wyjaśniał. — To nowe wychodzi na południową stronę, na trawnik, na którym siedzieliśmy. Wydaje mi się, że właśnie tam mieszkają Scottowie. Dlatego nie chciałem poruszać tematu. Pani Scott mogłaby się zdenerwować, gdyby odkryła, że śpi w pokoju, który można by nazwać nawiedzonym.

— Tak, rozumiem — rzucił Porter.

Pan Satterthwaite spojrział na niego ostro i uświadomił sobie, że jego towarzysz nie słyszał ani słowa z tego, co mówił.

— Bardzo interesujące — ciągnął Porter. Uderzał laską w łodygi naparstnicy. Rzucił ze zmarszczonym czołem: — Nie powinna była przyjeżdżać. Nie powinna tu była nigdy przyjeżdżać.

Ludzie często zachowywali się w ten sposób przy panu Satterthwaicie. Wydawało się, że ma niewielkie znaczenie, niemal niedostrzegalną osobowość. Był jedynie świetnym słuchaczem.

— Nie — powtórzył Porter — nie powinna była tu nigdy przyjeżdżać.

Pan Satterthwaite wiedział, że Porter nie mówi o pani Scott.

— Tak pan sądzi? — zapytał.

Porter potrząsnął głową, jakby przeczuwał jakieś nieszczęście.

— Byłem na tej wyprawie — rzucił gwałtownie.

— Byliśmy tam w trójkę: Scott, ja i Iris. To wspaniała kobieta... i cholernie dobrze strzela. — Urwał na chwilę.

— Dlaczego ją zaprosili? — zapytał raptownie.

Pan Satterthwaite wzruszył ramionami.

— Z czystej ignorancji — powiedział.

— Szykują się kłopoty. Musimy ich pilnować... i zrobić, co możemy.

— Lecz z pewnością pani Staverton...?

— Mówię o Scotcie. — Urwał. — Widzi pan... trzeba brać pod uwagę panią Scott.

Pan Satterthwaite cały czas brał ją pod uwagę, lecz nie uważał, by było konieczne wspominać o tym, skoro jego towarzysz najwyraźniej zupełnie o niej zapomniał — aż do teraz.

— Kiedy Scott poznał swoją żonę? — zapytał.

— Zeszłej zimy w Kairze. Poszło błyskawicznie. Zaręczyli się po trzech tygodniach, pobrali po sześciu.

— Wydaje mi się bardzo czarująca.

— I taka jest, niewątpliwie. A on ją ubóstwia... ale to i tak nie ma znaczenia. — I znów major Porter powtórzył pod nosem, używając zaimka, który dla niego oznaczał tylko jedną osobę: — Niech to

wszyscy diabli, nie powinna była przyjeżdżać...

Akurat wyszli na wysokie, porośnięte trawą wzgórze, dość odległe od domu. Odzyskując dumę przewodnika, pan Satterthwaite wyciągnął ramię.

— Niech pan spojrzy — powiedział.

Szybko zapadał zmierzch. Okno nadal było widać wyraźnie i wydawało się, że do jednej z szybek przysunięta jest twarz mężczyzny. Na głowie miał ozdobiony piórem kapelusz.

— Nader osobliwe — ocenił Porter. — Naprawdę. Co będzie, jeśli kiedyś ktoś rozbije te szybę?

Pan Satterthwaite uśmiechnął się.

— To jeden z bardziej interesujących aspektów opowieści. O ile wiem, szybę wymieniano co najmniej jedenaście razy, a może jeszcze częściej. Po raz ostatni dwanaście lat temu, kiedy ówczesny właściciel domu postanowił rozprawić się z przesądami. Nic to nie dało. Plama zawsze pojawia się ponownie — nie od razu, zabarwienie rozszerza się stopniowo. Z reguły zajmuje to miesiąc lub dwa.

Po raz pierwszy Porter okazał oznaki prawdziwego zainteresowania. Wstrząsnął nim nagły dreszcz.

— Cholernie dziwne są takie historie. Nie ma dla nich wyjaśnienia. Jaka jest prawdziwa przyczyna zasłonięcia okna?

— Cóż, mieszkańcy doszli do wniosku, że... sprowadza nieszczęście. W tym pokoju nocowali Eveshamowie tuż przed rozwodem. Potem zatrzymali się w nim Stanley i jego żona. On uciekł z chórzystką.

Porter uniósł brwi.

— Rozumiem. Zagrożenie — nie dla życia, lecz dla zasad moralnych.

A teraz — pomyślał pan Satterthwaite — mieszkają w nim Scottowie... Zastanawiam się...

W milczeniu skierowali kroki ku domowi. Idąc niemal bezszelestnie po miękkiej darni, każdy pochłonięty swoimi myślami, mimo woli usłyszeli czyjąś rozmowę.

Zbliżali się do rogu żywopłotu z ostrokrzewu, kiedy z głębi Prywatnego Ogrodu dobiegły ich wyraźne, gwałtowne słowa Iris Staverton.

— Będiesz tego żałował!

Odpowiedź Scotta padła cicha i niepewna, tak więc słów nie można było odróżnić, a potem znów usłyszeli głos kobiety; to, co powiedziała, mieli sobie przypomnieć później.

— Zazdrość może zaprowadzić w otchłań piekła. Ona jest piekłem. Może skłonić do morderstwa. Uważaj, Richardzie, na miłość Boską, uważaj!

Zaraz potem wyszła z ogrodu, przed nimi, i zniknęła za rogiem domu, nie zauważywszy ich obecności. Szła szybko, niemal biegnąc, jak kobieta ścigana przez koszmary.

Pan Satterthwaite ponownie zastanowił się nad słowami lady Cynthii. Niebezpieczna kobieta. Po raz pierwszy miał przeczucie tragedii, zbliżającej się szybko, nieubłagane, niezaprzeczalnie.

Jednak tego samego wieczoru zawstydził się swoich obaw. Wszystko wyglądało normalnie i przyjemnie. Pani Staverton zachowywała się swobodnie jak zawsze, nie okazując śladu napięcia. Moira Scott była czarująca i naturalna. Obie kobiety najwyraźniej się zaprzyjaźniły. Natomiast Richard Scott wpadł w niesforny nastrój.

Najbardziej zmartwioną osobą była pani Unkerton. Zwierzyła się panu Satterthwaite'owi.

— Może pan uznać to za głupie, ale cierpie mi skóra. Powiem panu szczerze, że posłałam po szklarza, nie mówiąc nic Nedowi.

— Po szklarza?

— Żeby wstawił nową szybę w tym oknie. Ned jest z niego dumny, powiada, że to nadaje domowi charakter. Ale mnie ta cała historia wcale się nie podoba. Mówię bez ogródek. Wstawimy ładną, czystą tafel szkla, z którą nie łączą się żadne okropne opowieści.

— Zapomina pani o czymś — rzucił pan Satterthwaite — albo pani o tym nie wie. Ta plama zawsze pojawia się ponownie.

— Być może — odparła pani Unkerton. — A jeśli nawet, to mogę jedynie stwierdzić, że jest to wbrew naturze!

Pan Satterthwaite uniósł w górę brwi, ale nic na to nie odrzekł.

— A w ostateczności — ciągnęła pani Unkerton wojowniczo — to Ned i ja nie jesteśmy takimi bankrutami, żeby nie stać nas było na nową szybę co miesiąc... a nawet co tydzień, jeśli będzie trzeba.

Pan Satterthwaite nie podjął wyzwania. Zbyt często widział, jak wszystko ustępuje przed potęgą pieniądza, by wierzyć, że duch Kawalera może wygrać tę walkę. Tym niemniej intrygował go niepokój pani Unkerton. Nawet ona nie uchroniła się przed unoszącym się w powietrzu napięciem — tyle że przypisywała je opowieści o duchu, a nie konfliktowi między gośćmi.

Przeznaczeniem pana Satterthwaite'a było usłyszeć jeszcze jeden urywek rozmowy, który rzucił pewne światło na całą sytuację. Udawał się akurat na spoczynek, idąc po szerokich schodach na górę, a John Porter i pani Staverton siedzieli razem w niszy w holu. W pięknym głosie pani Staverton pobrzmiwała lekka irytacja.

— Nie miałam najmniejszego pojęcia, że będą tu Scottowie. Na pewno nie przyjechałabym, gdybym o tym wiedziała, ale zapewniam cię, mój drogi Johnie, że skoro już tu jestem, nie zamierzam uciekać...

Pan Satterthwaite wspiął się wyżej i znalazł się poza zasięgiem ich głosów. Pomyślał sobie: Zastanawiam się, na ile jest to prawdą? Czy rzeczywiście nie wiedziała? Ciekawe, jak się to skończy?

Potrząsnął głową.

W jasnym świetle poranka poczuł, że być może reagował zbyt melodramatycznie, rozważając wydarzenia minionego wieczoru. Chwilowe napięcie, na pewno nieuniknione w tych okolicznościach, lecz nic więcej. Wszyscy dopasowali się do sytuacji. Przeczucie, że nadchodziła wielka katastrofa, to były tylko nerwy, jedynie nerwy.... a może odezwała się wątroba. Tak jest: wątroba. Za dwa tygodnie wyjeżdżał do Karlsbadu.

Tego wieczoru zaproponował mały spacer, kiedy tylko zaczęło się ściemniać. Zwrócił się do majora Portera: może wybraliby się na polankę w lesie zobaczyć, czy pani Unkerton dotrzymała słowa i wymieniła szybę? A w duchu powiedział sobie: Trochę ruchu, oto, czego mi trzeba. Trochę ruchu.

Szli wolno przez las. Porter jak zwykle milczał.

— Nie mogę oprzeć się wrażeniu — odezwał się pan Satterthwaite gawędziarskim tonem — że nasze wczorajsze przypuszczenia były trochę przesadne. Mówię o spodziewanych... hmm... kłopotach. W końcu ludzie potrafią się zachować, ukryć swoje uczucia i tak dalej.

— Być może — odparł Porter. Po chwili dodał: — Ludzie cywilizowani.

— To znaczy...?

— Ci, którzy sporo czasu spędzili poza cywilizowanym światem, czasami cofają się. Powracają do dawnych nawyków. Jakkolwiek to nazwać.

Weszli na trawiaste wzgórze. Pan Satterthwaite oddychał szybciej. Nigdy nie lubił się wspinać.

Spojrzał na okno. Twarz nadal tam była, żywsza niż kiedykolwiek.

— Jak widzę, nasza gospodyni pożałowała pieniędzy. Porter rzucił jedynie pobieżne spojrzenie.

— Unkerton musiał się sprzeciwić — powiedział obojętnie. — To facet, który jest dumny nawet z ducha innej rodziny i nie zamierza ryzykować, że duch zniknie, kiedy już zapłacił za niego gotówką.

Przez kilka chwil milczał, patrząc nie na dom, lecz na otaczające ich gęste zarośla.

— Czy nigdy nie zastanowiło pana, że cywilizacja jest cholernie niebezpieczna? — zapytał.

— Niebezpieczna? — Rewolucyjna uwaga zaszokowała pana Satterthwaite'a do głębi.

— Tak. Widzi pan, nie ma zaworów bezpieczeństwa.

Odwrócił się gwałtownie i zaczęli schodzić dróżką, którą tu przyszli.

— Zupełnie pana nie rozumiem — wyznał pan Satterthwaite, biegnąc żwawo, by dotrzymać kroku towarzyszowi. — Ludzie rozsądni...

Porter roześmiał się. Był to krótki, wytrącający z równowagi śmiech. Potem zerknął na poprawnego, małego dżentelmena u swojego boku.

— Myśli pan, że to gołosłowna paplanina, panie Satterthwaite? Lecz istnieją ludzie, którzy potrafią przewidzieć nadchodzącą burzę. Wyczuwają ją w powietrzu. A inni potrafią przewidzieć kłopoty. Właśnie teraz szykują się kłopoty, panie Satterthwaite, i to duże. Mogą zjawić się w każdej chwili. Mogą...

Urwał raptownie, chwytając pana Satterthwaite'a za ramię. I w tej pełnej napięcia ciszy dobiegł ich odgłos dwóch strzałów, a po nich krzyk — krzyk kobiety.

— Na Boga! — zawołał Porter. — Stało się!

Popędził w dół ścieżką, a pan Satterthwaite truchtał za nim. W minutę znaleźli się na trawniku obok żywopłotu Prywatnego Ogrodu. W tej samej chwili zza rogu domu wyłonili się Richard Scott i pan Unkerton. Obie grupki zatrzymały się po obu stronach wejścia do ogrodu, wymieniając spojrzenia.

— To... to dochodziło stąd — powiedział Unkerton, wyciągając roztrzęsioną dłoń.

— Musimy to sprawdzić — rzucił Porter. Powiódł resztę do środka. Kiedy minął ostatni zakręt żywopłotu, zatrzymał się raptownie. Pan Satterthwaite wyjrzał nad jego ramieniem. Richard Scott wydał głośny okrzyk.

W Prywatnym Ogrodzie znajdowały się trzy osoby. Dwie leżały na trawie koło kamiennego siedziska: mężczyzna i kobieta. Trzecią była pani Staverton. Stała blisko nich, pod ostrokrzewem, z przerażonym wzrokiem; trzymała coś w prawej dłoni.

— Iris — zawołał Porter. — Iris. Na miłość boską! Co ty masz w ręku?

Dopiero wtedy spuściła wzrok — zdumiony, pełen niedowierzania.

— To pistolet — powiedziała zaskoczona. A po chwili, która wydała się nieskończonością, lecz trwała zaledwie kilka sekund, dodała: — Podniosłam go.

Pan Satterthwaite zbliżył się do Unkertonu i Scotta klęczących na trawie.

— Lekarz — rzucił półgłosem Scott. — Musimy wezwać lekarza.

Lecz na lekarza było już za późno. Jimmy Allenson, który narzekał, że pustynni wróżbici nie chcieli mówić o przyszłości i Moira Scott, której Cyganka zwróciła szylinga, leżeli tam w ostatecznym bezruchu.

Richard Scott zakończył pośpieszne oględziny.

W krytycznej sytuacji dowiódł, że ma żelazne nerwy. Po krzyku rozpaczy znów był sobą.

Delikatnie opuścił na ziemię ciało swojej żony.

— Strzelono jej w plecy — stwierdził krótko. — Kula przeszła na wylot.

Potem zajął się Jimmym Allensonem. Postrzelono go w pierś i kula utkwiała w ciele. Podszedł do nich John Porter.

— Nie powinniśmy niczego dotykać — rzucił sucho. — Policja musi zastać wszystko tak, jak w tej chwili.

— Policja — powtórzył Richard Scott. Skierował wzrok na kobietę stojącą pod żywopłotem i jego oczy rozbłysły nagle. Zrobił krok w jej stronę, lecz jednocześnie poruszył się John Porter, jakby chciał zagrozić mu drogę. Przez chwilę wydawało się, że obaj przyjaciele toczą pojedynek na spojrzenia.

Porter bardzo spokojnie pokręcił głową.

— Nie, Richardzie — powiedział. — To może tak wyglądać, ale się mylisz.

Richard Scott odezwał się z trudem, zwilżając językiem wysuszone wargi.

— Więc dlaczego... trzyma go w ręku?

Iris Staverton znów przemówiła pozbawionym życia tonem: — Podniosłam go.

— Policja — rzucił Unkerton, wstając. — Musimy natychmiast ich wezwać. Może ty zadzwonisz, Scott? Ktoś powinien tu zostać... Tak, jestem pewien, że ktoś musi zostać na miejscu.

W typowy dla siebie spokojny, dystyngowany sposób pan Satterthwaite zaoferował swoje usługi. Jego gospodarz przyjął propozycję z wyraźną ulgą.

— Panie — wyjaśnił — muszę powiadomić o tym panie, lady Cynthię i moją drogą małżonkę.

Pan Satterthwaite został w Prywatnym Ogrodzie, patrząc na ciało Moiry Scott.

— Biedne dziecko — powiedział do siebie. — Biedne dziecko...

Przypomniała mu się sentencja o tym, że zło, które czynią ludzie, idzie za nimi trop w trop. Czyż Richard Scott nie był w pewnym sensie odpowiedzialny za śmierć swojej niewinnej żony? Przypuszczał, że Iris Staverton zostanie powieszona. Nie podobała mu się ta myśl, lecz czy chociaż część winy nie spoczywała na Scotcie? Zło, które czynią ludzie...

I zapłacała za to niewinna dziewczyna.

Spojrzał na nią z ogromnym żalem. Jej drobna twarzyczka, tak blada i pełna tęsknoty; na jej ustach

wciąż błąkał się półuśmiech. Burza złotych włosów, delikatne ucho. Na płatku widać było plamę krwi. Czując, jak budzi się w nim dusza detektywa, pan Satterthwaite wydedukował, że upadając musiała zerwać kolczyk. Pochylił głowę. Tak, miał rację, z drugiego ucha zwisała mała perełka.

Biedne dziecko, biedne dziecko.

— Kolej na panów — powiedział inspektor Winkfield. Siedzieli w bibliotece. Inspektor, mężczyzna o silnej osobowości i przenikliwym spojrzeniu, tuż po czterdziestce, kończył przeprowadzać przesłuchanie. Rozmawiał już z większością gości i do tej pory zdążył sobie wyrobić pogląd na sprawę. Wysłuchał tego, co do powiedzenia mieli major Porter i pan Satterthwaite. Pan Unkerton siedział ociężale na krześle, patrząc wytrzeszczonymi oczyma na przeciwległą ścianę.

— Jak zrozumiąłem — mówił inspektor — wybrali się panowie na spacer. Wracaliście do domu ścieżką biegnącą po lewej stronie ogrodu nazywanego Prywatnym. Zgadza się?

— Dokładnie, inspektorze.

— Usłyszeliście dwa strzały i krzyk kobiety?

— Tak.

— Po czym wybiegliście jak najszybciej z lasu i weszliście do Prywatnego Ogrodu. Można z niego wyjść tylko tą jedną drogą. Nie sposób przedrzeć się przez ostrokrzew. Gdyby ktokolwiek wybiegł z ogrodu i skręcił w prawo, natknąłby się na pana Unkerton i pana Scotta. Gdyby skręcił w lewo, wy byście go zobaczyli. Czy tak?

— Tak jest — przyznał major Porter. Jego twarz była bardzo blada.

— To załatwia sprawę — podsumował inspektor. — Państwo Unkerton i lady Cynthia Drage siedzieli na trawniku, pan Scott był w pokoju bilardowym, którego okna wychodzą na trawnik. Dziesięć po szóstej pani Staverton wyszła z domu, zamieniła kilka słów z grupką na trawniku i obeszła dom, kierując się w stronę Prywatnego Ogrodu. Dwie minuty później usłyszano strzały. Pan Scott wybiegł z domu i razem z panem Unkertonem pobiegł do ogrodu. W tym samym czasie pan i pan... hmm... Satterthwaite nadeszliście z przeciwnego kierunku. W ogrodzie stała pani Staverton z pistoletem w dłoni. Z tej broni padły dwa strzały. Według mnie najpierw strzeliła od tyłu do młodej damy siedzącej na ławce. Na to podskoczył ku niej kapitan Allenson, a ona strzeliła mu w pierś. Jak rozumiem, wcześniej... hmm... łączyło ją coś z panem Richardem Scottem...

— To cholerne kłamstwo — wtrącił się Porter.

Jego głos zabrzmiał ochryple, wojowniczo. Inspektor nie powiedział słowa, pokręcił tylko głową.

— Jak brzmi jej wersja? — zapytał pan Satterthwaite.

— Mówi, że poszła do ogrodu, by przez chwilę побыć w ciszy. Właśnie gdy mijała ostatni krzew,

usłyszała strzały. Wyszła zza rogu, zobaczyła u swoich stóp pistolet i podniosła go. Nikt nie przechodził obok niej i w ogrodzie nie zobaczyła nikogo prócz obu ofiar. — Inspektor umilkł znacząco. — Tak mówi i chociaż ją ostrzegłem, nalega na złożenie zeznań.

— Jeśli tak powiedziała — odezwał się major Porter, wciąż śmiertelnie blady — mówiła prawdę. Znam Iris Staverton.

— Cóż, proszę pana, na to wszystko będzie mnóstwo czasu później — stwierdził inspektor. — Na razie muszę spełnić mój obowiązek.

Porter zwrócił się gwałtownie do pana Satterthwaite'a.

— Pan! Nie może pan pomóc? Nie może pan nic zrobić?

Pan Satterthwaite musiał przyznać w duchu, że ogromnie mu to pochwaliło. Odwołano się do niego, najmniej znaczącego z ludzi, i uczynił to ktoś taki jak John Porter.

Miał właśnie odpowiedzieć, jak mu przykro, kiedy lokaj, Thompson, wszedł do pokoju z wizytówką na tacy, którą podał swojemu panu z przepaszającym kasznięciem. Pan Unkerton nadal siedział zgarbiony na krześle, nie biorąc udziału w rozmowie.

— Powiedziałem temu dżentelmenowi, że prawdopodobnie nie będzie pan w stanie go przyjąć, sir — stwierdził Thompson. — Lecz on upierał się, że umawiał się z panem i że sprawa jest bardzo pilna.

Unkerton wziął wizytówkę.

— Pan Harley Quin — odczytał. — Pamiętam, miał zobaczyć się ze mną w sprawie pewnego obrazu. Rzeczywiście umawiałem się z nim, lecz sprawy tak się ułożyły...

Na to odezwał się pan Satterthwaite.

— Powiedział pan: Harley Quin? — zawołał. — To nadzwyczajne, absolutnie nadzwyczajne! Majorze, pytał mnie pan, czy mogę pomóc. Chyba tak. Ten pan Quin jest moim przyjacielem... powinienem raczej rzec: znajomym. To wyjątkowy człowiek.

— Zapewne jeden z tych detektywów-amatorów — stwierdził lekceważąco inspektor.

— Nie — zaprzeczył pan Satterthwaite. — W żadnym razie. Lecz ma moc, niemal niezwykłą moc, pokazywania tego, co widzieliśmy na własne oczy, wyjaśniania tego, co słyszeliśmy na własne uszy. Możemy opowiedzieć mu o wypadku i zobaczyć, co nam powie.

Pan Unkerton spojrzał na inspektora, który prychnął tylko i skierował wzrok na sufit. Na co pan Unkerton skinął krótko Thompsonowi. Służący wszedł z pokoju i wrócił po chwili, wprowadzając wysokiego, smukłego mężczyznę.

— Pan Unkerton? — nieznajomy uściśnął jego dłoń.

— Przepraszam, że przeszkadzam w takiej chwili. Musimy odłożyć naszą pogawędkę o obrazie na inną porę. Ach! Oto mój przyjaciel, pan Satterthwaite. Wciąż lubi pan tragedie?

Przy tych słowach na jego ustach przez chwilę błąkał się delikatny uśmiech.

— Panie Quin — zaczął z emfazą pan Satterthwaite — mamy tu dramat, jesteśmy w samym jego środku. Ja i mój przyjaciel, major Porter, chcielibyśmy poznać pańską opinię.

Pan Quin usiadł. Lampa z czerwonym kloszem rzucała barwne światło na jego kraciatą marynarkę i pozostawiała w cieniu jego twarz, co sprawiało wrażenie, jakby nosił maskę.

Pan Satterthwaite zwięźle przedstawił główne punkty tragedii. Potem umilkł, z zapartym tchem czekając na słowa wyroczni.

Lecz pan Quin tylko potrząsnął głową.

— Smutna historia — powiedział. — Nader smutna i szokująca tragedia. Bardzo intrygującą czyni ją brak motywu.

Unkerton zagapił się na niego.

— Nie rozumie pan — powiedział. — Słyszano, jak pani Staverton groziła Richardowi Scottowi. Była potwornie zazdrosna o jego żonę. Zazdrość...

— Zgadza się — stwierdził pan Quin. — Zazdrość lub szaleńcza obsesja. To to samo. Lecz pan mnie nie zrozumiał. Nie mówiłem o zamordowaniu pani Scott, ale kapitana Allensona.

— Ma pan rację — zawołał Porter, zrywając się z krzesła. — To jest słaby punkt. Gdyby Iris kiedykolwiek rozważyła zabicie pani Scott, dopadłaby ją gdzieś na osobności. Tak, obraliśmy złą taktykę. Chyba widzę inne rozwiązanie. Tylko ta trójka weszła do Prywatnego Ogrodu. To nie podlega dyskusji i nie zamierzam tego podważać. Lecz tę tragedię można odtworzyć na inny sposób. Przypuśćmy, że Jimmy Allenson zastrzelił najpierw panią Scott, a potem siebie. To możliwe, prawda? Odrzucił pistolet, kiedy upadał, a pani Staverton znalazła go na ziemi i podniosła, dokładnie tak, jak mówiła. I jak?

Inspektor potrząsnął głową.

— To się nie trzyma kupy, majorze. Gdyby kapitan Allenson strzelił do siebie z tak niewielkiej odległości, na jego ubraniu zostałyby ślady.

— Mógłby trzymać broń na odległość wyciągniętego ramienia.

— A po co? Nie ma w tym żadnego sensu. Poza tym, brakuje motywu.

— Może nagle stracił głowę — mruknął Porter, lecz bez większego przekonania. Umilkł na chwilę, a potem nagle rzucił z wyzwaniem: — I co, panie Quin?

Pan Quin pokręcił głową.

— Nie jestem czarodziejem ani choćby kryminologiem. Lecz powiem panu jedno: wierzę w wartość wrażeń. W czasie kryzysu jest zawsze taka chwila, która wybija się nad inne, jeden obraz, który pozostaje, gdy wszystko inne zblaknie. Myślę, że pan Satterthwaite jest najbardziej pozbawionym uprzedzeń obserwatorem z wszystkich tu obecnych. Czy cofnie się pan pamięcią, panie Satterthwaite, i opowie nam o chwili, która wywarła na panu największe wrażenie? Czy było to wtedy, kiedy usłyszał pan strzały? Czy kiedy po raz pierwszy zobaczył pan ciała? Czy gdy zauważył pan pistolet w dłoni pani Staverton? Proszę zapomnieć o wnioskach, do jakich pan doszedł i opowiedzieć nam o wrażeniach.

Pan Satterthwaite utkwiał wzrok w twarzy pana Quina, trochę jak uczeń, szykujący się, by powtórzyć wyuczoną lekcję, której nie jest zbyt pewien.

— Nie — powiedział powoli. — To nie było nic z tego, co pan wymienił. Na zawsze zapamiętam tę chwilę, gdy stałem sam przy ciałach, już później, i patrzyłem na panią Scott. Leżała na boku. Miała splecione włosy. Na jej uchu była plama krwi.

I natychmiast gdy to powiedział, poczuł, że była to rzecz bardzo znacząca.

— Krew na uchu? Tak, pamiętam — stwierdził powoli Unkerton.

— Musiała zerwać kolczyk w czasie upadku — wyjaśnił pan Satterthwaite.

Lecz kiedy to mówił, wyjaśnienie nie wydawało się już tak oczywiste.

— Leżała na lewym boku — dołączył się Porter. — Pewnie chodzi o lewe ucho?

— Nie — rzucił szybko pan Satterthwaite. — To było prawe ucho.

Inspektor chrząknął.

— Znalazłem to w trawie — udzielił łaskawie wyjaśnienia. Wyjął zapięcie ze złotego drucika.

— Ależ na Boga, człowieku! — zawołał Porter. — Tego nie można było zerwać w czasie upadku. Bardziej prawdopodobne, że kolczyk został trafiony kulą.

— I tak było! — zawołał pan Satterthwaite. — To była kula. Na pewno.

— Padły tylko dwa strzały — zauważył inspektor.

— Kula nie mogła trafić w kolczyk i jednocześnie przestrzelić jej pleców. A jeśli jeden ze strzałów uderzył w kolczyk, a drugi ją zabił, nie mógł zabić też kapitana Allensona, chyba że stał tuż przed nią, i to bardzo blisko, twarzą do niej. Och! Nie, nawet wtedy, chyba że... to znaczy...

— Chyba że stała w jego objęciach, chciał pan powiedzieć — dokończył pan Quin z dziwnym uśmiechem.

— Cóż, dlaczego nie?

Zebrani wymienili spojrzenia. To było absurdalne: Allenson i pani Scott...? Wyraz ich uczuciom dał pan Unkerton.

— Lecz oni ledwo się znali — powiedział.

— No, nie wiem — rzucił z namysłem pan Satterthwaite. — Mogli znać się lepiej, niż sądziliśmy. Lady Cynthia mówiła mi, że Allenson uratował ją przed nudą w Egipcie zeszłej zimy, a pan — tu zwrócił się do Portera — pan opowiadał mi, że Richard Scott spotkał swoją żonę zeszłej zimy w Kairze. Tam mogli poznać się naprawdę dobrze...

— Nie przebywali ze sobą zbyt często — powiedział Unkerton.

— Nie, raczej się unikali. Zachowywali się niezbyt naturalnie, jak teraz o tym pomyślę...

Wszyscy spojrzeli na pana Quina, jakby trochę zaskoczeni wnioskiem, do jakiego tak niespodziewanie doszli.

Pan Quin wstał.

— Widzą państwo — odezwał się — jak bardzo pomogło nam wrażenie zapamiętane przez pana Satterthwaite'a. — Zwrócił się do Unkertona. — Teraz pańska kolej.

— Co? Nie rozumiem.

— Był pan pogrążony w myślach, kiedy wszedłem do pokoju. Chciałbym dokładnie wiedzieć, co pana dręczyło. Nieważne, jeśli nie ma to nic wspólnego z tragedią. Nieważne, jeśli panu wydaje się... zwykłym przesądem... — Pan Unkerton ledwie zauważalnie drgnął. — Proszę nam powiedzieć.

— No dobrze — zaczął Unkerton. — Choć nie ma to nic wspólnego ze sprawą i pewnie będziecie się ze mnie śmiać. Żałowałem, że moja żona uparła się i wymieniła szybę w tym nawiedzonym pokoju. Czuję — jakby — czyniąc to sprowadziła na nas klątwę.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego dwaj mężczyźni siedzący naprzeciw wytrzeszczyli oczy ze zdumienia.

— Przecież nie wymieniła jej jeszcze — odezwał się w końcu pan Satterthwaite.

— Wymieniła. Szklarz przyszedł z samego rana.

— Mój Boże! — wykrzyknął Porter. — Zaczynam rozumieć. Ten pokój wyłożony jest boazerią, a nie tapetą, prawda?

— Tak, ale co...?

Lecz Porter wypadł już z pokoju. Reszta poszła za nim. Powędrował prosto do sypialni Scottów. Był

to uroczy pokój, wyłożony kremowymi deskami, z dwoma oknami wychodzącymi na południową stronę. Porter obmacał dłońmi boazerię na zachodniej ścianie.

— Gdzieś tu musi być sprężyna. Aha! — Rozległo się kliknięcie i jedna z desek odsunęła się. Odśloniła oblepione brudem przekłete okno. Jedna z szybek była czysta i nowa. Porter pochylił się szybko i coś podniósł. Wyciągnął dłoń. Był to kawałek strusiego pióra. Potem popatrzył na pana Quina. Pan Quin skinął głową.

Podszedł do szafy na kapelusze stojącej w sypialni. Leżało w niej kilka nakryć głowy, należących do zmarłej. Wyjął ozdobny kapelusz z szerokim rondem i piórami — idealny na wyścigi w Ascot.

Odezwał się łagodnym, zadumanym tonem:

— Załóżmy, że pewien człowiek jest wyjątkowo zazdrosny z natury. Ten człowiek bywał tu w minionych latach i zna tajemnicę sprężyny ukrytej w boazerii. Dla zabawy naciska ją pewnego dnia i wygląda na Prywatny Ogród. Widzi swoją żonę i jakiegoś mężczyznę. Są pewni, że nikt nie może ich zobaczyć. Nie sposób wątpić, jaki stosunek ich łączy. Mężczyzna jest oszalały ze wściekłości. Co ma uczynić? Przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Idzie do szafy i nakłada kapelusz z szerokim rondem i piórami. Zapada zmrok, a on pamięta opowieść o plamie na szkle. Każdy, kto spojrzy na okno, uzna, że patrzy na Wszystkowidzącego Kawalera. Może więc bezpiecznie ich obserwować. W chwili, gdy obejmują się, strzela. Jest dobrym, a nawet świetnym strzelcem. Kiedy upadają, strzela jeszcze raz, ta kula rozbija kolczyk. Wyrzuca pistolet przez okno do ogrodu, pędzi na dół i przez pokój bilardowy wybiega przed dom.

Porter zrobił krok w jego stronę.

— Lecz pozwolił, by ją oskarżono! — zawołał. — Stał obok i pozwolił na to. Dlaczego? Dlaczego?

— Myślę, że wiem, dlaczego — powiedział pan Quin. — Domyślam się — choć to jedynie przypuszczenie z mojej strony — że Richard Scott był niegdyś szaleńczo zakochany w Iris Staverton. Do tego stopnia, że nawet spotkanie z nią po latach obudziło w nim płomień zazdrości. Rzekłbym, że Iris Staverton sądziła niegdyś, że mogłaby go pokochać, że wybrała się z nim i z jego przyjacielem na wyprawę myśliwską... i wróciła zakochana w lepszym człowieku.

— W lepszym człowieku — mruknął Porter, zaskoczony. — To znaczy...

— Tak — powiedział pan Quin z lekkim uśmiechem. — To oznacza pana. — Umilkł na chwilę, a potem powiedział: — Na pana miejscu poszedłbym teraz do niej.

— Tak zrobię — stwierdził Porter.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Pan Satterthwaite był zdenerwowany. Ten dzień od samego początku był pechowy. Wyruszyli późno, w drodze mieli już dwa przestoje, potem źle skręcili i zgubili się w samym środku pustkowiec Równiny Salisbury. Dochodziła ósma, byli czterdzieści mil przed Marswick Manor, dokąd zmierzali, kiedy samochód zepsuł się po raz trzeci, czyniąc wyprawę jeszcze bardziej irytującą.

Pan Satterthwaite wyglądał jak mały ptaszek o zmierzwionych piórkach. Przechadzał się w tę i z powrotem przed wioskowym warsztatem, podczas gdy jego szofer konferował ochryłym szeptem z miejscowym fachowcem.

— Co najmniej pół godziny — zawyrokował mechanik. — Jeśli będziemy mieli szczęście — dokończył Masters, szofer. — Moim zdaniem raczej trzy kwadranse.

— A jak w ogóle nazywa się ta miejscowość? — zapytał z rozdrażnieniem pan Satterthwaite. Jako dżentelmen, który bierze pod uwagę uczucia innych, zastąpił wyrazem „miejscowość” cisnące się na usta określenie „zapomniana przez Boga i ludzi dziura”.

— Kirtlington Mallet.

Niewiele to mówiło panu Satterthwaite’owi, choć nazwa brzmiała znajomo. Rozejrzał się wokół lekceważąco. Najwyraźniej Kirtlington Mallet składało się z kilku domów usytuowanych z rzadka wzdłuż jedynej ulicy, z warsztatem samochodowym i pocztą po jednej stronie oraz trzema nieokreślonymi sklepami po drugiej. Jednak dalej przy drodze pan Satterthwaite dostrzegł coś skrzypiącego i kołyszącego się na wietrze i jego nastrój poprawił się nieco.

— Jest tu gospoda, jak widzę — zauważył.

— Pod Dzwonkami i Błazeńskim Strojem — wyjaśnił mechanik. — Tam dalej.

— Gdybym mógł coś zasugerować, proszę pana — powiedział Masters — może by pan tam zajrzał? Na pewno podadzą jakiś posiłek, oczywiście nie taki, do jakiego pan przywykł. — Umilkł przepaszająco, gdyż pan Satterthwaite przywykł do najlepszych potraw europejskiej kuchni i miał na własne usługi cordon-bleu, której płacił bajeczną pensję. — Nie wyruszymy w drogę przez następne trzy kwadranse, proszę pana. Jestem pewien. A jest już po ósmej. Mógłby pan zadzwonić z gospody do sir George’a Fostera i powiadomić go o przyczynie naszego spóźnienia.

— Najwyraźniej uważasz, że wszystko potrafisz załatwić, Masters — rzucił kąśliwie pan Satterthwaite.

Masters, który rzeczywiście tak uważał, zachował pełne szacunku milczenie.

Mimo wielkiej ochoty, by odrzucić wszelkie propozycje, gdyż w takim właśnie był nastroju, pan Satterthwaite spojrział ze skrywanym zadowoleniem w dół drogi, ku poskrzypującemu godłu gospody. Miał apetyt jak ptaszek i był wielkim smakoszem, lecz nawet tacy jak on mogą zgłodnieć.

— Pod Dzwonkami i Błazeńskim Stojem — powtórzył z zastanowieniem. — Dziwna nazwa dla gospody. Chyba nie słyszałem jej nigdy wcześniej.

— Bywają w niej dziwni ludzie — odezwał się miejscowy mechanik.

Pochylał się nad kołem i jego głos docierał stłumiony i niewyraźny.

— Dziwni ludzie? — zaciekawiał się pan Satterthwaite.

— Co macie na myśli?

Jednak pytany nie bardzo wiedział, co miał na myśli.

— Ludzie, którzy przychodzą i odchodzą. Właśnie tacy — rzucił niejasno.

Pan Satterthwaite pomyślał, że ludzie przychodzący do gospody niejako z założenia „przychodzą i odchodzą”. Uznał, że definicja jest mało precyzyjna, jednak jego ciekawość została obudzona. Musiał jakoś spędzić następne trzy kwadransy. Proponowane miejsce wydawało się równie dobre jak cokolwiek innego.

Typowym dla siebie drobnym kroczkiem poszedł ulicą. Z daleka nadpłynął huk grzmotu. Mechanik podniósł głowę i powiedział do Mastersa:

— Nadciąga burza. Niemal czuję ją w powietrzu.

— Fiu! — rzucił Masters. — A my mamy przed sobą jeszcze ze czterdzieści mil.

— Nie musimy spieszyć się z robotą. Nie ruszycie w drogę, zanim burza się nie skończy. Ten pański mały szef nie wygląda mi na takiego, któremu uśmiechałaby się jazda wśród grzmotów i błyskawic.

— Mam nadzieję, że dobrze go obsłużą — mruknął szofer. — Sam tam zaraz pójde coś przegryźć.

— Billy Jones jest w porządku — stwierdził mechanik.

— Smacznie gotuje.

Pan William Jones, duży, tęgi mężczyzna koło pięćdziesiątki, właściciel gospody, uśmiechał się właśnie promiennie, patrząc w dół na drobnutkiego pana Satterthwaite’a.

— Proponuję smaczny stek, proszę pana, smażone ziemniaki i najlepszy ser, jakiego dżentelmen mógłby sobie życzyć. Nie mamy w tej chwili wielu gości, ostatni z panów, którzy przyjechali tu na ryby, akurat wyjechał. Niedługo znów będzie ruch, kiedy przyjadą myśliwi. Został tylko jeden gość, nazwiskiem Quin...

Pana Satterthwaite’a zamurowało.

— Quin? — powtórzył z podnieceniem. — Powiedział pan: Quin?

— Tak się nazywa, proszę pana. To może pański znajomy?

— Tak, w istocie. Ależ tak, z całą pewnością. — Drżąc z podniecenia, pan Satterthwaite nawet przez chwilę nie pomyślał, że po świecie mógłby chodzić więcej niż jeden człowiek o tym nazwisku. Nie miał żadnych wątpliwości. W osobliwy sposób, ta informacja pasowała do tego, co powiedział pracownik warsztatu. „Ludzie, którzy przychodzą i odchodzą”, to był nader trafny opis pana Quina. Tak samo nazwa gospody wydawała się szczególnie odpowiednia i na miejscu.

— Mój Boże, mój Boże — mówił pan Satterthwaite. — Jakie to dziwne. Że też spotykamy się w taki sposób! Pan Harley Quin, prawda?

— Zgadza się, proszę pana. A oto kawiarnia. O, jest tu ten pan.

Wysoka, ciemnowłosa, uśmiechnięta, znajoma postać podniosła się od stolika i pan Satterthwaite usłyszał dobrze znany głos.

— Ach! Znów się widzimy. Co za nieoczekiwane spotkanie!

Pan Satterthwaite uściśnął serdecznie jego dłoń.

— Jestem zachwycony, naprawdę zachwycony. To była szczęśliwa awaria. Wie pan, mój samochód. Zatrzymał się pan tutaj? Na dłużej?

— Tylko na jedną noc.

— W takim razie naprawdę mam szczęście.

Pan Satterthwaite usiadł naprzeciwko swojego przyjaciela i spojrzał na śniadą, uśmiechniętą twarz z przyjemnym oczekiwaniem.

Jego towarzysz łagodnie pokręcił głową.

— Zapewniam pana — powiedział — że nie mam w rękawie ani akwarium ze złotą rybką, ani królika.

— To szkoda — zawołał pan Satterthwaite, trochę zaskoczony. — Tak, muszę wyznać, że rzeczywiście trochę tak pana traktuję. Jak magika. Cha, cha. Tak właśnie o panu myślę: czarodziej.

— A jednak to pan robi sztuczki, nie ja — stwierdził pan Quin.

— Ach! — wykrzyknął niecierpliwie pan Satterthwaite. — Lecz nie potrafię ich robić bez pana. Brakuje mi... powiedzmy: inspiracji?

Pan Quin z uśmiechem pokręcił głową.

— To za duże słowo. Podsuwam wskazówkę, to wszystko.

W tej chwili do środka wszedł gospodarz z chlebem i osełką żółtego masła. Kiedy kładł je na stole, nagle rozbłysła błyskawica i niemal wprost nad nimi rozległ się grzmot.

— Burzliwa noc, panowie.

— W taką noc... — zaczął pan Satterthwaite i urwał.

— Zabawne — odezwał się gospodarz, nieświadomy, że zadano pytanie — właśnie sam miałem to powiedzieć. W taką samą noc kapitan Harwell przywiózł do domu swoją młodą żonę, a następnego dnia zniknął na zawsze.

— Aha! — zawołał pan Satterthwaite. — Oczywiście! Miał już wskazówkę. Wiedział, dlaczego nazwa Kirtlington Mallet wydała mu się znajoma. Trzy miesiące temu śledził wszystkie artykuły dotyczące zdumiewającego zniknięcia kapitana Richarda Harwella. Jak inni czytelnicy gazet w całej Anglii rozważał szczegóły jego zniknięcia i, podobnie jak każdy Brytyjczyk, snuł własne teorie.

— Oczywiście — powtórzył. — To stało się w Kirtlington Mallet.

— To tutaj zatrzymał się na polowanie zeszłej zimy — powiedział gospodarz. — Och, dobrze go znałem. Przystojny młody dżentelmen, nie mógł mieć bodaj jednego zmartwienia na głowie. Wykończono go, takie jest moje zdanie. Wiele razy widziałem, jak jadą razem do domu — on i panna Le Couteau. Cała wioska mówiła, że z tego będzie ślub, i tak też się stało. Bardzo piękna młoda dama, ciesząca się poważaniem, mimo że obca, aż z Kanady. No, jest w tym jakaś tajemnica. Nigdy jej nie poznamy. To złamało jej serce. Słyszeli panowie, że sprzedała dom i wyjechała za granicę? Nie mogła wytrzymać tutaj, gdzie każdy gapił się na nią i wskazywał palcem — choć to nie była jej wina, biedactwo! Mroczna tajemnica, ot co.

Potrząsnął głową, a potem powracając nagle do swoich obowiązków, wybiegł z sali.

— Mroczna tajemnica — powtórzył cicho pan Quin. Dla pana Satterthwaite'a zabrzmiało to prowokacyjnie.

— Czy sugeruje pan, że możemy rozwiązać tajemnicę, przy której zawiódł Scotland Yard? — zapytał ostro.

Jego towarzysz zrobił charakterystyczny gest.

— Czemu nie? Minał już jakiś czas. Trzy miesiące. To pewna różnica.

— Ta pańska dziwaczna teoria — powiedział wolno pan Satterthwaite — że wyraźniej widać pewne rzeczy później niż wtedy, gdy mają miejsce.

— Im więcej czasu minie, tym więcej wydarzeń widać we właściwych proporcjach. Widać, co naprawdę je łączyło.

Zapadła cisza, która trwała kilka minut.

— Nie jestem pewien — odezwał się pan Satterthwaite z wahaniem — czy pamiętam jeszcze fakty.

— Sądzę, że tak — powiedział cicho pan Quin.

Takiej właśnie zachęty potrzebował pan Satterthwaite. Zazwyczaj przypadła mu rola słuchacza i widza. Jedynie w towarzystwie pana Quina było inaczej. Wtedy pan Quin zamieniał się w uważnego słuchacza, a pan Satterthwaite stawał na środku sceny.

— Minął niewiele ponad rok — zaczął — od kiedy Ashley Grange przeszedł w posiadanie panny Eleanor Le Couteau. To piękne, stare domostwo, lecz zaniedbano je i pozostawiono puste na wiele lat. Nie mogło znaleźć lepszej gospodyni. Panna Le Couteau była francuską Kanadyjką, jej przodkowie wyemigrowali po rewolucji francuskiej i pozostawili jej w spadku kolekcję niemal bezcennych francuskich pamiątek i staroci. Sama była kupcem i kolekcjonerem, o bardzo wyszukanym i nieomyślnym smaku. Na tyle, że kiedy po tragedii postanowiła sprzedać Ashley Grange i wszystko, co zawierał, pan Cyrus G. Bradburn, amerykański milioner, bez sprzeciwu zapłacił astronomiczną sumę sześćdziesięciu tysięcy funtów i wziął posiadłość od ręki.

Pan Satterthwaite umilkł.

— Wspominam o tym — podjął po chwili przepaszająco — nie dlatego, by było to istotne dla sprawy; mówiąc dokładnie, nie jest... lecz aby odtworzyć atmosferę i charakter młodej pani Harwell.

Pan Quin skinął głową.

— Charakter jest zawsze istotny — powiedział z powagą.

— A teraz sama dziewczyna — ciągnął pan Satterthwaite. — Zaledwie dwudziestotrzyletnia, ciemnowłosa, piękna, wykształcona, nie ma w niej nic niewyglądzonego czy niewykończonego. I bogata, nie wolno nam o tym zapomnieć. Była sierotą. Jakaś pani St. Clair, dama o nienagannym pochodzeniu i pozycji społecznej, mieszkała z nią jako dama do towarzystwa. Lecz Eleanor Le Couteau miała pełną kontrolę nad swoim majątkiem. A o łowców fortun nietrudno. Wokół niej krążył zawsze co najmniej tuzin młodych ludzi bez grosza przy duszy — na polowaniu, na sali balowej, gdziekolwiek poszła. Młody lord Leccan, najbardziej poszukiwana partia w sąsiedztwie, ponoć prosił ją o rękę, lecz jej serce pozostało wolne. To znaczy, dopóki nie zjawił się kapitan Richard Harwell.

Przyjechał na sezon myśliwski i zatrzymał się w miejscowej gospodzie. Był świetnym jeźdźcem. Przystojny, roześmiany, nieustraszony człowiek. Przypomina pan sobie stare powiedzenie, panie Quin? „Szczęsne zaloty, co nie trwają długo.” Przysłowie sprawdziło się chociaż w części. Po dwóch miesiącach Richard Harwell i Eleanor Le Couteau byli zaręczeni.

Pobrali się w trzy miesiące później. Wyjechali za granicę na dwa tygodnie miodowego miesiąca, a potem powrócili, by zamieszkać w swojej rezydencji w Ashley Grange. Gospodarz powiedział nam, że przyjechali do domu w burzliwą noc, taką jak dzisiejsza. Ciekawe, czy to nie zły omen? Kto wie? W każdym razie wczesnym rankiem, koło wpół do ósmej, jeden z ogrodników, John Mathias,

zobaczył kapitana Harwella spacerującego po ogrodzie. Był bez kapelusza i pogwizdywał. Uosobienie niefrasobliwości i beztróskiego szczęścia. A jednak od tamtej chwili, jak wiemy, nikt go już nie widział.

Pan Satterthwaite umilkł, przyjemnie świadomy dramatyzmu chwili. Pełne uznania spojrzenie pana Quina było hołdem, którego potrzebował, więc podjął opowiadanie.

— Zniknięcie było niezwykle, nie do wyjaśnienia. Dopiero następnego dnia zdenerwowana żona wezwała policję. Jak pan wie, nie zdołali rozwikłać zagadki.

— Istniały, jak przypuszczam, jakieś teorie? — zapytał pan Quin.

— Och, teorie, oczywiście. Teoria numer jeden: kapitan Harwell został zamordowany. Lecz jeśli tak, gdzie jest ciało? Trudno uwierzyć, że porwały je tajemne moce. A poza tym: motyw. O ile wiemy, kapitan Harwell nie miał ani jednego wroga.

Przerwał gwałtownie, jakby ogarnęło go zwątpienie. Pan Quin pochylił się.

— Myśli pan — podsunął cicho — o młodym Stephenie Grancie.

— Tak jest — przyznał pan Satterthwaite. — Stephen Grant, o ile dobrze pamiętam, zajmował się końmi kapitana Harwella, został zwolniony za jakieś drobne przewinienie. Wczesnym rankiem po powrocie młodej pary widziano go w pobliżu Ashley Grange. Nie potrafił wyjaśnić swojej obecności. Policja zatrzymała go jako osobę zamieszaną w zniknięcie kapitana Harwella, lecz nic nie można mu było udowodnić i ostatecznie go zwolniono. Można by przyjąć, że miał żal do kapitana za wyrzucenie go z pracy, lecz to bezsprzecznie zbyt błahy motyw. Sądzę, że policja za wszelką cenę chciała cokolwiek osiągnąć. Jak przed chwilą powiedziałem, kapitan Harwell nie miał ani jednego wroga.

— O ile wiemy — zauważył z zadumą pan Quin. Pan Satterthwaite skinął potakująco głową.

— Właśnie do tego dochodzimy. Co tak w ogóle wiedziano o kapitanie Harwellu? Kiedy policja zaczęła sprawdzać jego przeszłość, natrafili na zupełną pustkę. Kim był Richard Harwell? Skąd pochodził? Pojawił się dosłownie znikąd. Świetnie jeździł konno, miał sporo pieniędzy. Nikomu w Kirtlington Mallet nie chciało się szukać głębiej. Panna Le Couteau nie miała rodziców ani opiekunów, którzy sprawdziliby perspektywy i pozycję jej narzeczonego. Była panią samej siebie. Teoria policji brzmiała jasno: bogata dziewczyna i zuchwały oszust. Stara historia!

Ale to nie całkiem odpowiadało prawdzie. Zgoda, panna Le Couteau nie miała rodziców ani opiekunów — za to miała świetną firmę prawniczą w Londynie, która prowadziła jej sprawy. Ich zeznania tylko pogłębiły tajemnicę. Eleanor Le Couteau chciała od razu przekazać pewną sumę na rzecz przysłego męża, lecz on odmówił. Twierdził, że sam ma wystarczający majątek. Potem dowiedziono, że nie wziął ani pensa z pieniędzy swojej żony. Jej fortuna pozostała nietknięta.

Nie był więc typowym oszustem. Może planował jakieś mistrzowskie posunięcie? Na przykład szantaż, gdyby Eleanor Harwell chciała powtórnie wyjść za mąż? Przyznam, że takie rozwiązanie

wydawało mi się najbardziej prawdopodobne. Aż do tej nocy.

Pan Quin pochylił się, nakłaniając go do mówienia.

— Aż do dzisiejszej nocy?

— Tak jest. Przestało mnie zadowalać. Jak udało mu się zniknąć tak nagle i skutecznie — w porze, kiedy robotnicy kręcili się wokół, idąc do pracy? I to bez kapelusza.

— Nie ma żadnych wątpliwości w tej drugiej kwestii, skoro widział go ogrodnik?

— Tak, ogrodnik, John Mathias. Ciekawe, czy jest w tym jakaś tajemnica?

— Policja by to odkryła — zauważył pan Quin.

— Przesłuchali go dokładnie. Nie zmienił zeznań. Obudziła go żona. Wszedł z domu o siódmej i poszedł do szklarni, wrócił dwadzieścia po ósmej. Służba w domu słyszała trzaśnięcie frontowych drzwi jakiś kwadrans po siódmej. To pozwala ustalić godzinę, o której kapitan Harwell opuścił dom. A tak, wiem, o czym pan myśli.

— Naprawdę? Ciekawe — powiedział pan Quin.

— Tak mi się wydaje. Mathias miał dość czasu, by zabić swego chlebodawcę. Lecz dlaczego? Dlaczego? A jeśli nawet, to gdzie ukrył ciało?

Wszedł gospodarz z tacą.

— Przepraszam, że tak długo musieli panowie czekać. Postawił na stole talerz z gigantycznym stekiem, a obok wypełniony po brzegi półmisek chrupiących, brązowych kartofli. Zapach unoszący się z potraw wydał się panu Satterthwaite'owi nader miły. Wpadł w łaskawy nastrój.

— Wygląda wspaniale — ocenił. — Nadzwyczajnie. Rozmawialiśmy o zniknięciu kapitana Harwella. Co się stało z ogrodnikiem, Mathiasem?

— Objął posadę w Essex, jak mi się zdaje. Niektórzy krzywo na niego patrzyli, rozumieją panowie. Ja tam nie wierzyłem nigdy, że miał z tym coś wspólnego.

Pan Satterthwaite nałożył sobie stek. Pan Quin poszedł za jego przykładem. Gospodarz przejawiał wyraźną ochotę na pogawędkę. Pan Satterthwaite nie miał nic przeciwko temu.

— Ten Mathias — powiedział — co to za typ?

— W średnim wieku, kiedyś musiał być silny, ale reumatyzm zrobił z niego kalekę. Często czuł się okropnie, rozkładało go na wiele dni i myślę, że panna Eleanor zatrzymała go z czystej życzliwości. Nie był już użyteczny jako ogrodnik, chociaż jego żona bardzo przydawała się w domu. Była kucharką i zawsze chętnie pomagała.

— Proszę powiedzieć o niej coś więcej — rzucił szybko pan Satterthwaite.

Odpowiedź gospodarza rozczarowała go.

— Zwyczajna kobieta. W średnim wieku, raczej zimna i surowa. Do tego głucha. Ale nie znałem ich za dobrze. Rozumieją panowie, pracowali tu zaledwie miesiąc, kiedy to się stało. Ponoć z niego był w swoim czasie wyjątkowo dobry ogrodnik. Miał świetne referencje.

— Czy panna Eleanor interesowała się ogrodnictwem? — zapytał miękko pan Quin.

— Nie, proszę pana, tego bym nie powiedział. Nie tak, jak niektóre panie z okolicy, które płacą ogrodnikom ciężkie pieniądze i mimo to po całych dniach grzebią się w ziemi na kolanach. Dla mnie to głupota. Widzą panowie, panna Le Couteau nie spędzała tu dużo czasu, poza zimą w sezonie polowań. Na resztę roku wyjeżdżała do Londynu i tych zagranicznych nadmorskich miejscowości, gdzie ponoć francuskie damy wsadzą do wody najwyżej palec u nogi, żeby nie zniszczyć sobie toalety. Tak przynajmniej słyszałem.

Pan Satterthwaite uśmiechnął się.

— Nie łączono żadnej... hmm... kobiety z kapitanem Harwellem? — zapytał.

Chociaż jego pierwsza teoria została odrzucona, nadal trzymał się pierwotnej koncepcji.

Pan William Jones potrząsnął głową.

— W żadnym razie. Plotkowano by. Nie, to tajemnicza sprawa.

— A pańska teoria? Co pan sam o tym myśli? — nalegał pan Satterthwaite.

— Co ja myślę?

— Tak.

— Nie wiem, co myśleć. Podejrzewam, że go wykończono, ale kto to zrobił, nie mogę powiedzieć. Przyniosę panom ser.

Wyszedł z sali, zabierając puste talerze. Burza, która już cichła, nagle rozszalała się z podwójną mocą. Rozwidlona błyskawica i piorun, który uderzył gdzieś blisko sprawiły, że pan Satterthwaite aż podskoczył. Zanim umilkły ostatnie pomruki grzmotu, do sali weszła dziewczyna, niosąc zapowiadany ser.

Była wysoka, ciemnowłosa i przystojna na swój ponury sposób. Jej podobieństwo do gospodarza Pod Dzwonkami i Błazeńskim Stojem było wyraźne na tyle, by odgadnąć w niej jego córkę.

— Dobry wieczór, Mary — powitał ją pan Quin. — Burzliwa noc.

Skinęła głową.

— Nie cierpię takich nocy — mruknęła.

— Może boisz się piorunów? — zapytał życzliwie pan Satterthwaite.

— Bać się piorunów? Nie ja! Niewielu rzeczy się boję. W czasie burzy znów zaczynają swoje. Gadają, gadają i gadają, ciągle o tym samym, jak papugi. Najpierw ojciec. „To mi przypomina tę noc, kiedy to biedny kapitan Harwell...” I tak dalej, i tak dalej. Jaki w tym sens? Czy nie można zostawić przeszłości w spokoju?

— Przeszłość staje się przeszłością, gdy została zamknięta — zauważył pan Quin.

— A tej nie zamknięto? Może chciał zniknąć? Czasami ci wymuskani dżentelmeni mają na to ochotę.

— Uważasz, że zniknął z własnej, nieprzymuszonej woli?

— A czemu by nie? To ma więcej sensu niż posądzanie takiego życzliwego chłopaka jak Stephen Grant o morderstwo. Chciałabym wiedzieć, dlaczego niby miałby go zabić? Stephen wypił sobie któregoś dnia ciut za dużo, posprzeczał się z nim i został za to wylany. Ale co z tego? Dostał inną posadę, równie dobrą. Czy to powód, by z zimną krwią zabić człowieka?

— Ale w końcu policja była pewna jego niewinności? — zapytał pan Satterthwaite.

— Policja! A jakie znaczenie ma policja? Kiedy Stephen zachodzi wieczorem do baru, wszyscy patrzą na niego podejrzliwie. Naprawdę to nie wierzą, że zabił Harwella, ale nie są pewni, więc patrzą na niego bokiem, z ukosa. Mile życie dla mężczyzny, widzieć, jak ludzie się od ciebie odsuwają, jakbyś był czymś gorszym niż inni. Dlaczego ojciec nie chce słyszeć o naszym ślubie, moim i Stephena? „Możesz zaprowadzić swoje świnki na lepszy targ, dziewczyno. Nie mam nic przeciwko Stephenowi, ale... przecież nie wiemy, no nie?”

Urwała, a jej pierś unosiła się ciężko ze wzburzenia

— To okrutne, okrutne — wybuchnęła. — Stephen przecież on nie skrzywdziłby nawet muchy! A przez resztę życia będzie natykać się na ludzi sądzących, że jest mordercą. Przez to robi się dziwny, zgorzkniały. Nie dziwi mnie to. A im bardziej taki się robi, tym bardziej ludzie myślą, że ma do tego powód.

Znów umilkła. Utkwiła wzrok w panu Quinie, jakby coś w jego twarzy sprowokowało jej wybuch.

— Czy nie można nic na to poradzić? — zapytał pan Satterthwaite.

Był szczerze zmartwiony. Rozumiał, że nie można uniknąć tego, co się działo. Niejasne i niesatysfakcjonujące dowody przeciwko Stephenowi Graniowi sprawiły, że tym trudniej było mu obalić oskarżenie.

Dziewczyna obróciła się ku niemu.

— Nic prócz prawdy nie może mu pomóc — zawołała.

— Gdyby znaleziono kapitana Harwella, gdyby wrócił. Gdyby tylko znano prawdziwy powód...

Urwała z czymś bliskim szlochu i pośpiesznie wypadła z sali.

— Ładna dziewczyna — powiedział pan Satterthwaite.

— W sumie to smutna sprawa. Chciałbym, bardzo chciałbym, żeby można to było jakoś naprawić.

Miał dobre serce i dlatego się martwił.

— Robimy, co w naszej mocy — powiedział pan Quin.

— Mamy jeszcze prawie pół godziny, zanim pański samochód będzie gotowy.

Pan Satterthwaite popatrzył na niego.

— Myśli pan, że możemy dotrzeć do prawdy po prostu... omawiając sprawę?

— Wiele widział pan w życiu — powiedział z powagą pan Quin. — Więcej niż inni.

— Życie przechodziło obok mnie — zauważył gorzko pan Satterthwaite.

— Lecz dzięki temu zaostrzyło pański wzrok. Tam, gdzie inni pozostają ślepi, pan widzi.

— To prawda — przyznał pan Satterthwaite. — Jestem baczny obserwatorem.

Z zadowoleniem przyglądał swoje piórka. Chwila goryczy minęła.

— Ja patrzę na to tak... — odezwał się po chwili. — By dotrzeć do przyczyny zdarzenia, musimy przestudiować efekt.

— Bardzo dobrze — powiedział z aprobatą pan Quin.

— Efektem tej sprawy jest to, iż panna Le Couteau... to znaczy pani Harwell, jest mężatką i jednocześnie nie jest. Nie jest wolna i nie może powtórnie wyjść za mąż. Patrząc na to z naszego punktu widzenia, Richard Harwell to ciemny charakter, człowiek znikąd, o tajemniczej przeszłości.

— Zgoda — rzucił pan Quin. — Widzi pan to samo, co muszą zobaczyć wszyscy, czego nie sposób przeoczyć: kapitana Harwella w świetle reflektorów, podejrzaną postać.

Pan Satterthwaite spojrział na niego z powątpiewaniem. Te słowa podsuwały mu trochę inny obraz.

— Zbadaliśmy efekt — powiedział. — Albo nazwijmy go rezultatem. Teraz możemy przejść do...

Pan Quin przerwał mu.

— Nie dotarł pan do rezultatu czysto materialnego.

— Ma pan rację — zgodził się pan Satterthwaite po chwili zastanowienia. — Trzeba to zrobić dokładnie. Załóżmy zatem, że w rezultacie tragedii pani Harwell jest żoną i nie żoną, nie może powtórnie wyjść za mąż; pan Cyrus Bradburn mógł kupić Ashley Grange wraz z wyposażeniem za... sześćdziesiąt tysięcy funtów, prawda? A ktoś w Essex mógł wynająć Johna Mathiasa jako ogrodnika. Lecz mimo to nie podejrzewamy, że „ktoś w Essex” albo pan Cyrus Bradburn zorganizowali zniknięcie kapitana Harwella.

— Jest pan sarkastyczny — zauważył pan Quin. Pan Satterthwaite rzucił mu ostre spojrzenie.

— Lecz przecież zgodzi się pan...

— Och, tak, zgadzam się — powiedział pan Quin. — Pomysł jest absurdalny. Co dalej?

— Wyobraźmy sobie, że znów jest ten tragiczny dzień. Załóżmy, że zniknięcie nastąpiło tego ranka.

— Nie, nie — sprzeciwił się pan Quin. — Skoro przynajmniej w wyobraźni mamy władzę nad czasem, zróbmy raczej odwrotnie. Powiedzmy, że kapitan Harwell zniknął setki lat temu. Że mamy rok dwa tysiące dwudziesty piąty i spoglądamy w przeszłość.

— Jest pan dziwnym człowiekiem — powiedział powoli pan Satterthwaite. — Wierzy pan przeszłości, a nie teraźniejszości. Dlaczego?

— Nie tak dawno użył pan słowa „atmosfera”. Teraźniejszość nie ma atmosfery.

— Może to i prawda — przyznał po namyśle pan Satterthwaite. — Tak, to prawda. Teraźniejszość jest... małomiasteczkowa.

— Doskonałe określenie.

Pan Satterthwaite na swój śmieszny sposób skłonił lekko głowę.

— Jest pan zbyt miły — powiedział.

— Weźmy pod uwagę... nie obecny rok, to byłoby zbyt trudne, ale zeszły — ciągnął jego rozmówca.

— Niech go pan podsumuje, pan, który ma dar używania odpowiednich zwrotów.

Pan Satterthwaite zastanawiał się przez chwilę. Bardzo dbał o swoją reputację.

— Sto lat temu mieliśmy wiek pary — powiedział. — Czy mogę powiedzieć, że rok tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty był rokiem krzyżówek i włamywaczy?

— Bardzo dobrze — ocenił pan Quin. — Zakładam, że mówi pan o sprawach narodowych, a nie międzynarodowych?

— Muszę przyznać, że nie wiem, jeśli chodzi o krzyżówki. Ale włamywacze dość długo sprawowali rządy na kontynencie. Pamięta pan słynną serię kradzieży we francuskich chateaux? Stwierdzono, że nie mogły być dziełem jednego człowieka. Dokazano niezwykłych sztuczek, by dostać się do środka.

Według pewnej teorii była to trupa akrobatów, nazwiskiem Clondini. Widziałem raz ich występ. To była prawdziwa maestria. Matka, syn i córka. Zniknęli ze sceny w nie wyjaśniony sposób. Lecz zbaczamy z tematu.

— Nie bardzo — powiedział pan Quin. — Tylko przekraczamy kanał La Manche.

— W którym francuskie damy nie chcą zamoczyć sobie czubków palców, wedle naszego wspaniałego gospodarza — dodał ze śmiechem pan Satterthwaite.

Przez chwilę panowało milczenie. W jakimś sensie wydawało się znaczące.

— Dlaczego zniknął? — zawołał pan Satterthwaite. — Dlaczego? Dlaczego? To niesamowite, zupełnie jak prestidigitatorska sztuczka.

— Tak — zgodził się pan Quin. — Prestidigitatorska sztuczka. To odpowiednie określenie. Wracamy do atmosfery. A gdzie kryje się esencja takiej sztuczki?

— Szybkość ręki oszukuje oko — zacytował bez namysłu pan Satterthwaite.

— I to wszystko, prawda? Oszukać oko. Czasami dzięki szybkości ręki, czasami innym sposobem. Jest wiele możliwości: strzał z pistoletu, machnięcie czerwoną chusteczką — coś, co wydaje się ważne, a wcale takie nie jest. Wzrok odwraca się od istoty sprawy i skupia na spektakularnej akcji pozbawionej znaczenia, zupełnie pozbawionej znaczenia.

Pan Satterthwaite pochylił się do przodu, jego oczy błyszczały.

— Coś w tym jest. To jest pomysł. Ciągnął miękko dalej:

— Strzał z pistoletu. Czy miał miejsce w triku, który omawiamy? Jaka spektakularna chwila opanowała naszą wyobraźnię?

Wciągnął raptownie oddech.

— Zniknięcie — wyrzucił z siebie. — Zapomnijmy o tym, a nic nie zostanie.

— Nic? Załóżmy, że sprawy potoczyłyby się tak samo, bez tego dramatycznego zdarzenia?

— To znaczy, że panna Le Couteau sprzedałaby Ashley Grange i wyjechała bez powodu?

— Właśnie.

— Cóż, czemu nie? Wywołałoby to sporo plotek, jak przypuszczam, interesowano by się wyposażeniem domu... Ach! Czekaj pan!

Przez chwilę milczał, a potem wybuchnął gwałtownie:

— Ma pan rację, zbyt dużo tu świateł reflektorów skupionych na kapitanie Harwellu. Dlatego ona

pozostaje w cieniu. Panna Le Couteau! Wszyscy pytają: „Kim był kapitan Harwell? Skąd pochodził?” Lecz ponieważ to ona została zraniona, nikt nie pyta o nią. Czy naprawdę pochodziła z Kanady? Czy naprawdę zostawiono jej wspaniałą schedę? Miał pan rację mówiąc, że nie odbiegliśmy daleko od tematu — tylko za kanał La Manche. Ta tak zwana scheda została skradziona we francuskich zamkach; w większości były to dzieła sztuki, więc trudne do sprzedania. Prawdopodobnie kupiła dom za bezcen. Sprowadziła się tu i zapłaciła sporo Angielce, której nie można było nic zarzucić, by została jej przyzwoitką. Potem przyjeżdża on. Cały spisek zaplanowano wcześniej. Małżeństwo, zniknięcie i dziewięć dni zamieszania! Cóż bardziej naturalnego niż kobieta ze złamanym sercem, która pragnie sprzedać wszystko, co przypomina jej o minionym szczęściu? Amerykanin jest koneserem, przedmioty są oryginalne i piękne, niektóre nawet bezcenne. On składa ofertę, ona ją przyjmuje. Wyjeżdża z okolicy, postać smutna i tragiczna. Powiodło się wielkie coup. Oczy publiczności oszukała szybkość ręki i spektakularny charakter triku.

Pan Satterthwaite umilkł, zarumieniony od przeżywanego triumfu.

— Ale nigdy nie zobaczyłbym tego, gdyby nie pan — powiedział z nagłą pokorą. — Ma pan na mnie nadzwyczajny wpływ. Tak często mówi się pewne rzeczy nawet nie wiedząc, co naprawdę znaczą. Pan potrafi to pokazać. Choć wciąż nie wszystko jest dla mnie jasne. Harwellowi musiało być nadzwyczaj trudno zniknąć tak zupełnie. Przecież szukała go policja w całej Anglii.

— Najprościej byłoby pozostać w ukryciu w Grange — podjął po chwili. — To całkiem wykonalne.

— Przypuszczam, że znajdował się w pobliżu — potwierdził pan Quin.

Jego znaczące spojrzenie nie przeszło nie zauważone.

— Chata Mathiasa? — wykrzyknął pan Satterthwaite.

— Lecz policja na pewno ją przeszukała?

— Wielokrotnie, jak sędzę — powiedział pan Quin.

— Mathias — rzucił pan Satterthwaite ze zmarszczonym czołem.

— I pani Mathias — dodał pan Quin.

Pan Satterthwaite popatrzył na niego uważnie.

— Jeśli to naprawdę był gang Clondinich — powiedział zadumany — musiały być trzy osoby. Dwoje młodych to Harwell i Eleanor Le Couteau. A matka, czy to była pani Mathias? Lecz w takim razie...

— Mathias cierpiał na reumatyzm, prawda? — zapytał pan Quin.

— Och! — wykrzyknął pan Satterthwaite. — Już mam. Ale czy można to było zrobić? Pewnie tak. Niech pan posłucha. Mathias mieszkał tam od miesiąca. W tym czasie Harwell i Eleanor wyjechali na dwa tygodnie w podróż poślubną. Dwa tygodnie przed ślubem spędzili przypuszczalnie w miasteczku. Mądry człowiek mógłby zagrać jednocześnie rolę Harwella i Mathiasa. Kiedy Harwell

przebywał w Kirtlington Mallet, Mathiasa składał reumatyzm, a pani Mathias podtrzymywała oszustwo. Jej rola była bardzo ważna. Bez niej ktoś mógłby domyślić się prawdy. Jak pan mówi, Harwell ukrył się w chacie Mathiasa. To on był Mathiasem. Kiedy plan wreszcie został zrealizowany i sprzedano Ashley Grange, wraz z żoną obwieścił, że dostali posadę w Essex. I tak John Mathias i jego żona odeszli na zawsze.

Ktoś zastukał do drzwi i do środka wszedł Masters.

— Samochód stoi pod bramą, proszę pana — powiedział. Pan Satterthwaite wstał. To samo uczynił pan Quin; podszedł do okna i odsunął zasłony. Do pokoju wpadł promień księżyca.

— Burza się skończyła — powiedział. Pan Satterthwaite naciągał rękawiczki.

— W przyszłym tygodniu jem kolację z komisarzem — oznajmił z dumą. — Przedstawię mu swoją teorię.

— Łatwo będzie ją udowodnić lub odrzucić — powiedział pan Quin. — Porównanie przedmiotów z Ashley Grange z listą dostarczoną przez policję francuską...

— Właśnie tak. Dość pechowo dla pana Bradburna, lecz cóż...

— Jak sądzę, stać go na taką stratę — powiedział pan Quin.

Pan Satterthwaite wyciągnął rękę.

— Do widzenia — powiedział. — Nie sposób wyrazić, jak bardzo doceniam nasze nieoczekiwane spotkanie. Zdaje się, że mówił pan, iż wyjeżdża jutro rano?

— Być może dziś wieczór. Załatwiłem już swoje sprawy... Wie pan, ja przychodzę i odchodzę.

Pan Satterthwaite przypomniał sobie, że te same słowa słyszał już wcześniej tego wieczoru. To dość osobliwe.

Wyszedł do samochodu i czekającego nań Mastersa. Przez otwarte drzwi baru nadpłynął głośny, pełen zadowolenia głos gospodarza.

— Mroczna tajemnica — mówił. — Mroczna tajemnica, oto, czym jest ta historia.

Właściwie to tym razem nie użył słowa „mroczna”, ale słowa o trochę innym znaczeniu. Pan William Jones znał się na ludziach i potrafił dobierać przymiotniki do gustu swoich słuchaczy. A towarzystwo zebrane w barze lubiło przymiotniki pełnokrwiste.

Pan Satterthwaite wyciągnął się wygodnie w swojej limuzynie. Jego pierś pęczniała z dumy. Zobaczył Mary, która wyszła na schody i stała pod skrzypiącym godłem gospody.

— Nie wie — powiedział do siebie pan Satterthwaite. — Nie wie, co zamierzam zrobić.

Godło Pod Dzwonkami i Błazeńskim Strojem zachwiało się lekko na wietrze.

Rozdział czwarty

Sędzia udzielał ostatnich pouczeń ławie przysięgłych. — Tak więc, proszę państwa, to już niemal wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Oto dowody, na podstawie których macie rozważyć, czy oskarżenie przeciwko temu człowiekowi jest na tyle uzasadnione, byście mogli orzec, iż winny jest zamordowania Vivien Barnaby. Wysłuchaliście zeznań służby dotyczących godziny, w której padł strzał. Wszystkie są zgodne. Widzieliście list, który Vivien Barnaby napisała do oskarżonego rankiem tego samego dnia: w piątek trzynastego września — list, którego obrona nie próbowała nawet odrzucić. Słyszeliście, że obwiniony najpierw zaprzeczył, jakoby był w Deering Hill, a potem, po dowodach dostarczonych przez policję, *przyznał się. Z jego zaprzeczenia wyciągniecie własne wnioski. Oskarżenie nie zostało oparte na dowodach bezpośrednich. Muszą wystarczyć wam własne przemyślenia co do motywu, a także sposobu dokonania zbrodni i towarzyszących jej okoliczności. Linia obrony opiera się na tym, że ktoś obcy wszedł do saloniku muzycznego po wyjściu oskarżonego i zastrzelił Vivien Barnaby z broni, którą przez dziwne roztargnienie oskarżony tam zostawił. Wysłuchaliście opowieści oskarżonego mającej — wyjaśnić, dlaczego powrót do domu zajął mu pół godziny. Jeżeli nie uwierzyliście mu i jesteście pewni, bez żadnych wątpliwości, że w piątek trzynastego września oddał z bliskiej odległości strzał z należącej do niego broni, mierząc w głowę Vivien Barnaby z intencją zabicia ofiary, wasz werdykt musi brzmieć: winny. Jeżeli jednak macie jakiegokolwiek uzasadnione wątpliwości, waszym obowiązkiem jest uwolnić obwinionego. Teraz poproszę was o przejście do osobnej sali, rozważenie sprawy i powiadomienie mnie, kiedy ustalicie swoją decyzję.*

Sędziowie przysięgli powrócili na salę rozpraw przed upływem pół godziny z werdyktem, który wszystkim wydawał się przesądzony już wcześniej: winny.

Pan Satterthwaite opuścił budynek sądu z czołem zmarszczonym w zamyśleniu.

Prosta sprawa o morderstwo, taka jak ta, nie pociągała go. Miał zbyt wyszukany smak, by zainteresować się plugawymi szczegółami zwyczajnej zbrodni. Jednak przypadek Wylde'a był inny. Młody Martin Wylde zasługiwał na miano dżentelmena, a ofiarę — młodą żonę sir George'a Barnaby — starszy pan znał osobiście.

Rozmyślał nad tym wszystkim idąc w górę Holborn Street, a potem zanurzył się w plątaninę nędznych uliczek biegnących w stronę Soho. Przy jednej z nich stała niewielka, mało znana restauracja. Nie należała do tanich, wprost przeciwnie: była wyjątkowo droga, a jej kuchnia mogła sprostać najbardziej wybrednym podniebieniom. Panowała w niej cisza — nie pozwalano, by hałaśliwy jazz zakłócał spokojną atmosferę, i półmrok — dyskretni kelnerzy wyłaniali się z cienia, niosąc srebrne tace tak, jakby uczestniczyli w jakimś uświęconym rytuale. Restauracja ta nazywała się „Arlekin”.

Wciąż zamyślony pan Satterthwaite wszedł do środka i skierował się do swojego ulubionego stolika we wnęce w odległym kącie sali. Z powodu wspomnianego wcześniej półmroku, dopiero gdy znalazł się tuż obok, zauważył, że stolik zajął już wysoki, ciemnowłosy mężczyzna.

Siedział z twarzą pogrążoną w cieniu, a gra światła wpadającego przez witrażowe okno zmieniała

jego stonowany garnitur w zwariowany błazeński kostium.

Pan Satterthwaite miał już zawrócić, kiedy nieznajomy poruszył się lekko i pan Satterthwaite go rozpoznał.

— Na mą duszę! — wykrzyknął, będąc człowiekiem przywiązanym do staromodnych wyrażen. — Ależ to pan Quin!

Spotkał pana Quina już trzykrotnie, i za każdym razem ich spotkanie prowadziło do czegoś niezwykłego. Dziwna to była postać, ów pan Quin. Potrafił ukazać dobrze znane sprawy w zupełnie innym świetle.

Pan Satterthwaite od razu poczuł podniecenie, miłe podniecenie. W życiu grał tylko rolę widza, czego był świadom, lecz czasem w towarzystwie pana Quina wydawało mu się, że staje się aktorem — w dodatku tym najważniejszym.

— Tak się cieszę — powiedział, a jego malutka, wysuszona twarz rozjaśniła się. — Ogromnie się cieszę, naprawdę. Mam nadzieję, że mogę się do pana przysiąc?

— Będę zachwycony — odparł pan Quin. — Jak pan widzi, nie zacząłem jeszcze posiłku.

Z cienia wynurzył się pełen szacunku starszy kelner. Pan Satterthwaite, jako człowiek o wyszukanym podniebieniu, oddał się ustalaniu menu. Po kilku minutach kelner odszedł z leciutkim uśmiechem aprobaty na ustach, a jego obowiązki przejął czekający obok młodszy pracownik. Pan Satterthwaite zwrócił się do pana Quina.

— Właśnie wracam z Old Bailey — zaczął. — To smutna historia.

— Uznano go winnym? — zapytał pan Quin.

— Tak, sędziom przysięgłym zajęło to zaledwie pół godziny.

Pan Quin pochylił głowę.

— Nie można było tego uniknąć, przy takich dowodach — powiedział.

— A jednak — zaczął pan Satterthwaite... i urwał.

Pan Quin dokończył za niego:

— A jednak pańska sympatia jest po stronie oskarżonego? To miał pan zamiar powiedzieć?

— Chyba tak. Martin Wylde to sympatyczny młody człowiek, trudno uwierzyć, że mógłby to zrobić. Chociaż ostatnio mieliśmy sporo miłych młodych ludzi, którzy okazali się wyjątkowo okrutnymi i odrażającymi mordercami.

— Zbyt wielu — dodał cicho pan Quin.

— Słucham? — powiedział lekko zaskoczony pan Satterthwaite.

— Zbyt wielu dla Martina Wylde'a. Od samego początku wszyscy uważali, że to kolejna zbrodnia tego samego rodzaju: mężczyzna, który chce się uwolnić od jednej kobiety, by poślubić drugą.

— Cóż — powiedział z powątpiewaniem pan Satterthwaite — według zeznań...

— A! — rzucił szybko pan Quin. — Obawiam się, że nie śledziłem wszystkich zeznań.

Pan Satterthwaite natychmiast odzyskał pewność siebie. Miał poczucie własnej mocy. Pokusił się nawet o lekkie udramatyzowanie opowieści.

— Spróbuję je panu przedstawić. Widzi pan, spotkałem Barnabych wcześniej. Znam szczególne okoliczności sprawy. Zaprowadzę pana za kulisy, obejrzy pan wszystko od środka.

Pan Quin pochylił się do przodu z charakterystycznym, krótkim, zachęcającym uśmiechem.

— Jeśli ktokolwiek może mi to pokazać, to tym kimś jest właśnie pan, panie Satterthwaite — powiedział cicho.

Pan Satterthwaite uchwycił się oburącz stołu. Był podekscytowany i przepełniony dumą. Na chwilę stał się artystą, prawdziwym artystą, którego środkiem przekazu były słowa.

Błyskawicznie, kilkoma pociągnięciami nakreślił obraz życia w Deering Hill. Sir George Barnaby, starszy, otyły, pyszniący się swym bogactwem, bezustannie przejmujący się drobiazgami. Człowiek, który nakręcał wszystkie swoje zegary w piątkowe popołudnia, rozliczał w księgach domowe wydatki w każdy wtorkowy ranek, co wieczór sprawdzał, czy zamknięto frontowe drzwi. Człowiek ostrożny.

Od sir George'a pan Satterthwaite przeszedł do lady Barnaby. Tu jego słowa były delikatniejsze, lecz nie mniej pewne. Widział ją zaledwie raz, lecz wywarła na nim wrażenie zdecydowane i trwałe. Pełne życia, buntownicze stworzenie, żałośnie młode. Uwięzione dziecko — tak właśnie ją opisał.

— Nienawidziła go, rozumie pan? Wyszła za niego zanim zrozumiała, co robi. A potem...

Była zdesperowana, tak to określił. Rzucała się to tu, to tam. Nie miała własnych pieniędzy, była całkowicie zależna od starszego męża. Osaczona, niepewna własnej siły, o urodzie, która wciąż jeszcze obiecywała więcej, niż spełniała. A poza tym była chciwa. Pan Satterthwaite stwierdził to wyraźnie. Ramię w ramię z buntowniczością szła chciwość — chciwość życia.

— Nigdy nie spotkałem Martina Wylde'a — ciągnął — lecz słyszałem o nim. Mieszkał niecałą milę dalej. Prowadził własną farmę. Lady Barnaby zaczęła interesować się uprawą roli, albo tylko udawała. Jeśli mnie pan spyta, udawała. Myślę, że zobaczyła w nim swoją szansę ucieczki, i uczepiła się go kurczowo, jak dziecko. Cóż, to mogło się skończyć tylko w jeden sposób.

Wiemy, jaki, ponieważ listy odczytano w sądzie. Zatrzymał jej listy, przeciwnie do niej. Z napisanych przez nią listów wynikało, że jego uczucia zaczynały się ochładzać. Tyle sam przyznał.

Była jakaś druga dziewczyna. Również mieszkała w Deering Yale. Jej ojciec był tamtejszym lekarzem. Może widział ją pan w sądzie? Nie, pamiętam już, nie było tam pana, sam pan mówił. Opiszę ją panu: śliczna dziewczyna, wprost prześliczna. Łagodna. Może... tak, odrobinę głupia. Lecz można było przy niej odpocząć. I lojalna. Przede wszystkim lojalna.

Spojrzał na pana Quina, szukając zachęty, i pan Quin powoli uśmiechnął się z uznaniem. Pan Satterthwaite podjął opowieść.

— Słyszał pan o ostatnim liście, to znaczy musiał go pan widzieć w gazetach. Tym napisanym rano w piątek trzynastego września. Pełen desperackich wyrzutów i niejasnych gróźb, kończył się błaganiem, by Martin Wylde przyszedł do Deering Hill tego samego dnia o szóstej wieczór. „Zostawię boczne drzwi otwarte, by nikt nie dowiedział się, że przyszedłeś. Będę w saloniku muzycznym.” Przesłano go przez posłańca.

Pan Satterthwaite zamilkł na dłuższą chwilę.

— Kiedy go aresztowano, pamięta pan? Martin Wylde zaprzeczył, że poszedł na to spotkanie. Twierdził, że zabrał ze sobą broń i poszedł strzelać do lasu. Lecz kiedy policja przedstawiła dowody, to twierdzenie upadło. Znalaziono jego odciski palców zarówno na płycie bocznych drzwi, jak i na jednym z dwóch kieliszków koktajlowych na stoliku w salonie muzycznym. Wtedy przyznał, że przyszedł odwiedzić lady Barnaby, że mieli burzliwą sprzeczkę, lecz że na koniec zdołał ją uspokoić. Przysięgał, że broń zostawił na zewnątrz, opartą o ścianę przy drzwiach, że kiedy wychodził, lady Barnaby żyła i miała się dobrze, że było to jakieś szesnaście, siedemnaście minut po szóstej. Twierdził, że poszedł prosto do domu. Jednak zebrano dowody wskazujące, iż dotarł na swoją farmę dopiero kwadrans przed siódmą, a jak wspominałem, leży ona niecałą milę dalej. Dojście tam nie zajęłoby aż pół godziny. Utrzymywał, że zupełnie zapomniał o strzelbie. Nie bardzo prawdopodobne oświadczenie, a jednak...

— A jednak? — powtórzył pan Quin.

— No cóż — zaczął powoli pan Satterthwaite — jest możliwe, prawda? Adwokat wyśmiał podobne przypuszczenie, oczywiście, ale myślę, że był w błędzie. Widzi pan, znałem wielu młodych ludzi i wiem, że takie pełne emocji spotkania wyprowadzają ich z równowagi, zwłaszcza jeśli są tak nerwowi jak Martin Wylde. Z kolei kobiety po takiej scenie czują się zdecydowanie lepiej, odzyskawszy równowagę. Na nie działa to jak wentyl bezpieczeństwa, uspokaja je. Mogę sobie wyobrazić, jak Martin Wylde wychodzi z zamętem w głowie, rozbity i przygnębiony, nie myśląc o zostawionej pod ścianą strzelbie.

Przez chwilę milczał, zanim podjął opowieść.

— Nie, żeby miało to znaczenie. Gdyż następna część tej historii jest na nieszczęście aż nazbyt jasna. Było dokładnie dwadzieścia po szóstej, kiedy rozległ się strzał. Słyszała go cała służba: kucharka, jej pomocnica, lokaj, pokojówka i osobista służąca lady Barnaby. Pobiegli do salonu muzycznego. Leżała, zwisając przez poręcz fotela. Otrzymała strzał z bliska w tył głowy, z tej odległości nie sposób chybić. Co najmniej dwie kule dotarły do mózgu. Ponownie umilkł i pan Quin zapytał ostrożnie:

— Przypuszczam, że cała służba złożyła zeznania? Pan Satterthwaite skinął głową.

— Tak. Lokaj dotarł do pokoju sekundę czy dwie przed innymi, lecz zeznania wszystkich powtarzały się.

— Tak więc wszyscy zeznawali — powiedział z zastanowieniem pan Quin. — Bez wyjątku?

— Teraz sobie przypominam. Pokojówkę wezwano dopiero w czasie śledztwa. Potem, jak mi się wydaje, wyjechała do Kanady.

— Rozumiem — powiedział pan Quin.

Zapadła cisza. Wydawało się, że w atmosferę małej restauracji wkradło się napięcie. Pan Satterthwaite poczuł nagle, że znalazł się na obronnej pozycji.

— Dlaczego nie miałyby wyjechać? — zapytał gwałtownie.

— Dlaczego miałyby zostać? — rzucił pan Quin, lekko wzruszając ramionami.

To pytanie zdenerwowało pana Satterthwaite'a. Chciał przed nim uciec i wrócić na znany teren.

— Nie mogło być wiele wątpliwości co do tego, kto strzelał. Właściwie służący trochę stracili głowę. Nikt w domu nie był w stanie objąć dowodzenia. Dopiero po paru minutach ktoś pomyślał o wezwaniu policji, a wtedy okazało się, że telefon nie działa.

— Och! Więc telefon nie działał.

— Tak jest — potwierdził pan Satterthwaite i nagle uderzyło go wrażenie, że powiedział coś ogromnie ważnego. — Ktoś oczywiście mógł go uszkodzić celowo — rzekł powoli. — Ale to wydaje się bezsensowne. Śmierć nastąpiła praktycznie natychmiast.

Pan Quin nie odezwał się i pan Satterthwaite poczuł, że jego wyjaśnienie nie jest zadowalające.

— Nie sposób podejrzewać absolutnie nikogo poza młodym Wylde'em — ciągnął. — Sam zeznał, że wyszedł na trzy minuty przed strzałem. Kto prócz niego mógł strzelać? Sir George grał w brydża parę domów dalej. Wyszedł o wpół do siódmej i przed bramą spotkał go służący. Ostatni rober skończył się dokładnie o wpół do siódmej, nie ma co do tego wątpliwości. Jest jeszcze sekretarz sir George'a, Henry Thompson. Tego dnia był w Londynie, w czasie morderstwa miał spotkanie w interesach. I ostatnia osoba: Sylvia Dale, która miała całkiem poważny motyw, ale niemożliwe, by cokolwiek łączyło ją z taką zbrodnią. Była na stacji w Deering Yale, odprowadzała przyjaciółkę na pociąg o szóstej dwadzieścia osiem. To ją wyklucza. Teraz służba. Jakiż motyw mógł mieć ktokolwiek z nich? Poza tym niemal równocześnie dotarli na miejsce zbrodni. To musiał być Martin Wylde.

Lecz powiedział to pozbawionym satysfakcji tonem.

Zajęli się lunchem. Pan Quin nie był w rozmownym nastroju, a pan Satterthwaite powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Panujące milczenie nie było jednak jałowe. Wypełniało je

rosnące niezadowolenie pana Satterthwaite'a, coraz większe i silniejsze przez samą obecność drugiego mężczyzny.

Nagle pan Satterthwaite ze stukiem odłożył nóż i widelec.

— Przypuśćmy, że ten młody człowiek jest naprawdę niewinny — powiedział. — Zostanie powieszony.

Wydawał się zaskoczony i zdenerwowany tą myślą. A jednak pan Quin zachował milczenie.

— Ale to nie ma nic... — zaczął pan Satterthwaite i zaraz urwał. — Dlaczego ta kobieta nie miałaaby wyjeżdżać do Kanady? — zakończył niekonsekwentnie.

Pan Quin potrząsnął głową.

— Nie wiem nawet, do jakiej części Kanady wyjechała — ciągnął pan Satterthwaite, rozdrażniony.

— A mógłby się pan dowiedzieć? — zapytał jego towarzysz.

— Tak sędzę. Lokaj, ten będzie wiedział. Albo Thompson, sekretarz.

Ponownie zamilkł. Kiedy odezwał się, jego głos brzmiał niemal błagalnie.

— Ale to nie ma nic wspólnego ze mną?

— Że młody człowiek zostanie powieszony za trzy tygodnie?

— Cóż, tak... jeśli tak to pan ujmuje. Tak, rozumiem, o co panu chodzi. Życie i śmierć. I jeszcze ta biedna dziewczyna. Nie jestem uparty, ale co dobrego z tego przyjdzie? Czy to wszystko nie jest raczej zbyt fantastyczne? Nawet jeśli dowiem się, dokąd dokładnie wyjechała ta kobieta... przecież to będzie prawdopodobnie oznaczało, że sam muszę tam pojechać.

Pan Satterthwaite wyglądał na poważnie zdenerwowanego.

— A chciałem wyjechać w przyszłym tygodniu na Riwierę — dorzucił żałośnie.

Spojrzenie, jakie skierował na pana Quina, mówiło wyraźnie: „Niech mnie pan z tego zwolni”.

— Nigdy nie był pan w Kanadzie?

— Nigdy.

— To bardzo ciekawy kraj.

Pan Satterthwaite patrzył na niego niezdecydowany.

— Uważa pan, że powinienem pojechać?

Pan Quin odchylił się na oparcie i zapalił papierosa. Przemówił rozważnie między dwoma wydmuchnięciami dymu.

— Jest pan, o czym jestem przekonany, bogatym człowiekiem, panie Satterthwaite. Nie milionerem, lecz człowiekiem, który może pobłażać swemu hobby bez liczenia wydatków. Patrzył pan na dramaty innych ludzi. Nigdy nie rozważał pan wkroczenia w środek akcji i odegrania swojej roli? Czy nigdy nie widział pan siebie jako sędziego losów innych ludzi — stojącego pośrodku sceny, z wyrokiem życia w jednej ręce i śmierci — w drugiej?

Pan Satterthwaite pochylił się w stronę rozmówcy. Ogarnął go dawny zapach.

— To znaczy... jeśli pojedę na tę szaleńczą wyprawę do Kanady...?

Pan Quin uśmiechnął się.

— Och, ale to był pański pomysł, nie mój — rzucił lekko.

— Nie może mnie pan tak zbywać — powiedział niecierpliwie pan Satterthwaite. — Gdy tylko pana spotykam... — urwał.

— Tak?

— Jest w panu coś, czego nie rozumiem. Może nigdy mi się to nie uda. Ostatni raz, kiedy się spotkaliśmy...

— W letni wieczór.

Pan Satterthwaite poczuł zaskoczenie, jakby te słowa zawierały wskazówkę, którą nie całkiem pojmował.

— Czy to był letni wieczór? — zapytał zmieszany.

— Tak. Lecz nie mamy się nad czym rozwodzić. To nieważne, prawda?

— Skoro tak pan mówi — rzucił uprzejmie pan Satterthwaite. Czuł, że spomiędzy palców wyslizguje mu się jakaś ulotna wskazówka. — Kiedy wrócę z Kanady — urwał trochę niezręcznie — chciałbym... bardzo chciałbym znów pana zobaczyć.

— Obawiam się, że w tej chwili nie mam stałego adresu — powiedział z żalem pan Quin. — Lecz często tu zachodzę. Jeśli zrobi pan to samo, bez wątpienia wkrótce się spotkamy.

Rozstali się w miłym nastroju.

Pan Satterthwaite był bardzo podekscytowany. Pośpieszył do biura podróży Cooka i zapytał o rejsy do Kanady. Potem zadzwonił na Deering Hill. W słuchawce odezwał się głos lokaja, uprzejmy i pełen szacunku.

— Nazywam się Satterthwaite. Mówię w imieniu... hmm... firmy prawniczej. Chciałbym uzyskać informacje o młodej kobiecie, która pracowała ostatnio jako pokojówka w tej posiadłości.

— Zapewne chodzi o Louise, sir? Louise Bullard?

— Tak się nazywa — powiedział pan Satterthwaite, zadowolony, że właśnie się tego dowiedział.

— Przykro mi, lecz nie ma jej w kraju, sir. Sześć miesięcy temu wyjechała do Kanady.

— Może mi pan podać jej obecny adres?

Lokaj wyraził żal, że nie jest w stanie tego zrobić. Wyjechała do jakiejś miejscowości w górach, o szkockiej nazwie... ach! Banff, tak brzmiała. Służące w posiadłości dziewczyny spodziewały się wieści od niej, ale nigdy nie napisała ani nie podała adresu.

Pan Satterthwaite podziękował i rozłączył się. Wciąż ogarnięty duchem przygody postanowił, że pojedzie do Banff. Jeśli ta Louisa Bullard tam jest, znajdzie ją tym czy innym sposobem.

Ku jego zdumieniu, ogromnie podobała mu się wyprawa. Minęło wiele lat, odkąd płynął statkiem. Zwyczajowo jego wyjazdy ograniczały się do Riwiery, Le Touquet, Deauville i Szkocji. Poczucie, że wyrusza w niemożliwą do spełnienia misję dodało wycieczce pikanterii. Współtowarzysze podróży uznaliby go za głupca, gdyby wiedzieli, co było celem tej wyprawy! Lecz cóż — oni nie znali pana Quina.

W Banff łatwo trafił do celu. Louisa Bullard została zatrudniona w dużym hotelu. Dwanaście godzin po przybyciu stał z nią twarzą w twarz.

Miała jakieś trzydzieści pięć lat, anemiczny wygląd, ale mocną budowę. Jasnobrązowe włosy zwijały się w naturalne loki, a brązowe oczy patrzyły uczciwie. Uznał, że nie była zbyt rozgarnięta, ale za to godna zaufania.

Szybko uwierzyła, że poproszono go o uzyskanie od niej kilku dalszych informacji dotyczących tragedii w Deering Hill.

— Czytałam w gazecie, że pan Martin Wylde został skazany. To bardzo smutne.

Jednak wyglądało na to, że nie wątpi o jego winie.

— To miły młody dżentelmen, który zszedł na złą drogę. Ale, chociaż nie chciałabym mówić źle o zmarłych, to pani go tam zaprowadziła. Nie dawała mu spokoju. Cóż, oboje zostali ukarani. Kiedy byłam dzieckiem, na ścianie w moim pokoju wisiał taki napis: „Nie można drwić z Boga”, i to jest prawda. Wiedziałam, że tamtego wieczoru coś się wydarzy, i tak się stało.

— A skąd pani wiedziała? — zapytał pan Satterthwaite. — Byłam w swoim pokoju, sir, przebierałam się, i właśnie wtedy wyjrzałam przez okno. Przejeżdżał pociąg, a dym unosił się w powietrzu. Może mi pan wierzyć, uformował się w ogromną rękę. Wielka, biała dłoń na tle purpurowego nieba. Palce były zgięte, jakby po coś sięgały. Aż mnie ciarki przeszły. „Widzisz to? —

powiedziałam sobie. — To znak, że coś nadchodzi.” I w tej samej chwili usłyszałam strzał. „Stało się” — powiedziałam i pobiegłam na dół. Dołączyłam do Carrie i innych w holu. Weszliśmy do pokoju muzycznego. Leżała tam, z kulą w głowie, a wokół krew. Okropność! Powiedziałam sir George’owi, jaki znak widziałam chwilę wcześniej, ale on się tym nie przejął. To był pechowy dzień, czułam to w kościach od samego rana. Piątek, do tego trzynasty — czego można by się spodziewać?

Mówiła chaotycznie dalej. Pan Satterthwaite zachował cierpliwość. Co trochę naprowadzał ją z powrotem na temat zbrodni, wypytując o szczegóły. Wreszcie był zmuszony przyznać się do porażki. Louisa Bullard powiedziała wszystko, co wiedziała, a jej opowieść była prosta i jasna.

Jednak odkrył jeden ważny fakt. Obecną posadę zaproponował jej pan Thompson, sekretarz sir George’a. Pensja była tak wysoka, że dała się skusić i przyjęła pracę, choć wymagała pośpiesznego wyjazdu z Anglii. W Kanadzie wszystkim zajął się jakiś pan Denman, który także ostrzegł ją przed pisaniem listów do zaprzyjaźnionych dziewcząt w Anglii, gdyż to mogłoby „wpakować ją w kłopoty z władzami imigracyjnymi”, które to stwierdzenie przyjęła ze ślełą wiarą.

Pensja, której wysokość podała mimochodem, była rzeczywiście tak duża, że pan Satterthwaite zdumiał się. Po chwili wahania postanowił porozmawiać z owym panem Denmanem.

Z pewnym trudem nakłonił go, by zdradził to, co wie. Pan Denman spotkał Thompsona w Londynie. Thompson wyświadczył mu pewną przysługę. We wrześniu przysłał mu list, w którym pisał, że z osobistych powodów sir George chciałby pozbyć się pewnej dziewczyny z Anglii. Czy pan Denman mógłby znaleźć dla niej jakąś posadę? Przesłano też pewną sumę pieniędzy, by podwyższyć jej pensję.

— Zwykła sprawa, jak przypuszczam — powiedział pan Denman, odchylając się nonszalancko na oparcie krzesła. — A jednak wygląda na miłą, spokojną dziewczynę.

Pan Satterthwaite wcale nie sądził, że chodziło o zwykłą sprawę. Louisa na pewno nie była przelotną miłostką sir George’a Barnaby. Z jakichś przyczyn należało wywieźć ją z Anglii. Ale dlaczego? I kto się za tym krył? Sam sir George, wyręczający się Thompsonem? Czy też sekretarz, działający z własnej inicjatywy, posłużył się nazwiskiem pracodawcy?

Pan Satterthwaite wyruszył w powrotną drogę, wciąż dumając nad tymi pytaniami. Był przygnębiony i zniechęcony. Jego wyprawa nie przyniosła efektów.

Dzień po przyjeździe skierował swe kroki pod „Arlekina”, przytłoczony poczuciem porażki. Nie oczekiwał, że spotka przyjaciela już za pierwszym razem, lecz ku swemu zadowoleniu spostrzegł znajomą postać przy schowanym w niszy stoliku. Śniada twarz pana Quina rozjaśniła się w powitalnym uśmiechu.

— Cóż — zaczął pan Satterthwaite, sięgając po masło — wysłał mnie pan na zupełnie beznadziejną wyprawę.

Pan Quin uniósł brwi.

— Wysłałem pana? — zaprotestował. — To był wyłącznie pański pomysł.

— Czykolwiek był, nie przyniósł efektów. Louisa Bullard nie miała nic do powiedzenia.

Po czym pan Satterthwaite zrelacjonował rozmowę z pokojówką, a następnie przeszedł do spotkania z panem Denmanem. Pan Quin słuchał w milczeniu.

— Pod jednym względem jestem usprawiedliwiony — ciągnął pan Satterthwaite. — Celowo usunięto ją z drogi. Lecz nie rozumiem, dlaczego.

— Nie? — zapytał pan Quin, a jego głos, jak zwykle, brzmiał prowokująco.

Pan Satterthwaite zarumienił się.

— Pewnie myśli pan, że mogłem bardziej pociągnąć ją za język. Zapewniam pana, że kazałem jej powtarzać wszystko wielokrotnie. Nie moja wina, że nie dostałem tego, czego szukaliśmy.

— Jest pan pewien, że nie otrzymał tego, czego szukał? — zapytał pan Quin.

Pan Satterthwaite podniósł zdumiony wzrok i napotkał smutne, drwiące spojrzenie, które tak dobrze znał. Potrząsnął głową, trochę zagubiony.

Zapadła cisza, a potem pan Quin odezwał się, zupełnie zmieniając ton:

— Dwa dni temu wspaniale opisał mi pan ludzi związanych ze sprawą. W kilku słowach nakreślił pan ich sylwetki tak wyraźnie, jakby je wygrawerowano. Chciałbym, żeby zrobił pan to samo z posiadłością. Dotąd zostawiał ją pan w cieniu.

Pan Satterthwaite czuł się pochlebiony.

— Posiadłość? Deering Hill? Cóż, teraz to całkiem zwyczajny dom. Wie pan, czerwona cegła i wykuszowe okna. Z zewnątrz odrażający, lecz bardzo wygodny w środku. Nie za duży, do tego dwa akry gruntu. Te podmiejskie domy są do siebie bardzo podobne. Wybudowane dla bogaczy. Wnętrze przypomina hotel — sypialnie wyglądają jak hotelowe apartamenty. Każda ma łazienkę z gorącą wodą i połączane lampy. Wszystko to bardzo wygodne, ale niezupełnie w wiejskim stylu. Może pan powiedzieć, oczywiście, że Deering Hill leży zaledwie dziewiętnaście mil od Londynu.

Pan Quin słuchał uważnie.

— Słyszałem, że pociągi kursują fatalnie — zauważył.

— Och! Nic o tym nie wiem — powiedział pan Satterthwaite, zapalając się do tematu. — Zatrzymałem się tam na krótko zeszłego lata. Połączenie z miastem było nader dogodne. Oczywiście pociągi jeżdżą tylko co godzinę. Czterdzieści osiem minut po pełnej godzinie z dworca Waterloo, aż do dwudziestej drugiej czterdzieści osiem.

— A jak długo jedzie się do Deering Hill?

— Zaledwie trzy kwadranse. Pociąg jest w Deering Yale dwadzieścia osiem minut po pełnej godzinie.

— Oczywiście — powiedział pan Quin, gestem wyrażając zmieszanie. — Powinienem był pamiętać. Tamtego wieczoru panna Dale odprowadzała kogoś na pociąg o szóstej dwadzieścia osiem, prawda?

Pan Satterthwaite nie odpowiedział. Jego myśli pobiegły wstecz ku nierozwiązanemu problemowi. Wreszcie odezwał się:

— Niech mi pan powie, o co panu chodziło, kiedy mnie pan zapytał, czy na pewno nie dostałem tego, czego szukałem?

Ujęte w ten sposób, zabrzmiało to dość skomplikowanie, lecz pan Quin zrozumiał od razu.

— Zastanawiałem się, czy nie był pan zbyt wymagający. Przecież dowiedział się pan, że Louise Bullard celowo wywieziono z kraju. A skoro tak, to musiał istnieć jakiś powód. A on kryje się w tym, co panu powiedziała.

— Więc co mi powiedziała? — zaczął rzeczowo pan Satterthwaite. — Co powiedziałaaby, gdyby zeznawała w sądzie?

— Mogłaby powiedzieć, co widziała — podsunął pan Quin.

— A co widziała?

— Znak na niebie.

Pan Satterthwaite spojrział na swego rozmówcę ze zdumieniem.

— Myśli pan o tej bzdurze? Przesądnym wrażeniu, że ujrzała rękę Boga?

— Widzi pan, z tego, co obaj wiemy, to mogła być ręka Boga — stwierdził pan Quin.

Mały człowieczek był wyraźnie zaskoczony powagą jego tonu.

— Nonsens — orzekł. — Sama powiedziała, że to był dym z pociągu.

— Ciekawe, czy pociągu do Londynu, czy z Londynu? — rzucił cicho pan Quin.

— Raczej nie tego do Londynu. On przyjeżdża dziesięć minut przed pełną godziną. To musiał być pociąg z miasta, ten o szóstej dwadzieścia osiem... chociaż nie, to nie pasuje. Powiedziała, że strzał rozległ się zaraz potem, a my wiemy, że miał miejsce o szóstej dwadzieścia. Pociąg nie mógł przejeżdżać aż dziesięć minut wcześniej.

— Zwłaszcza na tak krótkiej trasie — zgodził się pan Quin.

Pan Satterthwaite zapałzył się przed siebie.

— Może towarowy — mruknął. — Lecz w takim razie...

— Nie trzeba byłoby pozbywać się jej z kraju — dopowiedział pan Quin.

Pan Satterthwaite spojrział na niego, zafascynowany.

— Szósta dwadzieścia osiem — rzekł powoli. — Lecz jeśli tak, jeśli strzelano właśnie wtedy, dlaczego wszyscy twierdzili, że stało się to wcześniej?

— To oczywiste — odparł pan Quin. — Zegary musiały źle chodzić.

— Wszystkie? — rzucił z powątpiewaniem pan Satterthwaite. — To naprawdę niezwykły zbieg okoliczności.

— Nie myślałem, że to zbieg okoliczności — zauważył pan Quin. — Myślałem o tym, że to był piątek.

— Piątek? — powtórzył pan Satterthwaite.

— Mówił mi pan, że sir George zawsze nakręca zegary w piątek po południu — powiedział przeprasającym tonem pan Quin. — Pamięta pan?

— Przesunął wskazówki dziesięć minut do tyłu — stwierdził pan Satterthwaite niemal szeptem, tak poraziło go poczynione odkrycie. — Potem wyszedł na brydża. Myślę, że tamtego ranka musiał otworzyć list swojej żony do Martina Wylde'a. Tak jest, na pewno go otworzył. Opuścił znajomych o szóstej trzydziści, znalazł strzelbę Martina opartą obok bocznych drzwi, wszedł do środka i strzelił do żony od tyłu. Potem wyszedł, rzucił broń w zarośla, gdzie ją znaleziono i wydawało się, że wychodzi z bramy sąsiadów, kiedy ktoś po niego przybiegł. Ale telefon! Co z telefonem? Ach tak, rozumiem. Odłączył go, żeby nie można było wezwać policji tą drogą, gdyż na posterunku mogli zanotować godzinę zgłoszenia. Teraz wersja Wylde'a ma ręce i nogi. Naprawdę wyszedł dwadzieścia pięć po szóstej. Idąc wolno, dotarłby do domu kwadrans przed siódmą. Tak, teraz to widzę. Jedyne niebezpieczeństwo stanowiła Louisa, w kółko mówiąca o swoich przesądnych wymysłach. Ktoś mógł uświadomić sobie znaczenie pociągu, a wtedy — żegnaj, doskonałe alibi.

— Świetnie — skomentował pan Quin.

Pan Satterthwaite zwrócił się ku niemu, zarumieniony po odniesionym sukcesie.

— Jedyne problem to, co robić teraz?

— Proponowałbym Sylvię Dale — powiedział pan Quin.

Pan Satterthwaite wyglądał, jakby miał wątpliwości.

— Mówiłem panu. Wydała mi się trochę... ehm... głupia.

— Ma ojca i braci, którzy przedsięwzją odpowiednie kroki.

— To prawda — powiedział z ulgą pan Satterthwaite.

Niewiele później siedział razem z dziewczyną, opowiadając jej całą historię. Słuchała uważnie. Nie postawiła mu żadnych pytań, lecz kiedy skończył, zaraz wstała.

— Muszę wziąć taksówkę. Natychmiast.

— Moje drogie dziecko, co chcesz uczynić?

— Jadę do sir George'a Barnaby.

— To niemożliwe. Absolutnie niewłaściwe posunięcie. Pozwól mi...

Próbował ją zatrzymać, zdenerwowany, lecz jego słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Sylvia Dale uparła się przy własnym planie. Pozwoliła, by razem z nią wsiadł do taksówki, lecz pozostała głucha na wszystkie jego protesty. Zostawiła go w samochodzie, a sama weszła do londyńskiego biura sir George'a.

Wyszła pół godziny później. Wyglądała na wyczerpaną, jej jasna twarz przypominała przywiedły kwiat. Pan Satterthwaite zajął się nią z troską.

— Wygrałam — szepnęła, opierając się na siedzeniu z półprzymkniętymi oczyma.

— Co? — był zaskoczony. — Co pani zrobiła? Co pani powiedziała?

Wyprostowała się trochę.

— Powiedziałam mu, że Louisa Bullard zgłosiła się na policję. Że policjanci rozpytali się i że widziano, jak wchodzi na teren swojej posiadłości, a potem ponownie wychodzi, trzydzieści kilka minut po szóstej. Powiedziałam mu, że gra jest skończona. Załamał się. Podsunęłam mu, że wciąż jeszcze ma czas, żeby uciec, że zaaresztują go nie wcześniej niż za godzinę. Powiedziałam, że jeśli podpisze zeznanie, że to on zamordował Vivien, nie zrobię nic, lecz jeśli się nie zgodzi, zacznę krzyczeć i wszyscy w tym budynku poznają prawdę. Podpisał dokument, nie całkiem wiedząc, co robi.

Wcisnęła panu Satterthwaite'owi kartkę papieru.

— Niech pan to weźmie. Niech pan to weźmie. Wie pan, co z tym zrobić, żeby uwolniono Martina.

— Rzeczywiście podpisał — wykrzyknął zdumiony pan Satterthwaite.

— Wie pan, on jest trochę głupi — powiedziała Sylvia. — Tak jak ja — dodała po namyśle. — Dlatego wiem, jak głupio ludzie czasem się zachowują. Coś nas wytrąci z równowagi, robimy coś złego, a dopiero potem żałujemy.

Wzdrygnęła się, a pan Satterthwaite poklepał jej dłoń.

— Potrzebuje pani czegoś, żeby się pozbierać — orzekł. — Chodźmy, jesteśmy niedaleko mojej ulubionej restauracji, „Arlekina”. Była tu już pani?

Potrząsnęła głową.

Pan Satterthwaite zatrzymał taksówkę i zaprowadził dziewczynę do niewielkiego lokalu. Zmierzał do stolika w głębi, a jego serce biło z nadzieją. Lecz stolik był pusty.

Sylvia Dale zauważyła rozczarowanie na jego twarzy.

— Co się stało? — spytała.

— Nic — odparł pan Satterthwaite. — To znaczy, spodziewałem się, że spotkam tu znajomego. Nieważne. Zapewne zobaczę go ponownie któregoś dnia...

Rozdział piąty

Pan Satterthwaite rozkoszował się blaskiem słońca na tarasie w Monte Carlo.

Każdego roku, regularnie w drugą niedzielę stycznia, porzuczał Anglię i wyjeżdżał na Riwierę. Był bardziej punktualny niż jaskółki. W kwietniu wracał do kraju, maj i czerwiec spędzał w Londynie i nigdy nie słyszano, by opuścił wyścigi w Ascot. Wyjeżdżał z miasta po meczu między Eton i Harrow, składał kilka wizyt w wiejskich posiadłościach, a potem zmierzał do Deauville albo Le Touquet. Polowania pochłaniały niemal cały wrzesień i październik, a ostatnie dwa miesiące zamykające rok spędzał w Londynie. Znał wszystkich i śmiało można powiedzieć, że wszyscy znali jego.

Tego ranka marszczył czoło. Błękit nieba był godny podziwu, ogrody zachwycaly, jak zawsze, rozczarowali go jednak ludzie — uznał, że stanowią niegustownie odziany, tandetny tłum. Oczywiście niektórzy to hazardziści, skazane na zagładę dusze, które nie mogą stąd uciec. Tych pan Satterthwaite tolerował. Tworzyli niezbędne tło. Brakowało mu jednak elity, przedstawicielei jego własnej klasy.

— Zmieniło się — powiedział sobie ponuro. — Zjeżdżają się tu osobniki wszelkiego autoramentu, których nie stać byłoby na to przedtem. Poza tym starzeję się... Młodzi wolą jechać dalej, do Szwajcarii.

Tęsknił jednak za kim innym: za eleganckimi baronami i hrabiami z zagranicznych ambasad, za wielkimi księżętami i rodzinami królewskimi. Jedyny następca tronu, jakiego widział do tej pory, obsługiwał windę w jednym z mniej znanych hoteli. Brakowało mu również pięknych i kosztownych dam. Kilka z nich przyjechało, ale nie tyle, co dawniej.

Pan Satterthwaite był pilnym badaczem dramatu zwanego życiem, lecz chciał, by obserwowany materiał miał wiele odcieni. Poczul, jak ogarnia go zniechęcenie. Zmieniały się wartości, a on sam był już za stary, by się zmienić.

W tej właśnie chwili spostrzegł hrabinę Czarnową.

Pan Satterthwaite spotykał hrabinę w Monte Carlo od wielu sezonów. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, towarzyszył jej wielki książę. Następnym razem przyjechała z austriackim baronem. W kolejnych latach jej przyjaciele byli pochodzenia hebrajskiego — żółtawi mężczyźni o haczykowatych nosach, obwieszeni krzykliwą biżuterią. Od roku czy dwóch widywano ją z ludźmi bardzo młodymi, niemal chłopcami.

Teraz właśnie szła z takim młodym człowiekiem. Przypadkowo pan Satterthwaite go znał, i zrobiło mu się przykro. Franklin Rudge był młodym Amerykaninem, typowym produktem Środkowego Zachodu, skorym do imponowania innym, niewyrobionym, lecz sympatycznym — dziwnym połączeniem narodowej przebiegłości i idealizmu. Przyjechał do Monte Carlo z grupą młodych Amerykanów obojga płci, w podobnym typie. To było ich pierwsze spojrzenie na Stary Świat i otwarcie wyrażali zarówno swoją krytykę, jak i uznanie.

Ogólnie biorąc, nie spodobali im się Anglicy mieszkający w hotelu — i vice versa. Pan Satterthwaite, który z dumą uważał się za kosmopolitę, nawet ich polubił.

Przemawiała do niego ich bezpośredniość i energia, choć błędy językowe przyprawiały go o zgrozę.

Przyszło mu do głowy, że hrabina Czarnova była najbardziej nieodpowiednią przyjaciółką dla młodego Franklina Rudge'a.

Kiedy przechodzili przed nim, uchylił uprzejmie kapelusza, a hrabina skinęła w jego stronę głową z czarującym uśmiechem.

Była to wysoka kobieta o wspaniałej figurze. Do tego czarne włosy i oczy, a rzęsy i brwi czarniejsze niż jakiegokolwiek dzieło natury.

Pan Satterthwaite, który znał więcej kobiecych tajników niż wypada mężczyźnie, natychmiast złożył hołd artyzmowi jej makijażu. Jasnokremowa cera hrabiny wydawała się bez skazy. Delikatne cienie pod jej oczyma były nadzwyczaj efektowne. Usta — nie purpurowe i nie szkarłatne — miały stonowaną barwę wina. Ubrana była w śmiałą czarno-białą kreację, a parasolka w odcieniu czerwieni wpadającej w róż idealnie podkreślała cerę.

Franklin Rudge wyglądał na człowieka szczęśliwego i świadomego swojej wagi.

— Oto młody głupiec — powiedział do siebie pan Satterthwaite. — Lecz to nie moja sprawa, zresztą i tak by mnie nie słuchał. Cóż, w swoim czasie i ja płaciłem haracz za zdobyte doświadczenie.

Jednak nadal się martwił. Miał pewność, że jednej z Amerykanek — bardzo atrakcyjnej, drobnej dziewczynie — wcale nie podobała się przyjaźń Franklina Rudge'a z hrabiną.

Właśnie miał skierować swe kroki w przeciwną stronę, kiedy dostrzegł wspomnianą osobę; szła ku niemu jedną z drózek. Miała na sobie świetnie skrojony kostium, białą muślinową koszulkę do talii, wygodne, rozsądnie wybrane buty do pieszych wędrówek. W ręku niosła przewodnik. Niektóre Amerykanki po wizycie w Paryżu wyjeżdżają ubrane jak królowa Saby, lecz Elizabeth Martin była inna. „Zaliczała” Europę w sposób poważny i sumienny. Wysoko ceniła kulturę i sztukę i za swoje ograniczone fundusze chciała zobaczyć jak najwięcej.

Wątpliwe, by pan Satterthwaite uznał ją za osobę o wielkiej kulturze i artystycznym smaku. Jemu wydawała się” po prostu młoda.

— Dzień dobry, panie Satterthwaite — powitała go Elizabeth. — Widział pan gdzie Franklina? Pana Rudge'a?

— Zaledwie parę minut temu.

— Pewnie z jego przyjaciółką hrabiną? — rzuciła ostro dziewczyna.

— Hm... tak, z hrabiną — przyznał pan Satterthwaite.

— Ta jego hrabina nie robi na mnie żadnego wrażenia — oświadczyła dziewczyna wysokim, przenikliwym głosem. — Franklin zwariował na jej punkcie. Nie rozumiem, dlaczego.

— Ma wiele uroku — powiedział ostrożnie pan Satterthwaite.

— Zna ją pan?

— Trochę.

— Naprawdę martwię się o Franklina. Ten chłopak z reguły jest rozsądny. Trudno uwierzyć, że dał się omotać takiej kokocie. I nie chce nic słyszeć, wścieka się jak osa, gdy ktoś próbuje przemówić mu do rozumu. Niech mi pan powie, czy to chociaż prawdziwa hrabina?

— Nie potrafię tego orzec. Być może.

— Zachowuje się pan jak typowy Anglik — orzekła z niezadowoleniem. — Powiem tylko, że w Sargon Springs — to nasze rodzinne miasto, panie Satterthwaite — taka hrabina byłaby uważana za dziwaczkę.

Pan Satterthwaite pomyślał, że to prawdopodobne. Powstrzymał się od wyjaśnienia, że nie znajdują się w Sargon Springs, lecz w księstwie Monaco, i tu akurat hrabina pasuje do otoczenia o wiele bardziej niż panna Martin.

Nie odezwał się słowem i Elizabeth ruszyła w stronę kasyna. Pan Satterthwaite usiadł na ławce w pełnym słońcu. Po chwili dołączył do niego Franklin Rudge.

— Świetnie się bawię — oświadczył z naiwnym entuzjazmem. — Tak, proszę pana! To właśnie nazywam doświadczeniem życia. Jest zupełnie inne od tego, co mamy w Stanach.

Starszy mężczyzna zwrócił ku niemu zamyśloną twarz.

— Życie wszędzie toczy się bardzo podobnie — powiedział ze znużeniem. — Ma tylko inne przebranie.

Franklin Rudge spojrział na niego zaskoczony.

— Nie rozumiem.

— Nie. To dlatego, że ma pan jeszcze do przejścia długą drogę. Proszę o wybaczenie, żaden starzec nie powinien pozwalać sobie na kazania.

— Och, nic się nie stało! — Rudge roześmiał się, pokazując wspaniałe amerykańskie uzębienie. — Nie mówię, że nie rozczarowało mnie kasyno. Myślałem, że hazard jest inny, bardziej podniecający. A teraz wydaje mi się nudny i podły.

— Hazard dla nałogowca jest kwestią życia i śmierci, ale nie ma cech widowiskowych — powiedział pan Satterthwaite. — Ciekawiej jest o nim czytać, niż nań patrzeć.

Młody człowiek skinął potakująco głową.

— Jest pan sporą szyczą w towarzystwie, co? — zapytał z tak naiwną otwartością, że trudno było potraktować to jak obrazę. — To znaczy, zna pan wszystkie księżne, hrabiów i hrabiny?

— Wielu z nich — przyznał pan Satterthwaite. — A także Żydów, Portugalczyków, Greków i Argentyńczyków.

— Co?

— Wyjaśniałem jedynie, że poruszam się w różnych kręgach angielskiego społeczeństwa.

Franklin Rudge zastanawiał się przez chwilę.

— Zna pan hrabinę Czarnową, prawda? — zapytał na koniec.

— Trochę — pan Satterthwaite dał mu tę samą odpowiedź, jakiej wcześniej udzielił Elizabeth.

— To kobieta, którą warto poznać. Zwykle uważa się, że europejska arystokracja jest przeżytkiem. Może to prawda w odniesieniu do mężczyzn, ale kobiety są inne. Czy nie miło spotkać kogoś tak wspaniałego jak hrabina? Dowcipna, czarująca, inteligentna, ma za sobą całe pokolenia cywilizacji i jest arystokratką po czubek nosa!

— Doprawdy?

— A nie? Zna pan jej rodzinę?

— Nie. Obawiam się, że niewiele o niej wiem.

— Pochodzi z Radzynskich — objaśnił go Franklin Rudge. — To jeden z najstarszych rodów na Węgrzech. Miała niesamowite życie. Pamięta pan ten sznur pereł, który nosi?

Pan Satterthwaite przytaknął.

— Dał go jej król Bośni. Przeszmuglowała dla niego jakieś tajne dokumenty poza granicę królestwa.

— Słyszałem, że dostała go od króla Bośni. Wszyscy plotkowali o tym fackie; ponoć hrabina była w przeszłości chere amie Jego Wysokości.

— Powiem panu coś więcej.

Pan Satterthwaite słuchał, a im więcej słyszał, tym bardziej podziwiał płodną wyobraźnię hrabiny Czarnovej. Nie pasowało do niej wulgarne określenie „kokota”, jak nazwała ją Elizabeth. Ten młody człowiek był bystry, przyzwoity i wierzył w ideały. Tak więc hrabina poruszała się skromnie w labiryncie dyplomatycznych intryg. Naturalnie, miała wrogów. Sprawiała, że młodemu Amerykaninowi wydawało się, iż zagląda w życie minionej epoki, gdzie hrabina była postacią centralną, wyniosłą arystokratką, przyjaciółką królewskich doradców i książąt, kobietą skłaniającą

otoczenie do romantycznych poświęceń.

— A musiała sporo wycierpieć — zakończył ciepło młodzieniec. — Trudno uwierzyć, ale nigdy nie spotkała kobiety, która mogłaby być jej prawdziwą przyjaciółką. Kobiety zawsze występowały przeciwko niej.

— Prawdopodobnie — przyznał pan Satterthwaite.

— Czy nie uważa pan, że to skandal? — zawołał z zapalem Rudge.

— Nnie... — odparł z namysłem pan Satterthwaite. — Nie sędzę. Widzi pan, kobiety mają swoje własne kryteria. Nie powinniśmy mieszać się w ich sprawy. One prowadzą własną grę.

— Nie zgadzam się z panem — powiedział z przekonaniem Rudge. — To jedna z najgorszych rzeczy w dzisiejszym świecie: niezyczliwość jednej kobiety wobec drugiej. Zna pan Elizabeth Martin? Otóż ona uważa tak samo, w teorii. Często o tym dyskutowaliśmy. To jeszcze dzieciak, ale jej poglądy są słuszne. Jednak kiedy przychodzi do praktycznego sprawdzianu, nie jest lepsza od innych kobiet. Zawzięła się na hrabinę, a nic o niej nie wie. Nie chce mnie słuchać, kiedy próbuję jej cokolwiek wyjaśnić. Źle się dzieje, panie Satterthwaite. Wierzę w demokrację, a czyż nie polega ona na braterstwie mężczyzn i siostrzanych uczuciach łączących kobiety?

Zamilkł z powagą. Pan Satterthwaite próbował wyobrazić sobie okoliczności, w których siostrzane uczucie mogłoby połączyć hrabinę i Elizabeth Martin. Nie udało mu się.

— Natomiast hrabina ogromnie podziwia Elizabeth — podjął Rudge. — Uważa, że jest pod każdym względem czarująca. I czego to dowodzi?

— Tego, że hrabina żyje znacznie dłużej od panny Martin — stwierdził sucho pan Satterthwaite.

Franklin Rudge nieoczekiwanie zmienił temat.

— Wie pan, ile ma lat? Powiedziała mi. Uczciwie. Sądziłem, że jakieś dwadzieścia dziewięć, ale ona z własnej woli przyznała się, że ma trzydzieści pięć. Nie wygląda na tyle, prawda?

Pan Satterthwaite, którego prywatna ocena wahała się między czterdzieści pięć a czterdzieści dziewięć, tylko uniósł brwi.

— Powinienem pana ostrzec przed wiarą we wszystko, co usłyszysz pan w Monte Carlo — mruknął.

Miał dość doświadczenia, by wiedzieć, że dyskusja z młodzieńcem byłaby zupełnie jałowa. Franklin Rudge był uosobieniem rycerskości i odrzuciłby każde twierdzenie nie poparte bezspornym dowodem.

— Oto i hrabina — powiedział, wstając.

Podeszła do nich z omdlewającym wdziękiem, który tak do niej pasował. Usiedli w trójkę. Była bardzo miła dla pana Satterthwaite'a, choć wyniosła. Zwracała się do niego uprzejmie, pytając o

zдание, i traktując go jak autorytet w sprawach Riwiery.

Rozegrała rzecz mądrze. Minęło kilka minut, zanim Franklin Rudge zorientował się, że został wdzięcznie lecz kategorycznie odprawiony, a hrabina i pan Satterthwaite zostali sami, tâte-à-tâte.

Złożyła parasolkę i zaczęła jej czubkiem rysować wzory w piasku ścieżki.

— Ciekawi pana ten amerykański chłopiec, prawda, panie Satterthwaite?

W jej niskim głosie pobrzmiwała pieszczotliwa nuta.

— Jest miły — powiedział wymijająco pan Satterthwaite.

— Rzeczywiście, jest sympatyczny — zgodziła się z zadumą hrabina. — Opowiedziałam mu sporo o swoim życiu.

— Tak?

— Zwierzyłam mu się nawet z tego, o czym wie tylko kilka osób — ciągnęła w rozmarzeniu. — Miałam niezwykle życie, panie Satterthwaite. Trudno uwierzyć, jak zadziwiające rzeczy mi się przydarzyły.

Pan Satterthwaite był dość bystry, by domyślić się, co naprawdę miała na myśli. To, co opowiedziała Franklinowi mogło być prawdą. Brzmiało wyjątkowo nieprawdopodobnie i ze wszech miar fantastycznie, a jednak było możliwe... Nikt nie mógł zdecydowanie stwierdzić: To kłamstwo.

Nie odrzekł nic, a hrabina wciąż patrzyła rozmarzona na zatokę.

I nagle wydała się panu Satterthwaite'owi kimś zupełnie innym, nowym i dziwnym. Nie patrzył już na nią jak na harpię, ale jak na zdesperowaną istotę w potrzasku, walczącą pazurami i zębami o życie. Rzucił jej ukradkowe spojrzenie. Dostrzegł małe zmarszczki zmęczenia w kącikach oczu. I uderzającą rytmicznie żyłkę na skroni.

Nabierał coraz większej pewności. Była stworzeniem zrotpaczonym, osaczonym. Potraktowałaby bez miłosierdzia jego lub każdego, kto stanąłby między nią a Franklinem Rudge'em. Nadal jednak czuł, że nie uchwycił przyczyny jej strapienia. Niewątpliwie miała mnóstwo pieniędzy. Zawsze była ubrana pięknie, a jej klejnoty były wspaniałe. Nie mogła mieć finansowych kłopotów. Czyżby miłość? Wiedział, że kobiety w jej wieku mogą zadurzyć się w młodych chłopcach. Może o to chodziło?

W jej sytuacji kryło się coś niezwykłego, za to mógł ręczyć.

To spotkanie było rzuconym mu wyzwaniem. Obrała go na swojego głównego wroga. Chciała nakłonić go, by oczernił ją przed Franklinem. Pan Satterthwaite uśmiechnął się do siebie. Na to był za starym wygą. Wiedział, kiedy lepiej ugryźć się w język.

Tej nocy obserwował ją w Cercle Privó, kiedy próbowała szczęścia w ruletce.

Stawiała raz po raz tylko po to, by patrzeć, jak jej żetony znikają. Dobrze znosiła przegraną, ze stoickim spokojem stałej bywalczyni. Raz czy dwa zagrała en plein, stawiając wszystko na czerwone pole, wygrała trochę obstawiając środkowe liczby i znów przegrała, wreszcie sześć razy pod rząd obstawiła manque i straciła resztę pieniędzy. Wtedy lekko, z wdziękiem wzruszyła ramionami i odeszła od stołu.

Wyglądała urzekająco w sukni ze złotej tkaniny z przebijającą pod spodem nutą zieleni. Słynne perły z Bośni otaczały jej szyję, a z uszu zwisały perłowe kolczyki.

Pan Satterthwaite dosłyszał, jak zachwycają się nią dwaj mężczyźni stojący obok.

— Ta Czarnova dobrze się trzyma, prawda? — mówił jeden z nich. — Klejnoty koronne Bośni wyglądają na niej świetnie.

Drugi, mały człowieczek o semickim wyglądzie spojrzął na nią z zaciekawieniem.

— Więc to są perły z Bośni? — zapytał. — En verite! To dziwne.

Zaśmiał się cicho do siebie.

Pan Satterthwaite nie usłyszał nic więcej, gdyż w tej chwili odwrócił głowę i z radością rozpoznał swojego starego przyjaciela.

— Mój drogi panie Quin! — Uścisnął ciepło jego dłoń.

— Ostatnie miejsce, w jakim bym się pana spodziewał.

Pan Quin uśmiechnął się, a jego śniada, przystojna twarz pojaśniała.

— Nie powinno to pana dziwić — odparł. — To karnawał. Często tu przyjeżdżam w karnawale.

— Naprawdę? To wielka przyjemność. Chce pan pozostać na sali? Dla mnie jest tu za gorąco.

— Na zewnątrz jest przyjemniej — przyznał pan Quin.

— Przejdźmy się po ogrodzie.

Powietrze było ostre, ale nie chłodne. Obaj mężczyźni odetchnęli głęboko.

— Tu jest lepiej — orzekł pan Satterthwaite.

— O wiele — zgodził się pan Quin. — I możemy swobodnie porozmawiać. Na pewno ma pan dużo do opowiedzenia.

— Istotnie.

Pan Satterthwaite ochoczo przedstawił mu swój dylemat. Ponownie odczuł dumę ze swady, z jaką

potrafił oddać nastrój. Hrabina, młody Franklin, bezkompromisowa Elizabeth — naszkicował ich portrety nader zręcznie.

— Zmienił się pan od naszego pierwszego spotkania — zauważył z uśmiechem pan Quin, kiedy opis dobiegł końca.

— W jakim sensie?

— Wtedy zadowalało pana obserwowanie dramatu podsuwanego przez życie. Teraz chce pan wziąć w nim udział — działać.

— To prawda — wyznał pan Satterthwaite. — Lecz tym razem nie wiem, co czynić. Wszystko się gmatwa. Może... — zawahał się. — Może mi pan pomoże?

— Z przyjemnością — odparł pan Quin. — Zobaczymy, co możemy zrobić.

Pan Satterthwaite poczuł ogromną ulgę.

Następnego dnia przedstawił swojemu przyjacielowi Franklina Rudge'a i Elizabeth Martin. Z przyjemnością stwierdził, że przypadli sobie do gustu. Nie wspomiano o hrabinie, lecz w czasie lunchu usłyszał wieści, które zwróciły jego uwagę.

— Wieczorem przyjeżdża Mirabelle — powtórzył z podnieceniem panu Quinowi.

— Ulubienica paryskiej sceny?

— Tak. Na pewno wie pan, tak szeroko się o tym mówi, że jest najnowszym kaprysem księcia. Zapewne obsypuje ją klejnotami. Ponoć to najbardziej wymagająca i ekstrawagancka kobieta w całym Paryżu.

— Jej spotkanie z hrabiną Czarnową będzie interesujące.

— To samo sobie pomyślałem.

Mirabelle była wysokim, chudym stworzeniem o wspaniałych, zafarbowanych na blond włosach. Miała cerę w odcieniu bladego różu i umalowane pomarańczową szminką usta. Szczyt szyku. Nosiła strój przywodzący na myśl rajskiego ptaka, do tego kilka sznurów klejnotów zwisających na jej nagich plecach. Prawą kostkę nogi otaczała ciężka bransoleta wysadzana ogromnymi diamentami.

Kiedy pojawiła się w kasynie, wywołała sensację.

— Pańskiej przyjaciółce hrabinie trudno będzie ją pokonać — wyszeptał przyjacielowi do ucha pan Quin.

Pan Satterthwaite skinął głową. Ciekaw był, jak postąpi hrabina.

Przyszła późno, i kiedy obojętnie zmierzała do jednego ze stołów z ruletką pośrodku sali, wokół niej

rozlegał się szum głosów.

Ubrana była w białą suknię — po prostu pas marokinu, jaki mogłaby nosić debiutantka, bez żadnej biżuterii na olśniewająco białej szyi i ramionach. Nie założyła ani jednego klejnotu.

— Bardzo mądrze — ocenił pan Satterthwaite z natychmiastowym uznaniem. — Wzgardziła rywalizacją, a jednak pokonała przeciwniczkę.

Podszedł bliżej i stanął obok stołu. Od czasu do czasu sam coś stawiał. Niekiedy wygrywał, choć częściej był stratny.

W czasie ostatniej gry przydarzyła się rzecz niezwykła. Co trochę kula wskakiwała na pole trzydzieści jeden lub trzydzieści cztery. Przy krupierze zebrał się stos sztonów.

Pan Satterthwaite obstawił z uśmiechem ostatni swój numer tego wieczoru, kładąc maksymalną stawkę na cyfrę pięć.

Z kolei hrabina pochyliła się i postawiła na szóstkę.

— Faites vos jeux — zawołał ochryłym głosem krupier. — Rien ne va plus. Plus rien.

Kula została puszczone w ruch, brzęcząc wesoło. Pan Satterthwaite pomyślał sobie: Dla każdego z nas oznacza to coś innego. Nadzieję lub rozpacz, nudę, pustą rozrywkę, życie lub śmierć.

Klik!

Krupier nachylił się, by odczytać wynik.

— Numero cinque, rouge, impair et manque

Pan Satterthwaite wygrał!

Krupier zebrał żetony i pchnął wygraną pana Satterthwaite'a, który wyciągnął rękę, by ją odebrać. To samo zrobiła hrabina. Krupier przeniósł spojrzenie z jednego z nich na drugie.

— A madame — zdecydował szorstko.

Hrabina zebrała pieniądze. Pan Satterthwaite cofnął się. Zachował się jak dżentelmen. Hrabina popatrzyła mu prosto w twarz, a on oddał jej spojrzenie. Ze dwie osoby przy stole zwróciły krupierowi uwagę, że popełnił błąd, lecz on niecierpliwie potrząsnął głową. Zawołał ochryple:

— Faites vos jeux, messieurs et mesdames.

Pan Satterthwaite powrócił do pana Quina. Pod maską nienagannego zachowania skrywał olbrzymie oburzenie. Pan Quin wysłuchał go ze współczuciem.

— Bardzo źle — powiedział — lecz takie rzeczy się zdarzają. Spotkamy się później z pana

przyjacielem, Franklinem Rudge'em. Wydaję małą kolację.

O północy spotkali się we trójkę i pan Quin wyłożył swój plan.

— To tak zwane przyjęcie „na drodze” — wyjaśnił.

— Wybieramy miejsce spotkania, każdy z nas wychodzi i jest zobowiązany pod przysięgą zaprosić pierwszą osobę, jaką napotka.

Pomysł rozbawił Franklina.

— A co zrobić, jeśli ta osoba się nie zgodzi?

— Musi pan użyć swojego daru przekonywania.

— Zgoda. Gdzie się spotkamy?

— W kafejce w stylu bohemy, gdzie można przyprowadzić dziwacznych gości. Nazywa się Le Caveau.

Objąsnił, gdzie znajduje się kawiarnia i rozdzielili się. Pan Satterthwaite miał szczęście i wpadł wprost na Elizabeth Martin. Zaprosił ją radośnie. Dotarli do Le Caveau i zeszli do sali w piwnicy, gdzie znaleźli stół nakryty do kolacji i oświetlony świecami w staromodnych świecznikach.

— Jesteśmy pierwsi — zauważył pan Satterthwaite.

— Ach! Oto idzie pan Franklin...

Urwał gwałtownie. Obok Franklina szła hrabina. Była to niezręczna chwila. Elizabeth okazała mniej taktu. Natomiast hrabina, jak przystało kobiecie światowej, zachowała się z godnością.

Na koniec zjawił się pan Quin. Obok niego kroczył mały, śniady mężczyzna, odziany schludnie. Jego twarz wydała się panu Satterthwaite'owi znajoma. W chwilę później rozpoznał go. Był to krupier, który wcześniej tego wieczoru popełnił godną pożałowania pomyłkę.

— Przedstawię pana zebrany. Pan Pierre Vaucher — oznajmił pan Quin.

Mały człowieczek wydawał się stropiony. Pan Quin zaznajomił go z resztą gości lekko i swobodnie. Wniesiono kolację, naprawdę doskonałą. Do niej wina — wspaniałe. Atmosfera stała się jakby mniej chłodna. Hrabina milczała, podobnie jak Elizabeth. Franklin Rudge zrobił się rozmowny. Opowiadał przeróżne historyjki — nie zabawne, lecz poważne. A pan Quin spokojnie i wytrwale dolewał wina.

— Opowiem wam, a jest to historia prawdziwa, o człowieku, który czynił dobro — mówił z przejęciem Franklin.

Jak przystało na kogoś pochodzącego z kraju objętego prohibicją, potrafił docenić szampana.

Opowiedział swoją historię, być może trochę przydługą. Jak wiele prawdziwych opowieści okazała się o wiele gorsza od fikcji.

Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, Pierre Voucher, który siedział naprzeciw niego, ocknął się. On także złożył należny hołd trunkom. Pochylił się nad stołem.

— Ja też opowiem wam pewną historię — rzucił ochrypłym głosem. — Lecz moja jest o człowieku, który nie czynił dobra. To opowieść o człowieku, który nie wspinał się w górę, lecz staczał się w dół. I, podobnie jak pańska, moja opowieść jest prawdziwa.

— Niech ją pan opowie, prosimy — rzucił uprzejmie pan Satterthwaite.

Pierre Voucher odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał w górę na sufit.

— Historia zaczyna się w Paryżu. Żył tam pewien człowiek, jubiler. Młody i beztroski, a przy tym pracowity. Mówiono, że ma przed sobą przyszłość. Ułożono mu już dobre małżeństwo, narzeczona nie wyglądała źle, posag miała całkiem zadowalający. I co powiecie? Pewnego ranka zobaczył dziewczynę. Takie żalosne, małe stworzenie, messieurs. Była piękna? Tak, być może, gdyby nie była na wpół zagłodzona. Jednak dla tego młodzieńca miała w sobie czar, któremu nie potrafił się oprzeć. Usiłowała znaleźć pracę, była cnotliwa — a przynajmniej tak mu powiedziała. Nie wiem, czy powiedziała prawdę.

W półmroku rozległ się nagle głos hrabiny.

— Dlaczego miałyby kłamać? Wiele jest takich jak ona.

— Cóż, jak mówiłem, młody człowiek uwierzył jej. I poślubił ją. Głupiec! Rodzina nie chciała z nim rozmawiać. Zranił ich uczucia. Ożenił się z... Jeanne, tak ją nazwę, i to był dobry uczynek. Tak jej powiedział. Czuł, że winna być mu wdzięczna. Tyle dla niej poświęcił.

— Uroczy początek dla biednej dziewczyny — zauważyła z sarkazmem hrabina.

— Kochał ją, to prawda, lecz od pierwszej chwili doprowadzała go do szaleństwa. Miała swoje humory, napady złości; jednego dnia była zimna, następnego namiętna. Wreszcie odkrył prawdę. Nigdy go nie kochała. Wyszła za niego, aby nie żyć w nędzy. To odkrycie zraniło go, i to dotkliwie, lecz robił wszystko, by tego po sobie nie pokazać. Nadal czuł, że zasługuje na wdzięczność i posłuszeństwo. Pokłócili się. Robiła mu wyrzuty — mon Dieu i to za co?

Przewidujecie, co było dalej? To, co musiało się stać. Porzuciła go. Dwa lata był sam, prowadził swój mały sklepik nie mając od niej żadnych wieści. Miał jednego przyjaciela — absynt. Interes nie szedł za dobrze.

A potem, pewnego dnia wszedł do sklepu i zobaczył, że ona tam siedzi. Ubrana przepięknie. Na palcach miała pierścienie. Stał przyglądając się jej. Serce mu waliło... waliło jak szalone! Nie wiedział, co robić. Chciałby ją uderzyć, uścisnąć w ramionach, pchnąć na podłogę i podeptać, rzucić się jej do stóp. Niczego takiego nie uczynił. Wziął do ręki pincetę i zabrał się do swojej pracy. „Pani sobie życzy?” — zapytał. To ją zdenerwowało. Nie tego się spodziewała. „Pierre — powiedziała.

— Wróciłam.” Odłożył szczypcę i spojrzał na nią. „Chcesz, żebym ci przebaczył?” — zapytał. — Żebym przyjął cię z powrotem? Szczerze żałujesz?” „Chcesz mnie z powrotem?” — zapytała. Och, jak miękko to wyszeptwała.

Wiedział, że zastawia na niego pułapkę. Pragnął zamknąć ją w swoich ramionach, ale na to był za mądry. Udawał obojętność.

„Jestem chrześcijaninem — powiedział. — Staram się czynić tak, jak nakazuje Kościół”. Myślał sobie: „Ach, upokorzę ją, powalę na kolana”.

Lecz Jeanne, jak ją nazywam, odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. To był okrutny śmiech. „Zażartowałam sobie z ciebie, mój mały Pierre — powiedziała. — Spójrz na ten bogaty strój, na te pierścienie i bransolety. Przyszłam ci się pokazać. Pomyślałam, że sprawię, iż weźmiesz mnie w ramiona, a wtedy — właśnie wtedy splunę ci w twarz i powiem, jak bardzo cię nienawidzę.”

Po tych słowach wyszła ze sklepu. Czy uwierzycie, państwo, że kobieta może być aż tak zła? Że wróciła tylko po to, by mnie torturować?

— Nie — powiedziała hrabina. — Ja w to nie uwierzę, i nie uwierzy w to żaden mężczyzna, który nie jest głupcem. Tylko że oni wszyscy są głupcami.

Pierre Vaucher nie zwrócił na nią uwagi. Opowiadał dalej.

— I tak młody człowiek, o którym wam opowiadam, upadał coraz niżej. Pił więcej absyntu. Sklepek zlicytowano. Znalazł się w rynsztoku. Potem wybuchła wojna. To była dobra rzecz. Wydostała go z rynsztoka i dzięki niej przestał być zwierzęciem. Poddał się dyscyplinie, otrzeźwiał. Znosił chłody, ból i strach przed śmiercią. Nie zginął, i kiedy wojna się skończyła, znów był człowiekiem.

Wówczas wyjechał na Południe. Płuca miał zniszczone gazem, powiedziano mu, że musi znaleźć pracę właśnie na Południu. Nie będę nudził was opisem zajęć, których się podejmował. Wystarczy rzec, że skończył jako krupier i tam... pewnego wieczoru w kasynie znów ją zobaczył — kobietę, która zrujnowała mu życie. Nie rozpoznała go, lecz on ją — tak. Wyglądała na bogatą kobietę, której nie brak niczego — a jednak, krupier ma bystry wzrok. Nadszedł wieczór, kiedy postawiła wszystko, co miała. Nie pytajcie, skąd wiem. Po prostu wiem, to się czuje. Inni by w to nie uwierzyli. Nadal miała strojne suknie. Można by zapytać, czemu ich nie zastawiła. Lecz jeśli się to zrobi, z miejsca traci się zaufanie.

A jej klejnoty? Och nie! Czyż nie byłem kiedyś jubilerem? Prawdziwe klejnoty przypadły dawno temu. Perły króla sprzedała jedną po drugiej i zastąpiła fałszywymi. A przecież trzeba coś jeść i opłacać rachunek w hotelu. No a bogaci mężczyźni? Cóż, widzieli ją już od tylu lat. Mówią, że przekroczyła pięćdziesiątkę. Ba! Oni wolą wydawać swoje pieniądze na młodsze.

Długie, drżące westchnienie dobiegło spod okna, gdzie siedziała hrabina.

— Tak, to była wielka chwila. Obserwowałem ją od dwóch nocy. Bez przerwy przegrywała. Wreszcie nadszedł koniec. Postawiła wszystko na jedną cyfrę. Obok niej angielski dżentelmen

obstawił następną cyfrę. Kula toczy się... stało się: przegrała.

Jej oczy napotkały moje. I co zrobiłem? Zaryzykowałem swoją posadę w kasynie. Okradłem angielskiego dżentelmena. „A madame” — powiedziałem i wypłaciłem jej pieniądze.

Brzęk pękającego szkła. To hrabina poderwała się z krzesła i przechyliła się nad stołem, strącając na ziemię kieliszek.

— Dlaczego? — zawołała. — To jedno chcę wiedzieć: dlaczego to zrobiłeś?

Długo trwała cisza, cisza, która wydawała się nie mieć końca, a ci dwoje wciąż mierzyli się wzrokiem... To wyglądało jak pojedynek.

Na twarzy Pierre'a Vouchera pojawił się złośliwy uśmiezek. Uniósł rękę.

— Madame — powiedział — istnieje coś takiego jak litość...

— Ach!

Opadła na krzesło.

— Rozumiem.

Znów była spokojna, uśmiechnięta — znów była sobą.

— Ciekawa opowieść, panie Voucher, prawda? Pozwoli pan, że zapalę panu papierosa.

Zręcznie zwinęła skrawek papieru, zapaliła od płomienia świecy i podsunęła w jego stronę. Pochylił się i zaczekał, aż płomień obejmie koniuszek papierosa, którego trzymał w ręku.

Wtedy hrabina podniosła się niespodziewanie.

— Teraz muszę państwa opuścić. Proszę mnie nie odprowadzać.

Zanim mogli coś powiedzieć, zniknęła. Pan Satterthwaite chciał za nią pobiec, lecz powstrzymał go okrzyk zaskoczenia, jaki wyrwał się Francuzowi.

— Do stu piorunów!

Wpatrywał się w na wpół spalony zwitek papieru, który hrabina rzuciła na stół. Rozwinął go.

— Mon Dieu! — mruknął. — To banknot. Pięćdziesiąt tysięcy franków. Rozumiecie? Jej dzisiejsza wygrana. To wszystko, co miała. I zapaliła nim mojego papierosa! Gdyż była zbyt dumna, by przyjąć... litość. Och, zawsze była dumna jak sam szatan. Jest wyjątkowa. Wspaniała.

Poderwał się z krzesła i wybiegł na zewnątrz. Pan Satterthwaite i pan Quin wstali również. Kelner podszedł do Franklina Rudge'a.

— La note, monsieur — rzucił obojętnie.

Pan Quin szybko mu go odebrał.

— Czuję się trochę samotny, Elizabeth — powiedział Franklin. — Ci cudzoziemcy są bandą dziwaków! Nie rozumiem ich. Co to wszystko miało znaczyć?

Spojrzał na nią.

— Rany, jak dobrze widzieć kogoś tak w stu procentach amerykańskiego jak ty — jego głos przybrał dziecinny, żaloszny ton. — Ci cudzoziemcy są tacy dziwacznici.

Podziękowali panu Quinowi i razem wyszli w mrok nocy. Pan Quin odebrał resztę i uśmiechnął się do pana Satterthwaite'a, który puszył się jak bardzo zadowolony z siebie paw.

— Cóż — powiedział. — Wszystko potoczyło się doskonale. Teraz nasza para zakochanych ptaszków będzie miała się dobrze.

— Która para? — zapytał pan Quin.

— Och! — pan Satterthwaite był zaskoczony. — O tak. Cóż, zapewne ma pan rację, biorąc pod uwagę katolicki punkt widzenia...

Wydawał się zmieszany.

Pan Quin uśmiechnął się, a światło padające przez witraż za jego plecami sprawiło, że przez chwilę jego garnitur rozblęsnął tęczą błazeńskich kolorów.

Rozdział szósty

Człowiek z morza

Pan Satterthwaite czuł się staro. Nie powinno to właściwie dziwić, skoro w ocenie wielu osób rzeczywiście był stary. Beztroska młodzież mówiła swoim rodzicom: „Stary Satterthwaite? Och, pewnie ma ze sto lat, a przynajmniej osiemdziesiąt”. Nawet najmilsze dziewczęta mawiały pobłaźliwie: „Och, Satterthwaite. Tak, jest już stary. Musi mieć z sześćdziesiąt lat”. Co było jeszcze gorsze, gdyż miał sześćdziesiąt dziewięć.

Jednakże sam pan Satterthwaite nie uważał się za starego.

Sześćdziesiąt dziewięć lat to był interesujący wiek — wiek nieskończonych możliwości, wiek, w którym doświadczenie całego życia wreszcie przynosiło korzyści. Lecz czuć się staro to coś zupełnie innego — kiedy znużony, zniechęcony umysł zaczyna podsuwać przygnębiające pytania. W końcu kim

był? Małym, zasuszonym starszym panem, bez dzieci, bez rodziny, jedynie z cenną kolekcją sztuki, która w tej chwili wydawała się, o dziwo, zupełnie niesatysfakcjonująca. Nikt nie przejmował się, czy żyje, czy umarł...

Doszedłszy do tego wniosku pan Satterthwaite szybko przywołał się do porządku. To, o czym myślał, było ponure i do niczego nie prowadziło. Wiedział — ktoś mógłby wiedzieć to lepiej od niego — że istniały spore szanse, iż żona nienawidziłaby go lub odwrotnie, on by jej nienawidził, że dzieci stanowiłyby nieustanne źródło kłopotów i niepokoju, że irytowałyby go, gdyby kto stale żądał jego uwagi i uczucia.

— Żyć bezpiecznie i wygodnie — powiedział sobie zdecydowanie — o to chodzi.

Ostatnia myśl przypomniawszy mu o liście, który otrzymał tego ranka. Wyciągnął go z kieszeni i powtórnie przeczytał, smakując z zadowoleniem jego treść, I pierwsze list był od księżnej, a pan Satterthwaite lubił otrzymywać korespondencję od utytułowanych dam. prawda, że list zaczynał się od żądania sporej donacji na cele charytatywne i gdyby nie to, zapewne nigdy : zostałyby napisany, jednak prośbę wyłożono w sposób tak uprzejmy, że pan Satterthwaite skłonny był upiększyć fakty.

„Więc porzucił pan Riwierę — pisała księżna. — Ja jest ta pańska wyspa? Tania? Cannotti nieprzyzwyczajenie podniósł ceny w tym roku i nie wyjadę już na Riwierę. Może spróbuję pojechać na pańską wyspę w przyszłym roku, jeśli opisze mi ją pan korzystnie choć cierpnię na myśl o pięciu dniach na statku. Jednak wszystko, co pan poleca, musi być wygodne, a nawet więcej. Należy pan do ludzi, którzy nie robią poza dogadzaniem sobie i myśleniem o własnym komforcie. Tylko jedno może pana uratować, panie Satterthwaite: pańskie niezaspokojone zainteresowanie sprawami innych ludzi...”

Kiedy pan Satterthwaite składał list, przed oczami stanęła mu żywo księżna. Jej skąpstwo. Nieoczekiwana, wzbudzająca obawy życzliwość, uszczypliwy język, nieugięty duch.

Duch! Każdemu był potrzebny. Pan Satterthwaite wyjął drugi list z niemieckim znaczkiem na kopercie. Napisała go młoda śpiewaczka, którą się zainteresował. Był to miły list pełen wyrazów wdzięczności.

„Jak mam panu dziękować, drogi panie Satterthwaite? Kiedy pomyślę, że za kilka dni zaśpiewam rolę Izoldy, to wydaje mi się to aż zbyt wspaniałe...”

Szkoda, że zadebiutuje właśnie jako Izolda. Czarujące, pracowite dziecko z tej Olgi, o pięknym głosie, lecz bez temperamentu. Zanucił cicho: „Nie rozkazuj mi! Błagam, spróbuj zrozumieć. To ja tak rozkazuję. Ja, Izolda”. Nie, to dziecko nie miało w sobie ducha, nieugiętej woli, która zawierała się w końcowym „Ich Isolde”.

Cóż, przynajmniej przysłużył się komuś. Ta wyspa przygnębiała go. Dlaczego, ach dlaczego wyjechał z Riwiery, którą tak dobrze znał i gdzie był tak dobrze znany? Tutaj nikt się nim nie interesował. Nikt najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że był słynnym panem Satterthwaite'em — przyjacielem księżnych, hrabin, pieśniarek i pisarzy. Nikt na wyspie nie znaczył nic towarzysko — ani artystycznie. Większość turystów przyjechała tu po raz siódmy, czternasty czy dwudziesty pierwszy z rzędu —

według tego oceniali siebie i sami byli oceniani.

Westchnąwszy głęboko, pan Satterthwaite poszedł drogą od hotelu do małej zatoczki rozciągającej się poniżej. Minął aleję wysadzaną bugenwillami. Żywa masa przepysznego szkarłatu sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej wiekowy i pozbawiony znaczenia.

— Starzeję się — mruknął. — Robię się coraz starszy i coraz bardziej zmęczony.

Odczuł zadowolenie, kiedy zostawił za sobą bugenwille i zaczął schodzić białą drogą, na końcu której widać było błękitne morze. Na środku ulicy stał jakiś wynędzniały kundel, ziewając i przeciągając się w słońcu. Wyciągnąwszy tułów niemal do granic ekstazy, usiadł i zaczął się dokładnie drapać. Potem wstał, otrząsnął się i rozejrzał wokół, szukając kolejnych atrakcji, jakie mogło zaoferować mu życie.

Na poboczu drogi usypano stos śmieci i tam właśnie pobiegł, wysuwając pysk w oczekiwaniu przyjemności. Rzeczywiście, nos go nie zawiodł. Zapach tak wspaniałego rozkładu przeszedł jego najśmielsze marzenia! Węszył z rosnącym uznaniem, a potem raptownie zapomniał o rozsądku, wywrócił się na grzbiet i wytarzał ochoczo we wspaniałym śmietniku. Tego ranka świat zamienił się w psi raj.

Wreszcie, zmęczony, wstał i znów wyszedł na środek ulicy. Bez najmniejszego ostrzeżenia zza zakrętu wyjechał z pędem rozklekotany samochód, uderzył prosto w psa i pojechał dalej, nawet nie zwalniając.

Kundel podniósł się na nogi, stał przez chwilę, patrząc na pana Satterthwaite'a z niemym wyrzutem w oczach, a potem przewrócił się. Pan Satterthwaite podszedł bliżej i pochylił się nad nim. Zwierzę było martwe. Pan Satterthwaite ruszył swoją drogą, zastanawiając się nad okrucieństwem życia. Jakże dziwny był ten niemy wyrzut w psich oczach. „Och, ten świat — zdawały się mówić. — Cudowny świat, któremu zaufałem. Dlaczego mi to zrobił?”

Pan Satterthwaite minął palmy, rozrzucone wzdłuż drogi białe domy, plażę pokrytą czarną lawą, o którą z hukiem uderzały fale i skąd niegdyś pewien angielski pływak wyruszył w morze i utonął. Przechodził obok skalnych jezior, w których taplały się dzieci i starsze panie, nazywając to kąpielą. Stromą, wijącą się ścieżką wszedł na szczyt urwiska. Na jego skraju stał dom, nazwany nader właściwie La Paz. Biały dom ze szczelnie zamkniętymi, wyblakłymi zielonymi okiennicami, dziczałym, pięknym ogrodem i dróżką między cyprysami biegnącą na płaskowyż nad przepaścią, skąd patrzyło się w dół, na ciemnobłękitne morze.

Ku temu miejscu zmierzał pan Satterthwaite. Oczarował go ogród La Paz. Nigdy nie wszedł do willi. Wyglądała na niezamieszkaną. Manuel, hiszpański ogrodnik, w kwiecistym stylu życzył odwiedzającym dobrego dnia i z galanterią wręczał damom bukiety kwiatów, a panom pojedynczy kwiatek do butonierki. Jego śniada twarz marszczyła się cała w uśmiechu.

Czasem pan Satterthwaite wymyślał na swój własny użytek historyjki o właścicielach domu. Najbardziej lubił wersję z hiszpańską tancerką, niegdyś słynną w świecie z urody, która ukryła się tu, by nikt nie dowiedział się, że nie jest już piękna.

Wyobrażał sobie, jak wychodzi z domu o zmierzchu i spaceruje po ogrodzie. Czasem kusiło go, by zapytać Manuela, do kogo naprawdę należała willa, lecz zawsze opierał się pokusie. Wolał fantazjować.

Zamieniwszy parę słów z ogrodnikiem i z wdzięcznością przyjąwszy pomarańczowy pączek róży, pan Satterthwaite zszedł ścieżką wśród cyprysów w stronę morza. Wspaniale było tu usiąść, na skraju nicości, z przepaścią pod stopami. To przywiodło mu na myśl Tristana i Izoldę, początek trzeciego aktu z Tristanem i Gorwenalem — samotność, oczekiwanie, Izolda biegnąca od strony morza i Tristan umierający w jej ramionach. (Nie, mała Olga nigdy nie poradzi sobie z tą rolą. Izolda z Kornwalii, królowa nienawiści i miłości...) Wzdrygnął się. Poczul się stary, zziębnięty, opuszczony... Co miał z życia? Nic. Absolutnie nic. Mniej niż ten pies na ulicy...

Z zadumy wyrwał go nieoczekiwany hałas. Nie usłyszał kroków kogoś idącego po ścieżce wśród cyprysów, obecność przybysza uświadomiło mu dopiero rzucone po angielsku przekleństwo.

— Cholera!

Obejrzał się i zobaczył młodego człowieka, który wpatrywał się w niego z wyraźnym zaskoczeniem i rozczarowaniem. Pan Satterthwaite z miejsca rozpoznał w nim mężczyznę, który przyjechał poprzedniego dnia i nawet go zaciekawiał. Nazywał go młodzieńcem, ponieważ w porównaniu ze starszkami w hotelu był młody, ale z pewnością przekroczył już czterdziestkę i prawdopodobnie szybko zbliżał się do półwiecza. A jednak określenie „młody” pasowało do niego. Pan Satterthwaite zwykle nie mylił się w takich sprawach. Obcy wywierał wrażenie człowieka niedojrzałego. Podobnie wiele dorosłych psów zachowuje w sobie coś ze szczeniaka.

Pan Satterthwaite pomyślał: Ten osobnik nigdy nie dorósł — to znaczy nie dorósł naprawdę.

Lecz nie było w nim nic z Piotrusia Pana. Gładki, niemal pulchny, sprawiał wrażenie kogoś, komu zawsze powodziło się pod względem materialnym, i kto nigdy nie odmawiał sobie żadnej przyjemności. Miał okrągłe brązowe oczy, jasne, siwiejące włosy, mały wąsik i rumianą twarz.

Pan Satterthwaite zastanawiał się, co sprowadziło takiego człowieka na tę wyspę. Mógł wyobrazić go sobie na polowaniu, grającego w polo, golfa czy tenisa, uwodzącego piękne kobiety. Lecz na wyspie nie było na co polować, nie było rozrywek poza polem do krykieta, a do pojęcia „pięknej kobiety” najbardziej zbliżyła się starsza już panna Baba Kindersley. Przyjeżdżali tu też, oczywiście, artyści, których urzekała uroda krajobrazu, lecz pan Satterthwaite był przekonany, że młody człowiek nie zajmował się sztuką. Z całą pewnością zaliczał się do plemienia filistrów.

Kiedy rozważał to w myślach, przybysz przemówił, trochę za późno uświadamiając sobie, że jego okrzyk zasługiwał na naganę.

— Przepraszam pana — powiedział trochę zmieszany.

— Szczerze mówiąc, zaskoczył mnie pan. Nie spodziewałem się, że kogoś tu zastanę.

Uśmiechnął się rozbijająco. Miał czarujący uśmiech — przyjacielski, wzruszający.

— To raczej odludne miejsce — przyznał pan Satterthwaite, uprzejmie przesuając się trochę, by zrobić miejsce na ławce. Obcy przyjął nieme zaproszenie i usiadł.

— Nie wiem, czy odludne — zauważył. — Najwyraźniej zawsze ktoś tu jest.

W jego głosie zabrzmiała ukryta uraza. Pan Satterthwaite zastanawiał się, dlaczego. Odebrał go raczej jako towarzyskiego człowieka. Dlaczego tak zależało mu na samotności? Może chodziło o spotkanie? Nie, nie o to. Ponownie rzucił ukradkowe, badawcze spojrzenie na swojego towarzysza. Gdzie ostatnio widział ten sam szczególny wyraz twarzy? Ten niemy wyrzut i oszołomienie?

— Więc był już pan tu wcześniej? — zapytał, bardziej dla podtrzymania konwersacji niż z ciekawości.

— Przyszedłem tu wczoraj wieczorem, po kolacji.

— Naprawdę? Myślałem, że o tej porze brama jest zamknięta.

Młody człowiek milczał przez chwilę, a potem wyznał ponuro:

— Przeszedłem przez mur.

Pan Satterthwaite po raz pierwszy spojrzał na niego z prawdziwym zainteresowaniem. Lubił zabawiać się w detektywa i wiedział, że jego towarzysz przyjechał zaledwie wczoraj po południu. Miał niewiele czasu, by na własną rękę odkryć piękno willi w dziennym świetle, a nie zamienił z nikim ani słowa. A jednak wyruszył po ciemku prosto do La Paz. Dlaczego? Niemal wbrew sobie pan Satterthwaite odwrócił głowę i spojrzał na zielone okiennice budynku, lecz ten jak zawsze pozbawiony był życia, zamknięty na głucho. Nie, nie tu leżało rozwiązanie zagadki.

— I naprawdę kogoś pan tu spotkał? Młody człowiek przytaknął.

— Tak. Pewnie mieszka w drugim hotelu. Był przebrany.

— Przebrany?

— Tak. W strój arlekina.

— Co?

Zabrzmiało to tak gwałtownie, że rozmówca przyjrzał się panu Satterthwaite'owi ze zdumieniem.

— Pewnie często urządzą tu bale przebierańców?

— O tak — odparł pan Satterthwaite. — Całkiem często. Umilkł bez tchu, a potem dodał: — Musi mi pan wybaczyć podniecenie. Wie pan może coś o katalizie?

Młody człowiek spojrzał na niego zdziwiony.

— Nigdy o niej nie słyszałem. Co to takiego? Pan Satterthwaite odparł z powagą:

— Reakcja chemiczna. Jej wynik zależy od obecności pewnej substancji, która sama pozostaje nie zmieniona.

— Och — rzucił niepewnie młody człowiek.

— Mam przyjaciela, nazywa się Quin. Najlepiej opisuje go słowo „katalizator”. Jego obecność oznacza, że zaraz coś się wydarzy, na jaw wyjdą dziwne sprawy, zagadki zostaną rozwiązane. A jednak on sam nie bierze w tym udziału. Mam wrażenie, że wczoraj natknął się pan właśnie na niego.

— Bardzo gwałtowny facet. Wystraszył mnie. W jednej chwili nie było nikogo, a potem raptem się pojawił! Jakby wyszedł prosto z morza.

Pan Satterthwaite spojrział na niewielki płaskowyż i otwierającą się niżej przepaść.

— To oczywiście bzdura — ciągnął młody człowiek — ale takie odniosłem wrażenie. Choć po skarpie nie wspięłaby się nawet mucha. — Spojrział ponad krawędzią uskoku. — Właściwie jest niemal prostopadła. Gdyby stąd spaść — cóż, to byłby koniec.

— Idealne miejsce na zbrodnię — zauważył uprzejmie pan Satterthwaite.

Rozmówca spojrział na niego, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiał. Potem rzucił niepewnie:

— Och, tak... oczywiście...

Siedział ze zmarszczonym czołem, dziobiąc w piasku końcem laski. Nagle pan Satterthwaite uświadomił sobie, kogo mu przypominał. To pełne oszołomienia spojrzenie. Tak wyglądał przejechany pies. Jego oczy i oczy tego człowieka zadawały to samo patetyczne pytanie, z takim samym wyrzutem: „Och, ten świat, któremu zaufałem. Dlaczego mi to zrobił?”

Dostrzegł kolejne podobieństwa: ta sama kochająca przyjemności, niefrasobliwa natura, radosne oddanie się urokowi życia, żadnych intelektualnych pytań. Obu zadowalało życie chwilą obecną. Świat był dobrym miejscem, miejscem zmysłowych uciech — słońce, morze, niebo, śmietnisko na poboczu. A potem — co? Psa uderzył samochód. Co zraniło tego mężczyznę?

W tym momencie obiekt tych rozmyślań przemówił, kierując słowa raczej do siebie, a nie do pana Satterthwaite.

— Człowiek zastanawia się, po co to wszystko?

Znajome pytanie. Zwykle wywoływało uśmiech na twarzy pana Satterthwaite’a. Nieświadomie zdradzało właściwy ludzkiej naturze egoizm: upieramy się, by wszystko, co się nam przydarza, zaplanowane było wyłącznie albo dla naszej przyjemności, albo tortury. Nie odrzekł nic i obcy odezwał się z lekkim, przeproszającym śmiechem:

— Słyszałem, że każdy mężczyzna powinien wybudować dom, zasadzić drzewo i spłodzić syna. —

Umilkł, a po chwili dodał: — Kiedyś zasadziłem dąb...

Pan Satterthwaite poruszył się. Obudziła się jego ciekawość — to stałe zainteresowanie sprawami innych ludzi, które zarzucała mu księżna. Nie było to trudne. Pan Satterthwaite miał w sobie pewną kobiecą cechę — był dobrym słuchaczem, jak każda kobieta, i wiedział, kiedy należy wtrącić słowo zachęty. Teraz usłyszał całą historię.

Anthony Cosden, jak nazywał się obcy, i jego życie wyglądało tak, jak pan Satterthwaite sobie wyobrażał. Cosden nie był dobrym mówcą, lecz jego słuchacz łatwo uzupełniał sobie luki. Wiódł zwyczajne życie: przeciętne dochody, pobyt w wojsku, sporo rozrywek, jeśli tylko były możliwe, mnóstwo przyjaciół, mnóstwo miłych rzeczy do zrobienia, wystarczająca liczba kobiet. Takie życie właściwie oducza refleksji, w zamian oferując doznania. Mówiąc otwarcie, jest to życie na poziomie zwierzęcia. Lecz są gorsze rzeczy — pomyślał pan Satterthwaite, wspominając własne doświadczenia. — O wiele gorsze...

— Wydawało się, że świat darzy Anthony'ego Cosdena życzliwością. Narzekał, bo wszyscy narzekali, ale nie brał tego poważnie. A potem stało się to.

Wreszcie doszedł do sedna — niejasno, niespójnie. Poczuł się niedobrze — nic poważnego. Poszedł do swojego lekarza, a ten skierował go do specjalisty z Harley Street. I wtedy poznał werdykt, w który trudno uwierzyć. Próbowali przekazać mu to oględnie: musi troszczyć się o siebie, wieść spokojne życie. Ale nie byli w stanie ukryć, że to tylko mydlenie oczu. Rzecz sprowadzała się do jednego: sześć miesięcy. Tyle mu dali. Sześć miesięcy.

Zwrócił oszołomione, brązowe oczy na pana Satterthwaite'a. To był ogromny szok. Człowiek nie wiedział... nie wiedział, co robić.

Pan Satterthwaite poważnie, ze zrozumieniem skinął głową.

Trochę trudno było tak od razu się przestawić, ciągnął Anthony Cosden. Zapełnić sobie czymś czas. Parszywa sprawa: czekać na własną śmierć. Nie czuł się naprawdę chory — jeszcze nie. Choć to mogło nadejść później, tak powiedział specjalista. W rzeczywistości musiało nadejść. Wydawało się to takim nonsensem: umierać, kiedy wcale się tego nie chce. Uznał, że najlepiej będzie żyć jak poprzednio. Ale to mu nie wyszło.

Tu pan Satterthwaite mu przerwał. Czy nie miał żadnej kobiety? — podsunął delikatnie.

Najwyraźniej nie. Oczywiście były kobiety, lecz nie tego rodzaju. Otaczający go tłumek był wesoły. Nie lubił — jak to określił — trupów. Nie chciał robić z siebie chodzącego nieboszczyka. Byłoby to kłopotliwe dla wszystkich. Wyjechał więc za granicę.

— Chciał pan zobaczyć te wyspy? Lecz dlaczego?

— Pan Satterthwaite próbował doszukać się czegoś nieuchwytnego, delikatnego, co umknęło mu wcześniej, a co przecież musiało istnieć. — Może był pan tu wcześniej?

— Tak — Cosden przyznał to z odrobiną niechęci.

— Lata temu, kiedy byłem młodzieniaszkiem.

I nagle, wydawało się, że niemal nieświadomie, rzucił znad ramienia pośpieszne spojrzenie w stronę Willi.

— Pamiętam to miejsce — powiedział, kiwając głową w kierunku morza. — Jeden krok do wieczności.

— I dlatego przyszedł pan tutaj zeszłej nocy — dokończył spokojnie pan Satterthwaite.

Anthony Cosden rzucił mu przerażone spojrzenie.

— Och! Doprawdy... — zaprotestował.

— Zeszłej nocy spotkał pan tu kogoś. A dzisiejszego popołudnia” spotkał pan mnie. Pańskie życie zostało uratowane, i to dwukrotnie.

— Może pan tak to nazwać, jeśli pan chce, lecz do diabła, przecież to moje życie! Mam prawo zrobić z nim, co zechcę.

— To banał — stwierdził ze znużeniem pan Satterthwaite.

— Rozumiem, oczywiście, pański punkt widzenia — powiedział łaskawie Anthony Cosden. — To naturalne, musi mnie pan przekonywać. Sam próbowałbym odwieść od tego każdego, nawet gdybym w głębi serca przyznawał mu rację. A pan wie, że ja mam rację. Szybki koniec jest lepszy niż powolne konanie — kłopotliwe i kosztowne, męczące dla wszystkich. Zresztą ja nie mam nikogo...

— A gdyby pan miał? — zapytał ostro pan Satterthwaite.

Cosden odetchnął głęboko.

— Nie wiem. Ale chyba nawet wtedy byłoby to najlepsze wyjście. Tak czy inaczej — nie mam...

Urwał raptownie— Pan Satterthwaite przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Jako nieuleczalny romantyk ponownie zasugerował, że gdzieś kryje się kobieta, lecz Cosden zaprzeczył. Nie powinien narzekać — powiedział. W sumie miał bardzo dobre życie. Szkoda, że tak szybko musiało się skończyć, i to wszystko. W każdym razie miał wszystko, co było coś warte. Oprócz syna. Chciałby mieć syna. Teraz chciałby wiedzieć, że pozostawi po sobie syna. A jednak — powtórzył — miał bardzo dobre życie...

Tu pan Satterthwaite stracił cierpliwość. Nikt — mówił — kto znajdował się jeszcze w stadium poczwarki — nie może twierdzić, że zna życie. Ponieważ określenie „stadium poczwarki” najwyraźniej nic Cosdenowi nie mówiło, wyłożył to jaśniej.

— Jeszcze nawet nie zaczął pan żyć. Wciąż jest pan na samym początku.

Cosden roześmiał się.

— Przecież mam siwe włosy! I czterdzieści lat... Pan Satterthwaite przerwał mu.

— To nie ma nic do rzeczy. Życie to połączenie doświadczeń fizycznych i umysłowych. Ja na przykład przeżyłem sześćdziesiąt dziewięć lat, i rzeczywiście tyle mam. Poznałem — z pierwszej albo z drugiej ręki — niemal wszystkie życiowe doświadczenia. A pan jest jak człowiek, który opowiada o wszystkich porach roku, a nie widział nic prócz śniegu i lodu! Wiosenne kwiaty, leniwe dni lata, liście opadające jesienią — o tym wszystkim nic nie wie, nie wie pan nawet, że takie rzeczy istnieją. Pan zamierza nawet odwrócić się plecami do szansy, by je poznać.

— Chyba zapomina pan — rzucił Anthony sucho — że zostało mi zaledwie sześć miesięcy.

— Czas, jak wszystko inne, jest wartością względną — stwierdził pan Satterthwaite. — Te sześć miesięcy mogą być najdłuższym i najbogatszym doświadczeniem w pana życiu.

Cosden nie wyglądał na przekonanego.

— Na moim miejscu zrobiłby pan to samo — powiedział. Pan Satterthwaite potrząsnął głową.

— Nie — rzekł po prostu. — Po pierwsze wątpię, żebym miał dość odwagi. To wymaga odwagi, a ja nie jestem męznym człowiekiem. A po drugie...

— Tak?

— Zawsze chcę wiedzieć, co wydarzy się następnego dnia.

Cosden podniósł się raptownie, śmiejąc się.

— Cóż, dobrze, że pozwolił mi się pan wygadać. Sam nie wiem, dlaczego. Powiedziałem za dużo. Niech pan o tym zapomni.

— A jutro, kiedy dowiem się o wypadku, mam to tak zostawić? Nie mówić nikomu, że to było samobójstwo?

— Jak pan chce. Cieszy mnie, że jedno pan sobie uświadomił: że nie może mnie pan powstrzymać.

— Mój drogi młodzieńcze — powiedział spokojnie pan Satterthwaite. — Nie mogę ucześcić się pana jak przysłowiowy rzep. Wcześniej czy później mi się pan wymknie i zrealizuje swój zamiar. Lecz na dzisiejszy wieczór pokrzyżowałem już pańskie plany. Chyba nie chce pan iść na spotkanie śmierci narażając mnie na posądzenie, że to ja pana popchnąłem?

— To prawda — przyznał Cosden. — Jeśli upiera się pan przy tym, by tu pozostać...

— Tak jest — powiedział zdecydowanie pan Satterthwaite.

Cosden roześmiał się pogodnie.

— W takim razie muszę przesunąć mój plan na później. Wracam do hotelu. Może zobaczymy się

jeszcze.

Pan Satterthwaite pozostał sam, zapatrzony w morze.

— Co zdarzy się teraz? — szepnął cicho. — Coś musi się zdarzyć. Ciekawe...

Wstał. Jakiś czas stał na skraju płaskowyżu, spoglądając w dół na kłębiące się fale. Jednak nie znalazł w nich żadnej inspiracji. Odwrócił się powoli i poszedł ścieżką wśród cyprysów do pogrążonego w ciszy ogrodu. Rzucił okiem na zamknięty, spokojny dom i ponownie zastanowił się, kto w nim mieszka i co dzieje się wewnątrz uszpionych ścian. Pod wpływem nagłego impulsu wspiał się po rozsypujących się kamiennych schodkach i położył dłoń na wyblakłej zielonej okiennicy.

Ku jego zdumieniu uchyliła się. Zawahał się chwilę, a potem pchnął ją śmiało. W następnym momencie cofnął się z okrzykiem przerażenia. Za oknem stała, patrząc na niego, jakaś kobieta. Miała na sobie czarną suknię i czarną koronkową mantylkę udrapowaną na głowie.

Pan Satterthwaite zaczął beładnie wyrzucać z siebie zdania po włosku i niemiecku — w pośpiechu nie mógł przypomnieć sobie nic bardziej zbliżonego do hiszpańskiego. Jest mu ogromnie wstyd, tłumaczył, jękając się. Signora musi mu wybaczyć. Potem wycofał się pośpiesznie. Kobieta nie odezwała się słowem.

Znajdował się na środku podwórza, kiedy przemówiła: ostre słowa zabrzmiały jak wystrzał z pistoletu.

— Niech pan wraca!

Takim tonem rzuca się rozkaz psu, jednak powiedziała to tak władczo, że pan Satterthwaite zawrócił pośpiesznie i niemal automatycznie podreptał do okna, zanim przyszło mu do głowy, że powinien się obrazić. Posłuchał jak pies. Kobieta wciąż stała bez ruchu w oknie. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, oceniając spokojnie.

— Jest pan Anglikiem — stwierdziła. — Tak myślałam. Pan Satterthwaite znów zaczął przeproszać.

— Gdybym wiedział, że pani jest Angielką — mówił — mógłbym lepiej wyrazić, jak mi przykro. Chciałbym najszczerzej przeprosić za to, iż otworzyłem okiennicę. Obawiam się, że nie usprawiedliwia mnie nic prócz ciekawości. Pragnąłem zobaczyć, jak wygląda wnętrze domu.

Roześmiała się raptownie, głębokim, soczystym śmiechem.

— Jeśli naprawdę chce pan obejrzeć dom — powiedziała — lepiej niech pan wejdzie.

Odsunęła się, a pan Satterthwaite, przyjemnie podniecony, wszedł do pokoju. Był ciemny, gdyż okiennice zasłaniały wszystkie okna, lecz dostrzegł, że mebli jest niewiele i że są zniszczone, a kurz leży wszędzie grubą warstwą.

— Nie tutaj — powiedziała kobieta. — Nie korzystam z tego pokoju.

Poprowadziła go przez korytarz do pokoju po drugiej stronie. Jego okna wychodziły na morze, a do środka wpadał strumień słońca. Meble, jak w pierwszym pomieszczeniu, były kiepskiej jakości, lecz na podłodze leżały dywany, które w swoim czasie musiały być piękne, stał też olbrzymi parawan z hiszpańskiej skóry i wazon ze świeżymi kwiatami.

— Wypije pan ze mną herbatę — zdecydowała gospodyni. Dodała uspokajająco: — To zupełnie dobra herbata, zaparzona wrzątkiem.

Wyszła przed drzwi i zawołała coś po hiszpańsku. Wróciła i usiadła na sofie naprzeciw gościa. Pan Satterthwaite miał po raz pierwszy okazję, by się jej przyjrzeć.

Pierwsze wrażenie dało ten efekt, że poczuł się jeszcze bardziej siwy, pomarszczony i stary. Była wysoka, mocno opalona, ciemnowłosa i piękna, choć już nie młoda. W jej obecności promienie słońca wpadające do pokoju zdawały się świecić dwukrotnie jaśniej; pana Satterthwaite'a zaczynało ogarniać dziwne ciepło i ożywienie. Zupełnie jakby wyciągnął wychudłe, pomarszczone dłonie nad uspokajającym płomieniem. Ma w sobie tyle witalności — pomyślał — że zostaje jeszcze sporo dla innych.

Przypomniał sobie rozkazujący ton jej głosu, kiedy kazała mu się zatrzymać i pożałował, że jego protegowana, Olga, nie została obdarzona choć odrobiną tej siły. Ależ byłaby z niej Izolda — pomyślał. — Jednak prawdopodobnie nie ma wyćwiczonego głosu. Życie źle to zaplanowało. Trochę się jej bał. Nie lubił dominujących kobiet.

Siedziała z podbródkiem opartym na dłoni i badała go wzrokiem, nawet się z tym nie kryjąc. Wreszcie skinęła głową, jakby podjęła decyzję.

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedziała. — Dzisiejszego popołudnia bardzo chciałam z kimś porozmawiać. A pan przywykł do tego, prawda?

— Nie bardzo rozumiem.

— Ludzie zwierzają się panu. Wiedział pan przecież, o czym mówię! Po co udawać?

— No cóż... może...

Machnęła ręką, nie zważając na to, co chciał powiedzieć.

— Panu można powierzyć wszystko. To dlatego, że w połowie jest pan kobietą. Wie pan, co czujemy... co myślimy... i jakie dziwaczne rzeczy robimy.

Jej głos ucichł. Tęga, uśmiechnięta hiszpańska dziewczyna wniosła herbatę. To była dobra herbata, chińska, i pan Satterthwaite popijał ją z uznaniem.

— Mieszka pani tutaj? — zapytał lekko.

— Tak.

— Ale nie na stałe. Dom jest zwykle zamknięty, prawda? Tak mi przynajmniej powiedziano.

— Jestem tu częściej, niż ktokolwiek przypuszcza. Korzystam tylko z pokoi po tej stronie.

— Od dawna ma pani ten dom?

— Należy do mnie od dwudziestu dwóch lat, a zamieszkałam w nim rok wcześniej.

Pan Satterthwaite rzucił raczej bezmyślnie (tak mu się przynajmniej wydało):

— To dość długo.

— Rok? Czy dwadzieścia dwa lata?

To go zaintrygowało i odparł z powagą:

— To zależy. Skinęła głową.

— Tak, to zależy. To dwa osobne okresy czasu. Nie mają ze sobą nic wspólnego. Który jest długi? Który krótki? Nawet teraz nie potrafię tego orzec.

Przez chwilę milczała, zadumana. A potem odezwała się z lekkim uśmiechem:

— Od tak dawna z nikim nie rozmawiałam! Nie przepraszam. To pan podszedł do okna. Pan chciał przez nie zajrzeć. To właśnie ciągle pan robi, prawda? Pcha pan okiennice i zagłada przez okno w ludzkie życie. Jeśli inni na to panu pozwolą. A często, nawet jeśli nie pozwalają! Trudno byłoby coś przed panem ukryć. I tak odgadłby pan prawdę.

Pan Satterthwaite poczuł nagle dziwną potrzebę szczerości.

— Mam sześćdziesiąt dziewięć lat — powiedział. — Wszystko, co wiem o życiu, znam z drugiej ręki. To bywa czasem gorzkie. A jednak dzięki temu wiem wiele.

Przytaknęła ze skupieniem.

— Rozumiem. Życie jest bardzo dziwne. Nie wyobrażam sobie, jak to jest: być obserwatorem.

W jej tonie słychać było zdziwienie. Pan Satterthwaite uśmiechnął się.

— Nie może sobie pani tego wyobrazić. Pani miejsce jest pośrodku sceny. Zawsze będzie pani primadonną.

— Dziwne rzeczy pan mówi.

— Ale mam rację. Zawsze coś działo się w pani życiu i zawsze będzie się działo. Niekiedy, jak sądzę, były to tragedie. Prawda?

Zmrużyła oczy. Spojrzała na niego.

— Jeśli pobędzie pan tu dość długo, ktoś opowie panu o angielskim pływaku, który utonął u podnóża tego urwiska. Dowie się pan, że był młody i silny, i przystojny. I że jego młoda żona stała na szczycie i patrzyła, jak tonie.

— Tak, słyszałem już tę historię.

— Ten mężczyzna był moim mężem. To był jego dom. Przywiózł mnie tu, kiedy miałam osiemnaście lat, a w rok potem zginął — rzucony przez prąd na czarne skały, poraniony, posiniaczony, okaleczony, roztrzaskany na śmierć.

Pan Satterthwaite wykrzyknął, zaszokowany. Pochyliła się, utkwivszy płonący wzrok w jego twarzy.

— Mówił pan o tragedii. Czy może pan wyobrazić sobie większą tragedię niż ta? Młoda żona, poślubiona dopiero przed rokiem, stoi bezradna, podczas gdy mężczyzna, którego kocha, walczy o życie... i traci je w tak okropny sposób.

— To straszne — powiedział pan Satterthwaite. Mówił z autentycznym poruszeniem. — Straszne. Zgadzam się z panią. Nic nie mogłoby być równie potworne.

Nagle kobieta roześmiała się. Odchyliła głowę.

— Myli się pan — powiedziała. — Jest coś gorszego. Że młoda żona stoi z nadzieją, pragnąc, by jej mąż się utopił...

— Ależ, na Boga! — zawołał pan Satterthwaite. — Chyba nie mówi pani...

— To właśnie mówię. Taka była prawda. Klęczałam tam... klęczałam na szczycie i modliłam się. Hiszpańscy służący myśleli, że modlę się, by nie zginął. Nie. Modliłam się, bym mogła prosić o ratunek dla niego. Powtarzałam w kółko jedno: „Boże, pomóż mi, bym nie życzyła mu śmierci. Boże, pomóż mi, bym nie życzyła mu śmierci.” Ale na nic się to nie przydało. Cały czas miałam nadzieję... nadzieję... i moja nadzieja się spełniła.

Przez parę chwil milczała, a potem odezwała się łagodnie, zupełnie innym tonem:

— To potworne, prawda? Czegoś takiego nie można zapomnieć. Byłam taka szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, że naprawdę nie żyje i nie może wrócić, by znów mnie torturować.

— Drogie dziecko — powiedział wstrząśnięty pan Satterthwaite.

— Wiem. Byłam za młoda na to, co się stało. To powinno było przytrafić się komuś starszemu, lepiej przygotowanemu na... bestialstwo. Widzi pan, nikt nie wiedział, jaki on był naprawdę. Kiedy go poznałam, myślałam, że jest wspaniały i byłam taka szczęśliwa i dumna, kiedy poprosił mnie o rękę. Lecz wszystko ułożyło się źle od samego początku. Złościł się na mnie. Nie potrafiłam go zadowolić, choć tak się starałam. A potem znalazł przyjemność w znęcaniu się nade mną. A przede wszystkim w straszaniu mnie. To lubił najbardziej. Wymyślał najprzeróżniejsze rzeczy... przerażające rzeczy. Nic panu nie powiem. Przypuszczam, że musiał być odrobinę szalony. Mieszkałam tu sama, całkowicie w jego władzy, i okrucieństwo stało się jego hobby. — Jej źrenice rozszerzyły się i pociemniały. —

Najgorzej było z dzieckiem. Spodziewałam się dziecka. Z powodu tego, co mi zrobił, urodziło się martwe. Moje maleństwo. Sama również omal nie umarłam. Żałuję, że tak się nie stało.

Pan Satterthwaite jęknął niezrozumiale.

— A potem zostałam uwolniona. W sposób, jaki już panu opisałam. Sprowokowały go jakieś turystki, które zatrzymały się w hotelu. Tak to się stało. Wszyscy Hiszpanie mówili mi, że to szaleństwo pływać w tym miejscu. Lecz on był bardzo próżny, chciał się popisać. Widziałam, jak tonie... i cieszyłam się. Bóg nie powinien pozwalać na takie rzeczy.

Pan Satterthwaite wyciągnął swoją małą, suchą dłoń i ujął jej rękę. Ścisnęła ją mocno, jak dziecko. Z jej twarzy zniknęła dojrzałość. Bez trudu dojrzał w niej dziewiętnastoletnią dziewczynę.

— Najpierw wydawało się to zbyt piękne, by być prawdą. Dom należał do mnie i mogłam w nim mieszkać. Nikt już nie mógł mnie skrzywdzić. Widzi pan, byłam sierotą. Nie miałam bliskich krewnych, nikogo nie obchodziło, co się ze mną dzieje. To upraszczało sprawę. Zostałam tutaj, w tej willi, i było mi jak w niebie. Tak, jak w niebie. Nigdy dotąd nie byłam równie szczęśliwa i nigdy już nie będę. Mogłam budzić się co rano wiedząc, że wszystko jest dobrze: nie ma bólu, strachu, zastanawiania się, co jeszcze mi zrobi. Tak, to było niebo.

Zamilkła na dłuższą chwilę i wreszcie odezwał się pan Satterthwaite.

— A potem?

— Ludzi chyba nic nie zadowoli. Najpierw wystarczała mi wolność. Po pewnym czasie zaczęłam czuć się... cóż, samotna, jak sędzę. Zaczęłam rozmyślać o moim zmarłym dziecku. Brakowało mi rozrywki. Okropnie potrzebowałam kogoś lub czegoś do zabawy. Brzmi to głupio i dziecinnie, ale tak było.

— Rozumiem — powiedział z powagą pan Satterthwaite.

— Trudno wytłumaczyć następne zdarzenie. Po prostu tak się stało. W hotelu zamieszkał pewien młody Anglik. Pobłądził i trafił do tego ogrodu. Miałam na sobie hiszpańską suknię i wziął mnie za miejscową dziewczynę. Pomyślałam, że zabawię się, udając Hiszpankę. Mówił kiepsko w tym języku, tylko parę słów. Powiedziałam mu, że willa należy do angielskiej damy, która akurat wyjechała. Że nauczyła mnie trochę angielskiego; łowiłam kalecząc język. To było tak zabawne... nawet teraz pamiętam, jak bardzo. Zaczął mnie kokietować. Zgodziliśmy się udawać, że willa jest naszym domem, że właśnie się pobraliśmy i przyjechaliśmy, by tu zamieszkać. Zaproponowałam, byśmy otworzyli jedną z okiennic — tę, którą pan otworzył. Nie była zamknięta, a pokój okazał się zakurzony i zaniedbany. Wśliznęliśmy się do środka. To było podniecające, cudowne. Udawaliśmy, że to nasz własny dom.

Urwała raptownie i spojrzała błagalnie na pana Satterthwaite'a.

— To wydawało się cudowne jak baśń. Dla mnie było to wspaniałe, bo nie było prawdą. Nie było rzeczywiste.

Pan Satterthwaite skinął głową. Widział ją, może nawet wyraźniej niż ona sama — przestraszone, samotne dziecko, oczarowane zabawą bezpieczną, ponieważ nie była prawdziwa.

— To był, jak sądzę, bardzo zwyczajny młody człowiek. Nie szukający przygód, ale miły. Ciągnęliśmy naszą grę...

Urwała, spojrzała na pana Satterthwaite'a i ponownie zapytała:

— Rozumie pan? Ciągnęliśmy naszą grę... Po chwili podjęła opowieść:

— Następnego ranka znów przyszedł do willi. Zobaczyłam go z sypialni przez okiennicę. Oczywiście nie śniło mu się nawet, że jestem w środku. Nadal sądził, że spotkał małą hiszpańską wieśniaczkę. Stał tu, rozglądając się wokół. Poprzedniego dnia prosił mnie o spotkanie. Zgodziłam się, ale nie zamierzałam dotrzymać obietnicy.

Stał tam, wyraźnie zmartwiony. Myślę, że martwił się o mnie. To było miłe z jego strony: martwić się o mnie. Był naprawdę sympatyczny...

Znów umilkła.

— Następnego dnia wyjechał. Nigdy go już nie zobaczyłam. Moje dziecko urodziło się dziewięć miesięcy później. Przez cały czas byłam ogromnie szczęśliwa. Mogłam mieć dziecko tak spokojnie, nikt nie mógł mnie skrzywdzić ani upokorzyć. Żałowałam, że nie zapytałam mojego Anglika o imię. Nazwałabym dziecko po nim. To było nieuprzejme wobec niego, trochę niesprawiedliwe. Podarował mi to, o czym marzyłam najbardziej, i nigdy nawet się o tym nie dowie! Lecz oczywiście wytłumaczyłam sobie, że on by tak na to nie patrzył, że gdyby wiedział, prawdopodobnie tylko by się zmartwił i zdenerwował. Byłam dla niego jedynie przelotną rozrywką.

— A dziecko? — zapytał pan Satterthwaite.

— Jest wspaniały. Nazwałam go John. Wspaniały. Szkoda, że nie może go pan zobaczyć. Ma dwadzieścia lat. Będzie inżynierem górniczym. Jest dla mnie najlepszym i najdroższym synem. Powiedziałam mu, że jego ojciec zmarł przed jego narodzeniem.

Pan Satterthwaite przyglądał się jej. Dziwna historia. I w jakimś sensie niedokończona. Był pewien, że jest coś jeszcze.

— Dwadzieścia lat to szmat czasu — powiedział w zamyśleniu. — Nigdy nie rozważała pani kolejnego małżeństwa?

Potrząsnęła głową. Jej opalone policzki stopniowo ogarnął płomienny rumieniec.

— Dziecko wystarczało pani? Przez cały ten czas? Popatrzyła na niego. Jej spojrzenie nigdy jeszcze nie było tak ciepłe.

— Dzieją się tak dziwne rzeczy — rzuciła cicho. — Tak dziwne... Nie uwierzy pan... choć nie, myślę się, pan może uwierzyć. Nie kochałam ojca Johna, nie wtedy. Nie sądzę, żebym nawet wiedziała,

czym jest miłość.

Przyjęłam oczywiście za pewnik, że dziecko będzie podobne do mnie. Ale nie było. Mogłoby być dzieckiem zupełnie innej kobiety. Przypominało ojca — wyłącznie ojca. Poznałam tego człowieka poprzez jego dziecko. Poprzez dziecko nauczyłam się go kochać. Kocham go teraz i zawsze będę go kochać. Może pan powiedzieć, że to tylko moja wyobraźnia, że stworzyłam sobie ideał, ale tak nie jest. Kocham człowieka, prawdziwego człowieka. Poznałabym go, gdybym zobaczyła go jutro, chociaż od naszego spotkania minęło ponad dwadzieścia lat. Miłość do niego uczyniła ze mnie kobietę. Kocham go tak, jak kobieta kocha mężczyznę. Od dwudziestu lat żyję, kochając go. Umrę z tą miłością.

Urwała gwałtownie, a potem rzuciła swemu słuchaczowi wyzwanie:

— Myśli pan, że jestem szalona? Ponieważ mówię tak dziwne rzeczy?

— Och, moja droga. — Pan Satterthwaite ponownie ujął jej dłoń.

— Pan to rozumie?

— Chyba tak. Ale jest coś jeszcze, prawda? Coś, o czym mi pani nie powiedziała?

Jej czoło zachmurzyło się.

— Tak, jest coś jeszcze. Sprytnie pan to odgadł. Od razu wiedziałam, że przed panem nie można nic ukryć. Ale nie chcę o tym mówić, a powód jest taki, że lepiej będzie dla pana, jeśli nie będzie pan wiedział.

Popatrzył na nią. Oddała mu spojrzenie odważnie i wyzywająco.

To jest test — powiedział sobie. — Wszystkie wskazówki mam w rękę. Powinienem wiedzieć. Jeśli będę rozumował prawidłowo, odgadnę prawdę.

Przez chwilę panowała cisza, a potem pan Satterthwaite odezwał się:

— Coś się popsuło.

Dostrzegł, jak jej powieki zadrżały ledwie dostrzegalnie i wiedział, że jest na właściwym tropie.

— Coś nagle popsuło się po tych wszystkich latach.

Czuł, jak szuka po omacku w najciemniejszych zakamarkach jej duszy, gdzie usiłowała skryć przed nim swój sekret.

— Chłopiec. To ma coś wspólnego z chłopcem. Nic poza tym by pani nie obeszło.

Dosłyszał ciche westchnienie i wiedział, że odgadł prawidłowo. Okrutne postępowanie, lecz niezbędne. Jej wola mierzyła się z jego. Była kobietą dominującą, bezwzględna, lecz i on miał siłę

ukrytą pod łagodnym zachowaniem. I stało za nim niemal święte przekonanie, że to, co robi, jest słuszne. Poczul przelotne, pogardliwe współczucie dla ludzi, których praca polegała na śledzeniu czegoś tak brutalnego jak zbrodnia. Detektywistyczne rozważania, zbieranie wskazówek, dociekanie prawdy, szalona radość, gdy dochodziło się do celu... Pomogło mu właśnie jej pragnienie, by ukryć przed nim prawdę. Czuł, jak sztywnieje w obronie, gdy zbliżał się coraz bardziej i bardziej.

— Powiedziała pani, że lepiej dla mnie, bym nie wiedział. Lepiej dla mnie? Lecz pani nie zależy na innych. Nie cofnęłaby się pani przed narażeniem obcego człowieka na drobne i przejściowe niedogodności. Zatem chodzi o coś więcej? Jeśli mi pani powie, uczyni mnie pani swoim współnikiem a priori. Brzmi to tak, jakby chodziło o zbrodnię. Zbyt fantastyczne! Nie mógłbym przypisać pani zbrodni. Chyba tylko jedną: wymierzoną przeciwko samej sobie.

Wbrew woli opuściła powieki, przysłaniając oczy. Pochylił się i złapał ją za nadgarstek.

— Więc o to chodzi! Chce pani odebrać sobie życie.

Krzyknęła cicho.

— Skąd pan wiedział? Skąd pan to wiedział?

— Ale dlaczego? Nie jest pani zmęczona życiem. Nigdy nie spotkałem kobiety mniej nim zmęczonej, bardziej promiennej.

Wstała, podeszła do okna, odsuwając z czoła pasmo ciemnych włosów.

— Skoro odgadł pan aż tyle, równie dobrze mogę powiedzieć panu prawdę. Nie powinnam była wpuszczać tu pana dziś wieczór. Powinnam była przewidzieć, że dostrzeże pan zbyt wiele. Taki już z pana człowiek. Miał pan rację co do powodu. Chodzi o chłopca. Nic nie wie. Lecz kiedy ostatnio przyjechał do domu, mówił z przejęciem o jednym ze swoich przyjaciół — i coś odkryłam. Jeśli dowie się, że jest nieślubnym dzieckiem, to mu złamie serce. Jest dumny, potwornie dumny. Ma dziewczynę. Och, nie będę zagłębiać się w szczegóły. Wkrótce tu przyjedzie; chce dowiedzieć się wszystkiego o ojcu. Tego, naturalnie, oczekują rodzice dziewczyny. Kiedy pozna prawdę, zerwie z nią, skaże się na wygnanie, zrujnuje sobie życie. Och, wiem, co pan powie. Jest młody, głupi, nie ma racji, traktując to w ten sposób. Może to i prawda. Ale czy ma jakieś znaczenie, jacy powinni być ludzie? Są, jacy są. To mu złamie serce... Lecz jeśli, zanim przyjedzie, zdarzy się wypadek, wszystko przesłoni żal po mnie. Przejrzy moje papiery, niczego nie znajdzie, będzie zły, że tak niewiele mu powiedziałam. Lecz nie będzie podejrzewał prawdy. To najlepsze rozwiązanie. Trzeba zapłacić za szczęście, a ja go miałam tak wiele... och, tak wiele. I w rzeczywistości cena będzie niska. Tylko trochę odwagi, by skoczyć, może chwilka strachu.

— Lecz, moje drogie dziecko...

— Niech pan się ze mną nie sprzecza — wybuchnęła. — Nie zamierzam wysłuchiwać konwencjonalnych argumentów. Moje życie należy do mnie. Do tej pory potrzebował go John. Lecz nie potrzebuje mnie dłużej. Teraz pragnie towarzyszki, kobiety, i tym chętniej zwróci się ku niej, gdy mnie już nie będzie. Moje życie jest bezużyteczne, lecz moja śmierć przyniesie pożytek. I mam prawo

uczynić ze swoim życiem, co zechcę.

— Jest pani pewna?

Zdumiała ją surowość jego tonu. Zająknęła się lekko.

— Nie przynosi pożytku nikomu, a w tej sprawie ja jestem najlepszym sędzią.

Ponownie jej przerwał.

— Niekoniecznie.

— O co panu chodzi?

— Proszę posłuchać. Opowiem pani o czymś. Jakiś mężczyzna przychodzi w pewne miejsce... powiedzmy, że chce popełnić samobójstwo. Lecz przypadkiem natyka się tam na kogoś obcego, więc nie realizuje swojego zamiaru i odchodzi, aby żyć. Ten obcy uratował mu życie, nie dlatego, że był mu niezbędny, że coś znaczył; jedynie przez czysto fizyczny fakt bycia w określonym miejscu w określonym czasie. Pani odbierze sobie dzisiaj życie i może pięć, sześć lat później kogoś spotka śmierć lub katastrofa tylko dlatego, że pani już nie będzie. To może być spłoszony koń, pędzący ulicą, który skręci na pani widok i dzięki temu nie zmiażdży kopytami dziecka bawiącego się na skraju drogi. To dziecko może wyrosnąć na wielkiego muzyka albo odkryje lekarstwo na raka. A może wszystko potoczy się bardziej zwyczajnie. Może wyrosnąć na przeciętnego, szczęśliwego człowieka.

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

— Jest pan dziwnym człowiekiem. — To, co pan mówi... nigdy o tym nie pomyślałam...

— Mówi pani, że pani życie należy do niej — ciągnął pan Satterthwaite. — Lecz czy może pani zaryzykować i zignorować możliwość, iż bierze pani udział w gigantycznym dramacie kierowanym przez boskiego reżysera? Może wygłosi pani swoją kwestię pod sam koniec sztuki, może okazać się ona zupełnie nieistotna, zwykłe wejście na scenę, lecz rozwiązanie dramatu może zależeć od tego, czy przekaże pani wskazówkę innemu aktorowi. Cała budowla może runąć. Może pani sama nie ma znaczenia dla nikogo na tym świecie, lecz jako osoba w określonym miejscu może pani znaczyć niewyobrażalnie wiele.

Usiadła, wciąż wpatrując się w niego.

— Co chce pan, żebym zrobiła? — zapytała po prostu. Była to chwila triumfu dla pana Satterthwaite'a.

Wydał rozkaz:

— Chcę, żeby obiecała mi pani chociaż jedno: że nie uczyni pani nic pochopnego przez najbliższą dobę.

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Przyrzekam.

— Proszę jeszcze o jedno. O przysługę.

— Tak?

— Proszę nie zamykać okiennicy, którą otworzyłem, i proszę czuwać tej nocy.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, lecz skinęła głową na zgodę.

— A teraz — podjął pan Satterthwaite, świadom, że napięcie minęło — muszę już iść. Niech panią Bóg błogosławi, moja droga.

Wyszedł dość zakłopotany. Rosła Hiszpanka spotkała go w korytarzu i otworzyła przed nim boczne drzwi, przypatrując mu się ciekawie.

Zmierzchało, kiedy dotarł do hotelu. Na tarasie siedziała jakaś samotna postać. Pan Satterthwaite skierował się prosto ku niej. Był podniecony, serce biło mu szybko. Czuł, że w jego rękach leżą nader ważne sprawy. Jeden fałszywy ruch...

Jednak spróbował ukryć podniecenie i z Anthonym Cosdenem rozmawiać naturalnie i swobodnie.

— Ciepły wieczór — zauważył. — Zupełnie straciłem poczucie czasu, siedząc na szczycie urwiska.

— Był pan tam cały czas?

Pan Satterthwaite skinął głową. Drzwi hotelu otworzyły się, by kogoś przepuścić, i na twarz Cosdena padła nagle smuga światła, ukazując cierpienie: milczące, niezmierzone.

Pan Satterthwaite pomyślał sobie: „To dla niego gorsze, niż byłoby dla mnie. Wyobraźnia, domysły, spekulacje mogą wiele zdziałać. Można dzięki nim złagodzić cierpienie. Lecz ta bezrozumna, ślepa boleść zwierzęcia jest potworna...”

Cosden odezwał się nagle, szorstkim tonem:

— Po kolacji idę na spacer. Pan... pan rozumie? Do trzech razy sztuka. Niech pan się nie wtrąca, na miłość boską. Wiem, że zrobiłby to pan w dobrej wierze, lecz niech mi pan wierzy, to bezcelowe.

Pan Satterthwaite wyprostował się.

— Nigdy się nie wtrącam — powiedział, podając tym samym w wątpliwość sens i cel swojego istnienia.

— Wiem, co pan myśli — ciągnął Cosden, lecz przerwano mu.

— Musi mi pan wybaczyć, lecz mam odmienne zdanie — powiedział pan Satterthwaite. — Nikt nie wie, co drugi człowiek myśli. Może tak sobie wyobrażać, lecz niemal zawsze się myli.

— Może i tak — rzucił z powątpiewaniem Cosden, lekko zaskoczony.

— Myśli należą tylko do pana — mówił jego rozmówca.

— Nikt nie może ich zmienić ani wpłynąć na to, co pan z nimi zrobi. Porozmawiajmy raczej na mniej bolesny temat. Na przykład ta stara willa. Ma w sobie dziwny czar: usytuowana na uboczu, osłonięta przed światem, skrywająca Bóg wie jaką tajemnicę. Skusiła mnie do występnego uczynku. Pchnąłem jedną z okiennic.

— Naprawdę? — Cosden gwałtownie podniósł głowę. — Na pewno była zamknięta?

— Nie. Otwarta. Trzecia okiennica od końca — dodał łagodnie.

— Ależ — wybuchnął Cosden — to właśnie ta... Urwał nagle, lecz pan Satterthwaite zauważył błysk w jego oczach. Wstał usatysfakcjonowany.

Nadal jednak odczuwał lekki niepokój. Używając swojej ulubionej, teatralnej metafory, miał nadzieję, że właściwie wygłosił swoją kwestię. Gdyż była niezwykle istotna.

Przemyślawszy wszystko uznał, że jego artystyczny smak został zaspokojony. W drodze na urwisko Cosden spróbuje otworzyć okiennicę. Był człowiekiem i nie mógłby się przed tym powstrzymać. Do tego miejsca sprowadziło go wspomnienie sprzed dwudziestu paru lat, to samo wspomnienie przywiedzie go do okiennicy. A potem?

— Dowiem się jutro — orzekł pan Satterthwaite i wszedł do hotelu, by, jak przystało, przebrać się do kolacji.

Dochodziła dziesiąta rano, gdy ponownie postawił stopę w ogrodzie La Paz. Manuel powitał go z uśmiechem i wręczył pączek róży, który pan Satterthwaite wpiął ostrożnie w butonierkę. Potem podszedł do domu. Przystanął na chwilę, patrząc na spokojne białe mury, pnące się ku oknom gałęzie pomarańczy, wyblakłe zielone okiennice. Tak cicho, tak spokojnie. Czy wszystko było snem? Lecz w tej chwili otworzyło się tarasowe okno i pojawiła się dama, która zajmowała myśli pana Satterthwaite'a. Podeszła prosto do niego, płynnym, roztańczonym krokiem, jak ktoś niesiony na fali uniesienia. Jej oczy błyszczały, policzki pałały rumieńcem. Wyglądała jak uosobienie radości. Nie było w niej śladu wahania, żadnych wątpliwości, trosk. Podeszła wprost ku panu Satterthwaite'owi, położyła ręce na jego ramionach i ucałowała go — nie raz, lecz wiele razy. Wielkie, ciemnoczerwone, aksamitne róże — tak o tym myślał potem. Słońce, lato, śpiew ptaków — taka właśnie atmosfera go ogarnęła. Ciepło, radość i ogromna siła życia.

— Jestem taka szczęśliwa — powiedziała. — Jest pan kochany! Skąd pan wiedział? Skąd pan to wiedział? Jest pan dobrym czarodziejem z bajek. — Przerwała, jakby radość odebrała jej mowę. — Wybieramy się dzisiaj do konsula, żeby wziąć ślub. Kiedy przyjedzie John, będzie tu jego ojciec. Powiemy mu, że w przeszłości doszło między nami do jakiegoś nieporozumienia. Och, nie będzie zadawał pytań. Jestem taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa.

Rzeczywiście, szczęście płynęło z niej jak fale przyływu. — Ogarniało pana Satterthwaite'a

powodnią ciepła i radości.

— To było takie cudowne dla Anthony'ego: dowiedzieć się, że ma syna. Nie śniłam nigdy, że go to obejdzie. — Spojrzała z ufnością w oczy pana Satterthwaite'a. — Czy to nie dziwne, jak wszystko ułożyło się i cudownie zakończyło?

Ujrzał ją teraz wyraźnie, jak nigdy dotąd: dziecko, wciąż dziecko, zakochane w bajkach — bajkach, które kończyły się pięknie: „i żyli długo i szczęśliwie”.

Powiedział łagodnie:

— Jeżeli uszczęśliwi pani tego mężczyznę w ostatnich miesiącach jego życia, rzeczywiście uczyni pani rzecz piękną.

Otworzyła szeroko oczy, zaskoczona.

— Och! Nie sądzi pan przecież, że pozwolę mu umrzeć? Kiedy wreszcie do mnie wrócił po tych wszystkich latach. Znam mnóstwo ludzi, którym lekarze nie dawali żadnych szans, a którzy żyją do dzisiaj. Umrzeć? Ależ on nie umrze!

Popatrzył na nią: siła, uroda, żywotność, nieposkromiona odwaga i wola. Sam wiedział, że lekarze się mylą... Osobowość — nigdy nie wiadomo, jak wielkie może mieć znaczenie.

Zapytała ponownie, z naganą i rozbawieniem:

— Nie sądzi pan chyba, że pozwolę mu umrzeć?

— Nie — odparł łagodnie. — Nie wydaje mi się, moja droga, aby pani na to pozwoliła...

Potem poszedł cyprysową ścieżką do ławeczki z widokiem na morze i spotkał tam osobę, której oczekiwał. Pan Quin podniósł się i powitał go — taki sam jak zawsze: śniady, małomówny, uśmiechnięty i jednocześnie smutny.

— Spodziewał się mnie pan? — zapytał. A pan Satterthwaite odrzekł:

— Tak jest, spodziewałem się pana. Usiedli razem na ławce.

— Oceniając z wyrazu pańskiej twarzy, znów odegrał pan rolę Opatrzności — powiedział pan Quin.

Pan Satterthwaite spojrzał na niego z przyganą.

— Jakby nic pan o tym nie wiedział.

— Zawsze zarzuca mi pan, że jestem wszechwiedzący — powiedział pan Quin z uśmiechem.

— Jeśli nic pan nie wiedział, dlaczego czekał pan tutaj dwie noce temu? — odparował pan Satterthwaite.

— A, to...

— Tak jest, to.

— Miałem... zlecenie do wykonania.

— Od kogo?

— Czasami nazywa mnie pan w żartach adwokatem umarłych.

— Umarłych? — powtórzył zaskoczony pan Satterthwaite. — Nie rozumiem.

Pan Quin wskazał długim, szczupłym palcem na błękitną głębię u ich stóp.

— Dwadzieścia dwa lata temu utonął tam pewien mężczyzna.

— Wiem, jednak nie rozumiem...

— Załóżmy, że mimo wszystko ten człowiek kochał swoją młodą żonę. Miłość potrafi zmienić mężczyznę w diabła tak samo, jak w anioła. Darzyła go dziewczęcym uwielbieniem, a on nie potrafił obudzić w niej kobiety, i to doprowadzało go do szału. Znęcał się nad nią, ponieważ ją kochał. Tak się czasem zdarza. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

— Tak — przyznał pan Satterthwaite. — Widziałem podobne przypadki, lecz rzadko, bardzo rzadko...

— I widział pan także, i to częściej, że istnieje coś takiego jak skrucha, pragnienie zadośćuczynienia, za wszelką cenę.

— Tak, lecz śmierć nadeszła zbyt szybko...

— Śmierć! — W głosie pana Quina brzmiała pogarda. — Wierzy pan w życie po śmierci, czyż nie? A kimże pan jest, by twierdzić, że te same życzenia, te same pragnienia nie istnieją w tym drugim życiu? Jeśli pragnienie jest dość silne, można znaleźć posłańca.

Jego głos ucichł.

Pan Satterthwaite podniósł się, drżąc lekko.

— Muszę wracać do hotelu — powiedział. — Jeśli idzie pan w tę samą stronę...

Lecz pan Quin potrząsnął przecząco głową.

— Nie — odparł. — Wrócę drogą, którą przyszedłem.

Kiedy pan Satterthwaite obejrzał się po chwili przez ramię, zobaczył, jak jego przyjaciel zmierza w stronę krawędzi urwiska.

Rozdział siódmy

Głos w ciemnościach

1

— Martwię się trochę o Margery — powiedziała lady Stranleigh. — Wie pan, o moją dziewczynkę.
— Westchnęła z zadumą. — Dorosła córka okropnie mnie postarza.

Pan Satterthwaite, do którego adresowane były te zwierzenia, zareagował szarmancko.

— Nikt by nie uwierzył, że ma pani dorosłą córkę — oświadczył z lekkim ukłonem.

— Pochlebca — rzuciła lady Stranleigh, lecz widać było, że myślami błądzi gdzie indziej.

Pan Satterthwaite spojrział z podziwem na smukłą, ubraną na biało postać. Słońce w Cannes było bezlitosne, lecz lady Stranleigh pomyślnie przeszła ten test. Z pewnej odległości wydawała się zaskakująco młoda. Można by niemal zastanawiać się, czy na pewno jest pełnoletnia. Pan Satterthwaite, który wszystko wiedział, wiedział i to, że lady Stranleigh mogłaby mieć już dorosłe wnuki. Stanowiła ostateczny triumf sztuki nad naturą. Miała wspaniałą figurę i wspaniałą cerę. Dzięki niej wzbogaciło się wiele salonów piękności, ale rezultat naprawdę zapierał dech w piersiach.

Zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę — a były to piękne nogi w najdelikatniejszych, cielistych jedwabnych pończochach — i rzuciła cicho:

— Tak, naprawdę martwię się o Margery.

— Mój Boże, a o co chodzi? — zapytał pan Satterthwaite.

Lady Stranleigh zwróciła na niego swe piękne, błękitne oczy.

— Nigdy jej pan nie widział, prawda? To córka Charlesa — wyjaśniła.

Gdyby informacje w Who's Who były dokładne, notatka dotycząca lady Stranleigh mogłaby kończyć się następująco: „hobby: wychodzenie za mąż”. Płynęła przez życie, tracąc po drodze mężów. Trzech na skutek rozwodu, jednego w wyniku śmierci.

— Zrozumiałabym, gdyby była córką Rudolfa — rozważała lady Stranleigh. — Pamięta pan Rudolfa? Co za humorzasty człowiek! Pół roku po ślubie musiałam wnieść coś tam do sądu. Jakże to się nazywa? Małżeński... wie pan, o czym mówię. Dzięki Bogu, teraz wszystko jest dużo prostsze. Pamiętam, że musiałam napisać do niego idiotyczny list; właściwie podyktował mi go adwokat. Prosiłam, żeby wrócił, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, i tak dalej, i tak dalej. Nigdy nie można

było polegać na Rudolfie — był nieobliczalny. Natychmiast wrócił do domu, a przecież nie o to chodziło i nie tego spodziewali się adwokaci.

Westchnęła.

— A Margery? — zapytał pan Satterthwaite, taktownie naprowadzając ją na omawiany temat.

— A, tak. Właśnie miałam panu o tym powiedzieć, prawda? Margery widzi, czy też słyszy, dziwne rzeczy. Wie pan, duchy i tym podobne. Nigdy nie sądziłam, że ma tyle wyobraźni. To dobra, kochana dziewczyna, ale odrobinę... nudna.

— To niemożliwe — mruknął pan Satterthwaite, mając niejasne poczucie, że właśnie powiedział komplement.

— Nawet bardzo nudna — ciągnęła lady Stranleigh. — Nie interesuje się tańcem, przyjęciami, niczym, co powinno obchodzić młodą dziewczynę. Wołała zostać w domu i polować, zamiast przyjechać tu ze mną.

— No, no, nie chciała z panią przyjechać? — zdziwił się pan Satterthwaite.

— Cóż, nie nalegałam. Zauważyłam, że córka wpływa na mnie przygnębiająco.

Pan Satterthwaite usiłował wyobrazić sobie lady Stranleigh w towarzystwie poważnej córki, ale mu się to nie udało.

— Nie mogę oprzeć się podejrzeniu, że Margery traci zmysły — ciągnęła radosnym głosem jej matka. — Powiedziano mi, że jeśli ktoś słyszy głosy, to bardzo zły znak. W Abbofs Mede nie straszy. Stary budynek spłonął doszczętnie w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym, a na jego miejscu postawiono wczesnowiktoriański chateau, w którym przecież nie może straszyć. Jest na to zbyt brzydki i pospolity.

Pan Satterthwaite zakaszłał. Zastanawiał się, jaki jest cel tych zwierzeń.

— Pomyślałam — lady Stranleigh uśmiechnęła się do niego promiennie — że może pan będzie mógł mi pomóc.

— Ja?

— Tak. Wraca pan jutro do Anglii, prawda?

— Rzeczywiście, wracam — przyznał ostrożnie pan Satterthwaite.

— I zna pan ludzi zajmujących się psychiatrią. Na pewno pan zna, przecież zna pan wszystkich.

Pan Satterthwaite uśmiechnął się lekko. Jedną z jego słabości było znać wszystkich.

— Więc cóż prostszego? Ja nigdy nie dogadam się z kimś takim. Z jakimś poważnym człowiekiem z

brodą i w okularach. Tacy ludzie nudzą mnie potwornie, zupełnie nie mam do nich cierpliwości.

Pan Satterthwaite był dość zaskoczony. Lady Stranleigh wciąż uśmiechała się do niego promiennie.

— Wszystko więc ustalone, prawda? — rzuciła pogodnie. — Pojedzie pan do Abbofs Mede, zobaczy się z Margery, i wszystko załatwi. Będę bardzo wdzięczna. Oczywiście, jeśli Margery naprawdę traci zmysły, wrócę do domu. Ach! Oto i Bimbo. — Jej uśmiech nie był już promienny. Stał się olśniewający.

Zbliżał się do nich młody człowiek w białym, flanelowym stroju do tenisa. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat i był wyjątkowo przystojny.

— Wszędzie cię szukałem, Babs — powiedział bez wstępów.

— Jak ci poszła gra?

— Beznadziejnie.

Lady Stranleigh wstała. Odwróciła głowę przez ramię i słodkim tonem szepnęła do pana Satterthwaite'a:

— To cudowne, że chce mi pan pomóc. Nigdy tego nie zapomnę.

Pan Satterthwaite patrzył za odchodzącą dwójką. Ciekawe — pomyślał — czy Bimbo będzie mężem numer pięć.

2

Konduktor pociągu de Luxe pokazywał panu Satterthwaite'owi miejsce, gdzie kilka lat wcześniej doszło do wypadku. Gdy zakończył ożywioną narrację, pan Satterthwaite podniósł głowę i ujrzał znajome oblicze, uśmiechające się do niego nad ramieniem konduktora.

— Drogi pan Quin! — zawołał. Jego drobna, pomarszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu. — Cóż za zbieg okoliczności! Wracamy do Anglii tym samym pociągiem, bo przecież pan też wraca do kraju?

— Tak — przyznał pan Quin. — Mam tam do załatwienia pewną bardzo ważną sprawę. Je pan kolację w pierwszej turze?

— Zawsze tak robię. Pora jest oczywiście absurdalna: wpół do siódmej, ale mniej się ryzykuje, jeśli chodzi o potrawy.

Pan Quin ze zrozumieniem skinął głową.

— Sam postępuję tak samo. Może usiądziemy razem?

O wpół do siódmej pan Quin siedział naprzeciw pana Satterthwaite'a przy małym stoliku w wagonie restauracyjnym. Pan Satterthwaite obdarzył należną uwagą kartę win, po czym zwrócił się do towarzysza:

— Nie widziałem pana od... a tak, od spotkania na Korsyce. Wyjechał pan tamtego dnia tak nagle.

Pan Quin wzruszył ramionami.

— Jak zawsze. Przychodzę i odchodzę, jak pan wie. Przychodzę i odchodzę.

Słowa te obudziły w panu Satterthwaicie jakieś wspomnienie. Po plecach przebiegł mu lekki dreszcz — nie było to niemiłe, wprost przeciwnie: raczej przyjemne uczucie, że zaraz coś się wydarzy.

Pan Quin podniósł butelkę czerwonego wina i przeczytał etykietkę. Trzymał butelkę pod światło i na chwilę jego postać spowiła czerwona poświata.

Pan Satterthwaite znów odczuł podniecenie.

— Ja też jadę do Anglii z pewną misją — rzucił, uśmiechając się szeroko na myśl o swojej znajomej.

— Może zna pan lady Stranleigh?

Pan Quin pokręcił przecząco głową.

— To stara arystokracja — ciągnął pan Satterthwaite.

— Bardzo stara. Jeden z nielicznych tytułów dziedziczonych w linii żeńskiej. Jest baronową z urodzenia, nie po mężu. Dość romantyczna historia.

Pan Quin rozsiadł się wygodniej na krześle. Kelner, przebiegając przez rozhuśtany wagon, niemal cudem ustawił przed nimi filiżanki z zupą. Pan Quin pociągnął ostrożnie łyk.

— Zamierza pan przedstawić mi jeden ze swoich wspaniałych opisów — stwierdził cicho. — Prawda?

Pan Satterthwaite rozpromienił się.

— To cudowna kobieta — powiedział. — Ma już sześćdziesiąt lat, co najmniej sześćdziesiąt. Znałem je w czasach młodości, ją i jej siostrę. Starsza miała na imię Beatrice. Beatrice i Barbara. Córki Barrona. Obie były ładne i wówczas zupełnie bez grosza. Lecz to działo się wiele lat temu. Sam byłem wówczas młodym człowiekiem. — Pan Satterthwaite westchnął. — Od tytułu dzieliło je kilku krewnych. Stary lord Stranleigh był chyba ich kuzynem w pierwszej linii. Życie lady Stranleigh ułożyło się jak w powieści. Trzy nieoczekiwane zgony: zmarli dwaj bracia starego lorda i jego bratanek. Potem — „Uralia”. Pamięta pan zatonięcie — „Uralii”? Poszła na dno u brzegów Nowej Zelandii. Barronówny były na pokładzie. Beatrice utopiła się. Barbara znalazła się wśród

nielicznych, którzy ocaleli. Pół roku później zmarł stary Stranleigh, a ona odziedziczyła tytuł i sporą fortunę. Odtąd żyła tylko w jednym celu: dla siebie samej. Nigdy się nie zmieniła: zawsze piękna, pozbawiona skrupułów, nieczuła, zainteresowana wyłącznie sobą. Miała czterech mężów i nie wątpię, że lada dzień zdobędzie piątego.

Następnie pan Satterthwaite opowiedział o misji, którą powierzyła mu lady Stranleigh.

— Chcę pojechać do Abbofs Mede zobaczyć się z młodą damą — wyjaśnił. — Czuję, że trzeba coś zrobić w jej sprawie. Nie sposób myśleć o lady Stranleigh jak o zwyczajnej matce. — Urwał, spoglądając na pana Quina. — Szkoda, że nie może pan pojechać ze mną — rzucił z nadzieją. — To pewnie niemożliwe?

— Obawiam się, że nie — odparł pan Quin. — Chociaż... Abott's Mede leży w Wiltshire, prawda?

Pan Satterthwaite przytaknął.

— Tak myślałem. Przypadkiem zatrzymam się niedaleko Abbofs Mede. w miejscu, które obaj znamy. — Uśmiechnął się. — Pamięta pan gospodę „Pod Dzwonkami i Stojem Arlekina”?

— Oczywiście! — wykrzyknął pan Satterthwaite. — To tam pan będzie?

Pan Quin skinął głową.

— Przez tydzień lub dziesięć dni. Może nawet dłużej. Jeśli zajrzy pan tam któregoś dnia, z przyjemnością się z panem spotkam.

Te słowa przyniosły panu Satterthwaite'owi dziwną otuchę.

3

— Droga panno... Margery — mówił pan Satterthwaite. — Zapewniam, że nie zamierzam się z pani śmiać.

Margery Gale zmarszczyła brwi. Siedzieli w przestronnym, wygodnym holu Abbot's Mede. Margery była dużą, kręłą dziewczyną. W niczym nie przypominała matki. Wszystkie cechy odziedziczyła po ojcu i jego rodzinie — właścicielach ziemskich i zapalonych myśliwych. Wyglądała świeżo i zdrowo, jak uosobienie rozsądku. Jednak pan Satterthwaite uzmysłowił sobie, że wszyscy Barronowie mieli skłonność do umysłowych aberracji. Może i Margery odziedziczyła fizyczną urodę po ojcu, ale bzika — po rodzinie matki.

— Chciałabym pozbyć się tej Casson — rzuciła Margery. — Nie wierzę w spirytyzm i wcale mi się to nie podoba. To jedna z tych głupich kobiet, które mogą zamęczyć na śmierć. Wciąż mnie namawia, żebym sprowadziła tu medium.

Pan Satterthwaite zakaszał, powiercił się na krześle i wreszcie stwierdził tonem sędziego:

— Muszę upewnić się, czy znam wszystkie fakty. Pierwsze... hm... zdarzenie miało miejsce dwa miesiące temu, czy tak?

— Mniej więcej — potwierdziła dziewczyna. — Czasem był to szept, a czasem zupełnie wyraźny głos. Zawsze powtarzał to samo.

— To znaczy?

— „Oddaj to, co nie twoje. Oddaj to, co ukradłaś.” Za każdym razem włączałam światło, ale pokój okazywał się pusty, nikogo w nim nie było. W końcu zrobiłam się tak nerwowa, że kazałam Clayton, pokojówce matki, spać na sofie w mojej sypialni.

— A mimo to głos rozlegał się nadal?

— Tak. Do tego — to właśnie mnie przeraża — Clayton nie słyszała go.

Pan Satterthwaite zastanawiał się przez chwilę.

— Tamtego wieczoru mówił głośno czy cicho?

— To był niemal szept — odparła Margery. — Jeśli Clayton mocno spała, mogła go nie usłyszeć. Chciała, żebym poszła do lekarza. — Roześmiała się z goryczą. — Ale od zeszłej nocy nawet ona mi wierzy — dodała.

— Co stało się zeszłej nocy?

— Już panu mówię. Nikomu jeszcze o tym nie powiedziałam. Wyjechałam na polowanie, które trwało dość długo. Wróciłam śmiertelnie zmęczona i twardo zasnęłam. Przyśnił mi się potworny sen: że upadłam na jakieś żelazne ogrodzenie i jeden z prętów powoli wbijał mi się w gardło. Obudziłam się i odkryłam, że to się dzieje naprawdę: coś ostrego wbijało mi się w szyję, a jakiś głos szeptał cicho: — „Ukradłaś coś, co należy do mnie. To oznacza śmierć”. Wrzasnęłam i zaczęłam machać rękami, ale nic wokół mnie nie było. Clayton usłyszała mój krzyk w sąsiednim pokoju, gdzie spała. Wpadła do środka i wyraźnie poczuła, jak coś przemknęło obok niej w ciemności. Mówi, że mogło to być cokolwiek, ale na pewno nie człowiek.

Pan Satterthwaite wpatrywał się w nią. Dziewczyna była bardzo zdenerwowana, wręcz wstrząśnięta. Po lewej stronie na jej szyi dostrzegł małego plaster. Uchwyciła jego spojrzenie i skinęła głową.

— Tak — powiedziała. — Sam pan widzi, że to nie była tylko wyobraźnia.

Pan Satterthwaite zapytał tonem niemal przeprasającym, gdyż tak melodramatycznie brzmiało to pytanie:

— Nie zna pani nikogo, kto by... żywił do pani urazę?

— Oczywiście, że nie — odparła. — Co za pomysł! Pan Satterthwaite obrał inną linię ataku.

— Jacy goście przyjechali tu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

— Nie pyta pan o tych, którzy zjechali tylko na weekend? Przez cały czas jest tu ze mną Marcia Keane.

To moja najlepsza przyjaciółka, tak samo jak ja lubi konie. Od dłuższego czasu mieszka tu też mój kuzyn, Roley Vavasour.

Pan Satterthwaite skinął głową. Powiedział, że chciałby zobaczyć się z pokojówką.

— Pracuje u pani od dawna, prawda? — zapytał.

— Od wieków. Była pokojówką mamy i ciotki Beatrice, kiedy były dziewczynkami. Pewnie dlatego mama nadal ją zatrudnia, choć ma własną francuską pokojówkę. Clayton zajmuje się szyciem i różnymi drobiazgami.

Zaprowadziła go na górę i po chwili do pokoju weszła Clayton. Była to wysoka, chuda, starsza kobieta o schludnie rozdzielonych przedziałkiem siwych włosach. Wyglądała na osobę godną najwyższego szacunku.

— Nie, proszę pana — odrzekła na pytania pana Satterthwaite'a. — Nigdy nie słyszałam, żeby w tym domu straszło. Mówiąc prawdę, aż do ostatniej nocy myślałam, że to tylko wyobraźnia panienki Margery. Ale naprawdę poczułam, jak coś ociera się o mnie w ciemności. I powiadam panu, to nie była ludzka istota. Do tego ta rana na szyi panienki. Biedactwo, sama sobie tego nie zrobiła.

Lecz te słowa podsunęły panu Satterthwaite'owi pewną myśl. Czy możliwe, żeby Margery sama się zraniła? Słyszał o przypadkach dziewcząt, które, choć na pozór tak zrównoważone i rozsądne jak Margery, wyprawiały nieprawdopodobne rzeczy.

— Wkrótce się zagoi — ciągnęła Clayton. — Nie tak jak moja blizna. — Wskazała na ślad na swoim czole.

— To stało się czterdzieści lat temu, proszę pana. Wciąż noszę pamiątkę po tym zdarzeniu.

— Chodzi o zatonięcie — „Uralii” — wtrąciła Margery.

— Część omasztowania uderzyła cię w głowę, prawda, Clayton?

— Tak, proszę panienki.

— A co pani sama o tym sądzi, Clayton? — zapytał pan Satterthwaite. — Co miał oznaczać napad na pannę Margery?

— Wolalabym nie mówić, proszę pana.

Pan Satterthwaite zrozumiał to prawidłowo jako powściągliwość dobrze wyszkolonej służącej.

— Co pani naprawdę o tym myśli? — nalegał.

— Myślę, że w tym domu zrobiono coś bardzo podłego i dopóki się tego nie naprawi, nie będzie spokoju.

Kobieta mówiła poważnie, a jej wyblakłe niebieskie oczy wytrzymały jego spojrzenie.

Pan Satterthwaite zszedł na dół raczej rozczarowany. Clayton najwyraźniej wyznawała ortodoksyjne przekonanie, że „nawiedzenie” domu jest konsekwencją niegodziwego uczynku z przeszłości. Pana Satterthwaite’a jednak nie było tak łatwo zadowolić. Niezwykłe zjawiska zaczęły się dopiero dwa miesiące temu. Dopiero wtedy, gdy przyjechali tu Marcia Keane i Roley Vavasour. Musi się o nich wszystkiego dowiedzieć. Możliwe, że cała sprawa była tylko żartem. Pokręcił jednak głową, niezadowolony z takiego rozwiązania. Wyglądało to bardziej złowieszczo. Nadeszła akurat poczta i Margery zabrała się za otwieranie listów. Nagle wykrzyknęła.

— Mama jest naprawdę niemożliwa — stwierdziła. — Niech pan to przeczyta. — Wręczyła mu list.

Był typowy dla lady Stranleigh.

Kochana Margery — pisała. — Tak się cieszę, że jest z Tobą ten miły pan Satterthwaite. To mądry człowiek i zna wszystkie ważne osobistości od zjaw i duchów. Sprowadź ich wszystkich do domu i zbadaj dokładnie całą sprawę. Na pewno będziesz się świetnie bawić. Żałuję jedynie, że mnie tam nie ma, ale od kilku dni poważnie niedomagam. Obsługa hotelu zupełnie nie przejmuje się tym, co podaje. Lekarz orzekł, że to zatrucie pokarmowe. Naprawdę ciężko chorowałam.

Słodko z Twojej strony, że przysłałaś mi czekoladki, moja droga, ale to było troszkę dziecinne, prawda? Przecież tutaj mają wspaniałe słodycze.

Do widzenia, kochanie, baw się dobrze, łapiąc rodzinne duchy. Bimbo mówi, że doskonale radzę sobie z tenisem. Przesyłam Ci całe morze całusów, twoja Barbara.

— Mama upiera się, żebym mówiła do niej „Barbaro” — powiedziała Margery. — To głupie.

Pan Satterthwaite uśmiechnął się lekko. Zdawał sobie sprawę, że konserwatyzm córki musi być czasem nużący dla lady Stranleigh. W treści listu uderzyło go coś, na co Margery zupełnie nie zwróciła uwagi.

— Wysłała pani matce pudełko czekoladek? — zapytał. Margery potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Musiało być od kogoś innego.

Pan Satterthwaite spoważniał. Dwie rzeczy wydały mu się istotne. Lady Stranleigh otrzymała pudełko czekoladek i przeszła ostre zatrucie pokarmowe. Najwyraźniej nie połączyła obu faktów ze sobą. A czy coś je łączyło? On sam skłonny był tak uważać.

Z pokoju śniadaniowego wyszła wysoka, ciemnowłosa dziewczyna i dołączyła do nich.

Została przedstawiona panu Satterthwaite'owi. Była to Marcia Keane. Uśmiechnęła się do małego człowieczka ze swobodą świadcząca o dobrym humorze.

— Czy przyjechał pan tutaj zapolować na duszka Margery? — mówiła powoli, leniwie. — Wszyscy kpimy z niej z powodu tego ducha. Hej, otóż i Roley.

Pod frontowe drzwi podjechał właśnie samochód. Wsiadł z niego wysoki młody człowiek o jasnych włosach i chłopięcym sposobie bycia.

— Cześć, Margery — zawołał. — Czołem, Marcia! Przywiozłem wam posiłki. — Odwrócił się w stronę dwóch kobiet wchodzących do holu. W pierwszej pan Satterthwaite rozpoznał panią Casson, o której chwilę wcześniej wspominała Margery.

— Musisz mi wybaczyć, moja droga — rzuciła przeciągle, z szerokim uśmiechem. — Pan Vavasour zapewniał nas, że tak właśnie trzeba. To był jego pomysł, żebym zabrała ze sobą panią Lloyd. — Lekkim ruchem ręki wskazała na swoją towarzyszkę. — To właśnie pani Lloyd — odbwieściła triumfalnie. — Najlepsze medium, jakie kiedykolwiek istniało.

Pani Lloyd nie wyrzekła ani słowa protestu; skłoniła głowę, krzyżując ręce na piersi. Była to młoda kobieta o bardzo rumianych policzkach i pospolitym wyglądzie, ubrana niemodnie, za to ozdobnie. Miała na sobie łańcuch z kamieni księżycowych i kilka pierścieni.

Margery Gale, jak zauważył pan Satterthwaite, nie była zachwycona tym najściem. Rzuciła rozłoszczone spojrzenie Roleyowi Vavasourowi, całkiem nieświadomemu, że popełnił nietakt.

— Chyba podano już lunch — stwierdziła.

— To dobrze — rzuciła pani Casson. — Zaczniemy seans zaraz po posiłku. — Masz jakieś owoce dla pani Lloyd? Nigdy nie je nic solidnego przed seansem.

Przeszli do jadalni. Medium zjadło dwa banany i jabłko, odpowiadając ostrożnie i powściągliwie na uwagi, jakie od czasu do czasu kierowała do niej Margery. Tuż przed tym, jak wstali od stołu, odrzuciła nagle w tył głowę i pociągnęła nosem.

— W tym domu kryje się coś bardzo złego. Czuję to.

— Czyż nie jest cudowna? — szepnęła z zachwytem pani Casson.

— O, niewątpliwie — stwierdził sucho pan Satterthwaite.

Seans odbył się w bibliotece. Pan Satterthwaite widział niechęć gospodyni. Jedyne wyraźny zachwyty

gości zmusił ją do pogodzenia się z losem.

Stosownymi przygotowaniami zajęła się pani Casson, najwyraźniej dobrze obznajomiona z tymi sprawami. Krzesła ustawiono w koło, zaciągnięto zasłony i medium obwieściło, że jest gotowe.

— Sześć osób — stwierdziła, rozglądając się po pokoju.

— To niedobrze. Musimy mieć nieparzystą liczbę. Siódemka jest idealna. Najlepsze rezultaty osiągam w kole z siedmiu osób.

— Może ktoś ze służby — zaproponował Roley. Wstał z krzesła. — Odszukam lokaja.

— Weźmy Clayton — rzuciła Margery.

Pan Satterthwaite dojrzał przelotny grymas irytacji na przystojnej twarzy Roleya Vavasoura.

— Dlaczego akurat Clayton? — zapytał.

— Nie lubisz jej — stwierdziła wolno Margery. Roley wzruszył ramionami.

— To ona mnie nie lubi . — powiedział kapryśnie. — Właściwie nie cierpi mnie jak trucizny. — Czekał przez kilka chwil, lecz Margery nie wycofała się. — No dobrze — stwierdził na koniec. — Niech tu przyjdzie.

Utworzono koło.

Zapadła cisza, przerywana zwyczajowymi pokasływaniem i szuraniem krzesła. Po chwili rozległo się pukanie i głos przewodnika medium — Indianina z plemienia Czirokezów.

— Indianin Mężny mówi wam, panie i panowie, dzień dobry. Ktoś tutaj bardzo chce mówić. Chce przekazać wiadomość dla młodej damy. Duch powie, po co przyszedł.

Chwila ciszy, a potem nowy głos, cichy, kobiecy:

— Czy jest tu Margery? Odpowiedzi podjął się Roley Vavasour.

— Tak — odparł — jest tutaj. Kto mówi?

— Jestem Beatrice.

— Beatrice? A kim jest Beatrice?

Ku irytacji zebranych ponownie rozległ się głos Indianina.

— Mam wiadomość dla wszystkich. Życie tu jest jasne i piękne. Ciężko pracujemy. Pomagamy tym, którzy jeszcze nie przeszli na drugą stronę.

Znów zapadła cisza, a potem usłyszeli głos kobiety.

— Mówi Beatrice.

— Jaka Beatrice?

— Beatrice Barron.

Pan Satterthwaite pochylił się do przodu. Był bardzo podekscytowany.

— Beatrice Barron, która utonęła na — „Uralii”?

— Tak. Pamiętam — „Uralię”. Mam wiadomość dla tego domu: — Oddaj to, co nie twoje.

— Nie rozumiem — powiedziała bezradnie Margery. — Czy... czy ty naprawdę jesteś ciotką Beatrice?

— Tak, jestem twoją ciotką.

— Oczywiście, że to ona — odezwała się z naganą pani Casson. — Jak możesz być tak podejrzliwa? Duchy tego nie lubią.

I nagle panu Satterthwaite’owi przyszedł do głowy bardzo prosty test. Głos drżał mu nieco, kiedy zapytał:

— Pamiętasz pana Botticetti? Natychmiast rozległ się perlisty śmiech.

— Biedny stary Wywrotka. Oczywiście.

Pan Satterthwaite osłupiał. Test został zaliczony. To wydarzyło się ponad czterdzieści lat temu, kiedy razem z córkami Barrona znaleźli się w tym samym nadmorskim kurorcie. Ich znajomy, młody Włoch, wypłynął łodzią, która wywróciła się do góry dnem, a Beatrice Barron przezwiała go Wywrotką. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek w tym pokoju o tym wiedział.

Medium poruszyło się i jęknęło.

— Wychodzi z transu — oznajmiła pani Casson. — Obawiam się, że więcej się dzisiaj nie dowiemy.

Do pokoju na powrót zajrzało słońce. Co najmniej dwie osoby były porządnie wystraszone.

Pan Satterthwaite poznał po pobladłej twarzy Margery, jak bardzo jest zaniepokojona. Kiedy pozbyli się pani Casson i medium, postarał się o rozmowę z gospodynią w cztery oczy.

— Chcę zadać pani dwa pytania, panno Margery. Kto dziedziczy tytuł i posiadłość w wypadku śmierci pani i pani matki?

— Chyba Roley Vavasour. Jego matka była najbliższą kuzynką mojej.

Pan Satterthwaite skinął głową.

— Chyba często tu bywał tej zimy — powiedział łagodnie. — Wybacz mi pani, że pytam, ale czy... czy on panią lubi?

— Trzy tygodnie temu poprosił mnie o rękę — odparła cicho. — Odmówiłam.

— Proszę mi wybaczyć, ale czy jest pani z kimś zaręczona?

Zarumieniła się.

— Tak — oznajmiła dobitnie. — Zamierzam wyjść za Noela Bartona. Matka wyśmiewa się ze mnie, uważa, że to absurd. Według niej to śmieszne, zaręczyć się z wikarym. Ciekawe, dlaczego! Powinien pan zobaczyć Noela na koniu.

— Och, na pewno. Bez wątpienia.

Do pokoju wszedł lokaj z telegramem na tacy. Margery otworzyła go pośpiesznie.

— Matka przyjeżdża jutro. Szkoda. Wolałabym, żeby nie wracała.

Pan Satterthwaite nie skomentował tego wyrazu rodzinnych uczuć. Może uznał, że są usprawiedliwione.

— W takim razie ja wracam do Londynu — mruknął.

4

Pan Satterthwaite nie był z siebie zadowolony. Czuł, że zostawił sprawę niezakończoną. To prawda, że wraz z powrotem lady Stranleigh skończyły się jego obowiązki, mimo to był pewny, że nie usłyszał jeszcze ostatniego słowa o tajemnicy Abbofs Mede.

Jednak dalszy rozwój wypadków okazał się tak poważny, że zupełnie go zaskoczył. Przeczytał o tym w porannej gazecie. „Baronowa umiera w kąpieli” — brzmiał tytuł w „Daily Megaphone”. Inne gazety były bardziej powściągliwe i delikatne, lecz fakt pozostał ten sam. Lady Stranleigh znaleziono w wannie; zmarła na skutek utonięcia. Przyjęto, że straciła przytomność i jej głowa zsunęła się pod wodę.

Lecz takie wyjaśnienie nie satysfakcjonowało pana Satterthwaite’a. Wezwawszy służącego, z mniejszą niż zwykle uwagą zajął się swoją toaletą i w dziesięć minut później jego wielki rolls-royce wywoził go z maksymalną prędkością z Londynu.

Jednakże kierował się nie do Abbofs Mede, ale do małej gospody odległej o jakieś piętnaście mil, noszącej dość dziwaczną nazwę „Pod Dzwonkami i Strojem Arlekina”. Z ogromną ulgą usłyszał, że pan Quin nadal tam przebywa. Po chwili stanął twarzą w twarz ze swoim przyjacielem.

Uchwycił jego ramię i, wzburzony, z miejsca przystąpił do rzeczy.

— Jestem ogromnie zdenerwowany. Musi mi pan pomóc. Mam okropne przeczucie, że może być już za późno — że ta miła dziewczyna jest następna w kolejce. A to naprawdę miła dziewczyna, miła do szpiku kości.

— Gdyby tylko wyjaśnił mi pan, o co chodzi? — powiedział z uśmiechem pan Quin.

Pan Satterthwaite spojrział na niego z wyrzutem.

— Przecież pan wie. Jestem absolutnie pewien, że pan wie. Ale opowiem panu.

Opisał swój pobyt w Abbofs Mede i jak zawsze przy panu Quinie opowiadanie sprawiło mu sporo przyjemności. Był elokwentny, subtelny, skrupulatny w przedstawianiu szczegółów.

— Widzi pan więc, że musi być jakieś wyjaśnienie — zakończył.

Spojrział na pana Quina z nadzieją, jak pies na swego pana.

— Ale to pan musi rozwiązać problem, nie ja — powiedział pan Quin. — Pan zna tych ludzi, ja — nie.

— Znałem córki Barrona czterdzieści lat temu — wyznał z dumą pan Satterthwaite.

Pan Quin skinął zachęcająco głową, a jego rozmówca oddał się wspomnieniom:

— Wtedy w Brighton, ten Botticetti–Wywrotka, to był głupi żart, ale jakże się śmialiśmy. Mój Boże, ależ byłem wtedy młody. Robiłem tyle głupstw. Pamiętam ich pokojówkę. Na imię miała Alice, taka malutka, bardzo dowcipna. Pocałowałem ją w korytarzu hotelu, i jedna z dziewcząt niemal mnie na tym przyłapała. Tyle lat minęło od tamtych czasów.

Raz po raz potrząsał głową i wzdychał. Potem spojrział na pana Quina.

— Więc nie może mi pan pomóc? — zapytał ze smutkiem. — Przy innych okazjach...

— Przy innych okazjach odniósł pan sukces wyłącznie dzięki własnym staraniom — dokończył z powagą pan Quin. — Myślę, że tym razem będzie tak samo. Na pana miejscu pojechałbym teraz do Abbofs Mede.

— Tak, tak. O tym właśnie myślałem. Nie namówię pana, żeby pojechał pan ze mną?

Pan Quin pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Ja wykonałem już swoją pracę i zaraz wyjeżdżam.

W Abbofs Mede pana Satterthwaite'a od razu zaprowadzono do Margery Gale. Miała suche oczy. Siedziała w gabinecie za zarzuconym dokumentami biurkiem. Jej powitanie wzruszyło go. Tak

wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

— Roley i Marcia właśnie wyjechali. Panie Satterthwaite, to nie jest tak, jak sądzą lekarze. Jestem przekonana, absolutnie przekonana, że matkę wepchnięto pod wodę i przytrzymano. Została zamordowana, i ktokolwiek to zrobił, zamierza zabić i mnie. Dlatego... — wskazała na leżący przed nią dokument. — Spisuję testament — wyjaśniła. — Sporo pieniędzy i część posiadłości nie przechodzi na spadkobiercę wraz z tytułem, poza tym są jeszcze pieniądze mojego ojca. Wszystko, co mogę, zostawiam Noelowi. Wiem, że dobrze to wykorzysta, a nie ufam Roleyowi — on zawsze chciał zagarnąć wszystko, co się da. Podpisze się pan jako świadek?

— Moja droga młoda damo — zaczął pan Satterthwaite — powinna pani podpisać testament w obecności dwóch świadków, którzy złożą własnoręczne podpisy.

Margery zlekceważyła te prawnicze pouczenia.

— To nie ma najmniejszego znaczenia — oznajmiła. — Clayton widziała, jak się podpisuję i potem złożyła swój podpis. Miałam wezwać lokaja, ale pan go zastąpi.

Pan Satterthwaite nie protestował dłużej. Odkręcił wieczne pióro i miał już złożyć swój podpis, kiedy nagle coś go powstrzymało. Nazwisko widniejące pod tekstem przywołało falę wspomnień. Alice Clayton.

Jakaś myśl usiłowała przedostać się do jego świadomości. Alice Clayton, to miało jakieś znaczenie. Łączyło się z panem Quinem. Z tym, co niedawno sam mu powiedział.

O, wreszcie sobie przypomniał. Alice Clayton, chodziło o nazwisko. „Taka malutka”. Ludzie zmieniają się, to prawda, ale nie aż tak! W dodatku Alice Clayton, którą on znał, miała brązowe oczy. Pokój zawirował wokół niego. Opadł na krzesło; po chwili, jakby z wielkiej odległości dobiegł go zaniepokojony głos Margery:

— Czy jest pan chory? Co się stało? Na pewno jest pan chory.

Odzyskał zmysły. Ujął jej dłoń.

— Moja droga, teraz wszystko rozumiem. Musi się pani przygotować na wielki szok. Kobieta, którą nazywa pani Clayton, wcale nią nie jest. Prawdziwa Alice Clayton utonęła na — „Uralii”.

Margery wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

— Kim... więc kim ona jest?

— Nie myślę się, nie mogę się mylić. Kobieta, która nazywasz Clayton, to siostra twojej matki, Beatrice Barron. Przypominasz sobie, opowiadałaś mi, że uderzyła ją w głowę część omasztowania? Zapewne cios spowodował utratę pamięci, a twoja matka dojrzała w tym szansę dla siebie...

— Żeby ukraść tytuł? — zapytała z goryczą Margery.

— Tak, zrobiłaby to. To okropne mówić takie rzeczy, kiedy ona już nie żyje, ale taka właśnie była.

— Beatrice jest starszą z sióstr — ciągnął pan Satterthwaite. — Po śmierci wuja odziedziczyłyby wszystko; twoja matka nic by nie dostała. Więc oznajmiła, że ranna kobieta to jej pokojówka, a nie siostra. Dziewczyna wyzdrowiała i uwierzyła w to, co jej powiedziano. Później zapewne pamięć zaczęła jej stopniowo wracać, lecz uderzenie spowodowało trwałe uszkodzenie mózgu.

Margery patrzyła na niego z przerażeniem.

— Zabiła matkę i chciała zabić mnie — szepnęła.

— Na to wygląda — potwierdził pan Satterthwaite.

— Kierowała nią tylko jedna, niejasna myśl: że ukradziono jej dziedzictwo, i że uczyniła to pani i pani matka.

— Ale... ale Clayton jest taka stara.

Pan Satterthwaite milczał przez chwilę, wpatrzony w obraz, który pojawił się przed jego oczami: przekwitła, stara kobieta o siwych włosach i promienne, złotowłose stworzenie siedzące w blasku słońca w Cannes. Siostry! Czy to możliwe? Pamiętał Barronówny; były do siebie bardzo podobne. Lecz ponieważ ich życie potoczyło się dwoma zupełnie innymi drogami...

Potrząsnął gwałtownie głową, przejęty cudownością i nędzą świata...

Zwrócił się do Margery i zaproponował łagodnie:

— Chodźmy do niej na górę.

Znaleźli ją w malutkiej pracowni, gdzie zwykle szła. Nie odwróciła głowy, kiedy weszli. Pan Satterthwaite szybko odkrył powód.

— Atak serca — powiedział półgłosem, dotykając zimnego, sztywnego ramienia. — Może to najlepsze rozwiązanie.

Rozdział ósmy

Pan Satterthwaite był w operze i siedział samotnie w swojej łoży na piętrze. Na drzwiach wisiała wydrukowana karteczka z jego nazwiskiem. Ten smakosz i koneser wszelkich dziedzin sztuki szczególnie lubił dobrą muzykę i co roku nabywał abonament do Covent Garden, rezerwując łożę na wtorki i piątki na cały sezon.

Rzadko jednak siedział w niej sam. Był człowiekiem towarzyskim i lubił, gdy jego łożę zapełniała elita wielkiego świata, do którego sam należał, oraz arystokracja świata artystycznego, w którym czuł się równie swobodnie. Tego wieczora był sam, ponieważ zawiodła go pewna hrabina — kobieta nie tylko piękna i podziwiana, ale i dobra matka. Jej dzieci dopadła pospolita i przygnębiająca choroba — świnka, więc została w domu, oddając się płaczliwym pogawędkom z doskonale wyszkolonymi pielęgniarkami. Jej mąż, za którego sprawą posiadała wyżej wymienioną dziatwę i szlachecki tytuł, a który poza tym był kompletnym zerem, skorzystał z okazji, by uciec. Nic nie nudziło go bardziej niż muzyka.

Tak więc pan Satterthwaite siedział samotnie. Tego wieczoru wystawiano Rycerskość wieśniaczą i Pajace, a ponieważ pierwsza opera nigdy nie znalazła jego uznania, zjawił się tuż po opuszczeniu kurtyny, po śmiertelnej agonii Santuzzy, w samą porę, by wprawnym okiem rozejrzeć się po widowni, zanim tłum wypłynie z sali, aby składać sobie wzajemne wizyty w łożach lub walczyć o kawę i lemoniadę. Pan Satterthwaite nastawił ostrość w lornetce, patrzył przez nią chwilę, wreszcie odszukał swoją ofiarę i wyruszył ku niej ze starannie opracowanym planem czekającej go kampanii. Jednakże nie zrealizował zamiarów, gdyż zaraz po wyjściu z łoży zderzył się z wysokim, śniadym mężczyzną. Rozpoznał go z miłym dreszczem podniecenia.

— Pan Quin! — zawołał.

Uchwycił serdecznym gestem dłoń przyjaciela, ściskając ją tak mocno, jakby bał się, że ten za moment rozplynie się w powietrzu.

— Musi pan usiąść w mojej łoży — zaczął nalegać. — Jest pan tu z kimś?

— Nie, siedzę sam na parterze — odparł z uśmiechem pan Quin.

— W takim razie to ustalone — pan Satterthwaite westchnął z ulgą.

Gdyby ktokolwiek obserwował go w tej chwili, musiałby uznać jego zachowanie za komiczne.

— Jest pan bardzo miły.

— Wcale nie. To dla mnie przyjemność. Nie wiedziałem, że lubi pan muzykę.

— Są pewne powody, dla których interesują mnie właśnie Pajace.

— Ach, oczywiście — pan Satterthwaite pokiwał mądrze głową, choć gdyby go ktoś zapytał, nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego to powiedział. — Oczywiście.

Wrócili do łoży na sygnał pierwszego dzwonka i przechyliwszy się nad balustradą obserwowali tłum zajmujący miejsca na parterze.

— Jaka piękna głowa — zauważył w pewnej chwili pan Satterthwaite.

Wskazał lornetką fotel tuż pod nimi. Siedziała w nim dziewczyna, której twarzy nie mogli zobaczyć — jedynie czyste złoto jej włosów, harmonizujących z nakryciem głowy, spod którego wyłaniała się biała szyja.

— Grecka głowa — powiedział z podziwem pan Satterthwaite. — Prawdziwie grecka. — Westchnął ze szczęścia. — To wyjątkowe, gdy się nad tym zastanowić: jak niewielu ludzi ma włosy, które do nich pasują. Jeszcze bardziej widać to teraz, gdy każda kobieta ma tak krótką fryzurkę.

— Jest pan bardzo spostrzegawczy — stwierdził pan Quin.

— Sporo widzę — przyznał pan Satterthwaite. — Naprawdę sporo. Na przykład tę głowę od razu zauważyłem. Musimy przyjrzeć się jej twarzy, jak tylko nadarzy się okazja. Na pewno nie będzie pasowała. To byłaby jedna szansa na tysiąc.

Kiedy tylko to powiedział, światła przygasły, dyrygent zastukał głośno batutą i rozpoczęło się przedstawienie. Tego wieczoru występował nowy tenor, okrzyknięty drugim Carusem. Gazety z godną podziwu bezstronnością opisywały go jako Jugosławianina, Czecha, Albańczyka, Węgra lub Bułgara. Dał wspaniały koncert w Albert Hall — śpiewał pieśni ludowe ze swych rodzinnych gór; towarzyszyła mu specjalnie dobrana orkiestra. Grali w nietypowej tonacji i muzycy—amatorzy uznali ją za „nazbyt osobliwą”. Natomiast prawdziwi znawcy powstrzymali się od osądu, świadomi, że przed wyrażeniem jakiegokolwiek krytyki trzeba by specjalnie wytrenować i dostroić ucho. Niektórzy z ulgą przekonali się tego wieczoru, że Yoaschbim potrafi śpiewać tradycyjne włoskie pieśni właściwym dla nich, płaczącym i drżącym głosem.

Gdy kurtyna opadła po pierwszym akcie, wybuchł głośny aplauz. Pan Satterthwaite zwrócił się do pana Quina. Wiedział, że towarzysz czeka na jego ocenę, a to napełniało go pewną dumą. Ostatecznie znał się na tym. Jako krytyk był prawie nieomylny.

Bardzo powoli pokiwał głową.

— To jest coś — orzekł.

— Tak pan uważa?

— Głos równie wspaniały, jak Carusa. Póki co nikt tego nie dostrzeże, gdyż jego technice brakuje jeszcze doskonałości. Kończy partie niestaramie, jest niepewny w ataku. Ale ma głos, i to wspaniały.

— Byłem na jego koncercie w Albert Hall — powiedział pan Quin.

— Naprawdę? Ja nie mogłem.

— Jego Pieśń pasterza odniosła wielki sukces.

— Czytałem o tym — przyznał pan Satterthwaite.

— Refren kończy się wysoką nutą, niemal krzykiem. Tonem między as i bes. To rzadko spotykane.

Yoaschbim trzykrotnie wychodził przed kurtynę, kłaniając się z uśmiechem. Zapaliły się światła i publiczność zaczęła opuszczać salę. Pan Satterthwaite wychylił się, by obserwować dziewczynę ze złotymi włosami. Wstała, poprawiła szal i odwróciła się.

Pan Satterthwaite wstrzymał oddech. Wiedział, że niegdyś istniały takie twarze — twarze, które zmieniały bieg historii.

Dziewczyna ruszyła ku wyjściu, a obok szedł towarzyszący jej młody człowiek. Pan Satterthwaite widział, jak każdy mężczyzna w pobliżu spogląda na nią i nie przestaje się przyglądać, tyle że ukradkiem.

— Piękno! — powiedział do siebie pan Satterthwaite.

— Naprawdę istnieje. Nie urok, atrakcyjność, magnetyzm — słowa, którymi szafujemy — ale czyste piękno. Kształt twarzy, łuk brwi, zarys podbródka. — Zacytował cicho:

— „Twarz, która tysiąc okrętów wyprawiała w morze”.

— I po raz pierwszy uświadomił sobie znaczenie tego zwrotu.

Zerknął na pana Quina, który obserwował go z tak pełnym zrozumieniem, że wyjaśnienia stały się zbędne.

— Zawsze zastanawiałem się — powiedział tylko — jakie naprawdę są takie kobiety?

— To znaczy?

— Te Heleny, Kleopatry, Marie Stuart. Pan Quin pokiwał w zamyśleniu głową.

— Jeśli wyjdziemy teraz — powiedział — być może się dowiemy.

Wyszli razem i ich decyzja okazała się słuszna. Para, której szukali, siedziała na kanapie w połowie schodów prowadzących na piętro. Po raz pierwszy pan Satterthwaite zwrócił uwagę na towarzysza dziewczyny: młodego, ciemnowłosego mężczyznę, niezbyt przystojnego, lecz zdającego się płonąć wewnętrznym, niespokojnym ogniem. Twarz miał kanciastą, wystające kości policzkowe, silną, lekko wygiętą szczękę, zaskakująco jasne oczy osadzone głęboko pod czarnymi, nachodzącymi na nie brwiami.

— Ciekawa twarz — powiedział do siebie pan Satterthwaite. — Prawdziwa. Wiele wyraża.

Młody człowiek, pochylony do przodu, mówił coś z ożywieniem. Dziewczyna słuchała. Żadne z nich nie należało do świata pana Satterthwaite'a. Uznał, że oboje pozują na artystów. Dziewczyna miała na sobie bezkształtną suknię z taniego zielonego jedwabiu, do tego zabrudzone pantofle z białego atłasu. Mężczyzna czuł się niezbyt wygodnie w wieczorowym stroju.

Dwaj panowie przeszli kilkakrotnie w tę i z powrotem. Kiedy robili to po raz czwarty, do siedzącej pary dołączyła trzecia osoba: jasnowłosy młodzieniec, wyglądający na urzędnika. Wraz z jego przybyciem pojawiło się napięcie. Blondyn miał nerwowo krawat i wydawał się skrępowany, dziewczyna zwróciła swą piękną twarz ku niemu i patrzyła nań z powagą, a jej towarzysz rzucał mu wściekłe spojrzenia.

— Zwyczajna sprawa — orzekł miękko pan Quin, gdy przechodzili obok.

— Tak — zgodził się z westchnieniem pan Satterthwaite. — Nie sposób tego uniknąć. Dwa psy walczą o kość. Zawsze tak było i będzie. A jednak można by pragnąć czegoś więcej. Piękno... — urwał. Piękno dla pana Satterthwaite'a oznaczało coś wspaniałego. Trudno mu było o tym mówić. Spojrzał na pana Quina, który z powagą skinął głową na znak zrozumienia.

Wrócili na swoje miejsca, by obejrzeć drugi akt. Kiedy przedstawienie dobiegło końca, pan Satterthwaite z ożywieniem zwrócił się do przyjaciela:

— Noc jest deszczowa. Mam tu swój samochód. Proszę się zgodzić, bym zawiózł pana... dokądś. — Ostatnie słowo podyktowała mu wrodzona delikatność. Czuł, że zwrot „odwiozę pana do domu” graniczyłby ze wścibstwem. A pan Quin zawsze był wyjątkowo powściągliwy. Aż dziw, jak niewiele pan Satterthwaite o nim wiedział. — Chyba że — ciągnął teraz — na pana również czeka szofer?

— Nie — odparł pan Quin. — W takim razie...

Lecz pan Quin pokręcił przecząco głową.

— Jest pan ogromnie miły — powiedział — ale wolę iść własną drogą. Poza tym — dodał z dość osobliwym uśmiechem — gdyby coś się wydarzyło, to pan powinien działać. Dobranoc i dziękuję. Obejrzelismy razem kolejny dramat.

Odszedł tak szybko, że pan Satterthwaite nie miał czasu zaprotestować. Został sam z lekkim uczuciem niepokoju zakłócającym jego myśli. O jakim dramacie mówił pan Quin? O Pajacach? Czy o czymś innym?

Masters, szofer pana Satterthwaite'a, miał zwyczaj parkować w bocznej uliczce. Jego pan nie lubił długiego oczekiwania, gdy kolejne samochody podjeżdżały pod gmach opery. Teraz, podobnie jak zwykle, skręcił szybko za róg i poszedł ulicą tam, gdzie, jak wiedział, znajdzie czekającego nań Mastersa. Tuż przed nim szła jakaś para. Właśnie kiedy ich rozpoznał, dołączył do nich drugi mężczyzna.

Wszystko rozegrało się w ciągu minuty. Męski głos, podniesiony w gniewie. Głos drugiego mężczyzny, protestujący z urazą. A potem bójka. Uderzenia, pełne wściekłości oddechy, kolejne

ciosy, postać policjanta pojawiająca się majestatycznie nie wiadomo skąd. W następnej chwili pan Satterthwaite znalazł się obok dziewczyny, która cofnęła się pod ścianę.

— Proszę za mną — rzucił. — Nie może pani tu zostać.

Wziął ją pod ramię i pośpiesznie poprowadził w dół ulicy. Obejrzała się tylko raz.

— Czy nie powinnam...? — zaczęła niepewnie. Pan Satterthwaite pokręcił przecząco głową.

— Gdyby się pani w to wmieszała, czekałoby panią mnóstwo nieprzyjemności. Prawdopodobnie musiałaby pani pójść wraz z nimi na posterunek policji. Na pewno żaden z pani... przyjaciół by tego nie chciał. — Przystanął. — To mój samochód. Jeśli pani pozwoli, z przyjemnością odwiozę panią do domu.

Dziewczyna spojrzała na niego badawczo. Stateczność i powaga pana Satterthwaite'a zrobiły na niej dobre wrażenie. Skinęła głową.

— Dziękuję — powiedziała i wsiadła do samochodu, gdy Masters otworzył przed nią drzwi.

W odpowiedzi na pytanie pana Satterthwaite'a podała adres w Chelsea. Pan Satterthwaite wsiadł za nią.

Była zdenerwowana, w nastroju nie sprzyjającym rozmowie, a pan Satterthwaite miał zbyt wiele taktu, by odrywać dziewczynę od pochłaniających ją myśli. Jednak po chwili zwróciła się ku niemu i powiedziała:

— Chciałabym — zaczęła rozdrażniona — by ludzie nie byli tak głupi.

— To irytujące — zgodził się pan Satterthwaite. Jego praktyczne podejście ośmieliło ją. Mówiła dalej, jakby czuła potrzebę zwierzeń.

— To nie było tak, że... to znaczy, cóż, to jest tak: pan Eastney i ja przyjaźnimy się od dawna, odkąd przyjechałam do Londynu. Dokładał wszelkich starań w sprawie mojego głosu i załatwił mi kilka bardzo ważnych przesłuchań. Był miłszy, niż mogłabym to wyrazić słowami. Szaleje na punkcie muzyki. To było przesympatyczne z jego strony, że zaprosił mnie dzisiaj do opery. Jestem pewna, że nie bardzo może sobie na to pozwolić. A potem zjawił się pan Burns i zaczął z nami rozmawiać. Był bardzo miły, ale Phil, to znaczy pan Eastney, strasznie się naburmuszył. Nie wiem, dlaczego. To przecież wolny kraj. Za to pan Burns zawsze jest miły i w dobrym humorze. Właśnie kiedy szliśmy do metra przyłączył się do nas i zdążył powiedzieć ze dwa słowa, kiedy Philip rzucił się na niego jak wariat. I... Och, wcale mi się to nie podobało.

— Czyżby? — rzucił miękko pan Satterthwaite.

Zarumieniła się, ale tylko odrobinę. Nie miała w sobie nic z kokietki. Musiała odczuć przyjemne podniecenie, gdy o nią walczone, ale to całkiem naturalne. Pan Satterthwaite uznał jednak, że teraz jest przede wszystkim zmartwiona i zdenerwowana. Dowiedział się, dlaczego, gdy rzuciła bez związku:

— Mam nadzieję, że go nie zranił.

Ciekawe, o którego jej chodzi? — pomyślał pan Satterthwaite i uśmiechnął się do siebie w ciemności. Opierając się na własnym osądzie, zapytał:

— To znaczy, ma pani nadzieję, że pan... Eastney nie zranił pana Burnsa?

Przytaknęła.

— Tak, o tym mówiłam. Wyglądało to okropnie. Szkoda, że nic nie wiem.

Samochód zwalniał.

— Ma pani telefon?

— Tak.

— Jeśli pani chce, dowiem się dokładnie, co się stało i zadzwonię do pani.

Jej twarz rozjaśniła się.

— Och, to byłoby bardzo miłe z pana strony. Na pewno nie sprawi to panu kłopotu?

— Żadnego.

Podziękowała mu powtórnie i podała swój numer telefonu, dorzucając na koniec nieśmiało:

— Nazywam się Gillian West.

Kiedy pan Satterthwaite jechał pośród nocy, by zrealizować przyrzeczenie, na jego ustach pojawił się dziwny uśmiezek.

A więc to wszystko — pomyślał — „kształt twarzy, zarys podbródka”.

Mimo to dotrzymał obietnicy.

2

W niedzielę po południu pan Satterthwaite wybrał się do Kew Gardens, by podziwiać rododendrony. Bardzo dawno temu (wręcz niewiarygodnie dawno, jak mu się wydawało) pojechał tam wraz z pewną młodą damą, aby oglądać dzwonki. Wcześniej starannie zaplanował w myślach, co powiedzieć, co do słowa ustalając, w jaki sposób poprosić młodą damę o rękę. Właśnie powtarzał to sobie i niezbyt przytomnie odpowiadał na jej zachwyty nad kwiatkami, gdy doznał szoku. Młoda dama przerwała entuzjastyczne okrzyki i nieoczekiwanie zwierzyła się panu Satterthwaite'owi (jako

prawdziwemu przyjacielowi) ze swej miłości do innego. Pan Satterthwaite odsunął na bok przygotowaną mowę i pośpiesznie odszukał na dnie serca współczucie i przyjaźń.

Tak wyglądał jego romans — niezbyt namiętny, wiktoriański, jednak pozostawił w nim romantyczne przywiązanie do Kew Gardens i często jeździł do parku podziwiać dzwonki lub, jeśli wyjechał za granicę później niż zazwyczaj, rododendrony. Wzdychał w sentymentalnym nastroju i na swój staroświecki, romantyczny sposób naprawdę dobrze się bawił.

Tego popołudnia wracał wolno obok herbaciarni, kiedy przy jednym ze stolików ustawionych na trawie spostrzegł znajomą parę. Byli to Gillian West i jasnowłosy młody człowiek. Rozpoznali go w tej samej chwili. Dziewczyna zarumieniła się i powiedziała coś szybko do towarzysza. Po chwili ścisnął ich dłonie poprawnie i dość chłodno, jak to miał w zwyczaju. Przyjął nieśmiało zaproszenie na herbatę.

— Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny, że zaopiekował się pan Gillian wczoraj wieczór — powiedział pan Burns. — Wszystko mi opowiedziała.

— Tak, naprawdę był pan przemiły — dołączyła się dziewczyna.

Panu Satterthwaite'owi słowa te sprawiły przyjemność. Był żywo zainteresowany tą parą; wzruszała go ich naiwność i szczerłość, w dodatku dzięki nim mógł rzucić okiem na świat, którego nie znał zbyt dobrze. Oboje należeli do klasy zupełnie mu obcej.

Na swój trochę suchy sposób potrafił być bardzo życzliwy. Wkrótce dowiedział się wszystkiego. Zauważył, że pan Burns stał się „Charliem” i nie zaskoczyło go wyznanie, że on i Gillian są zaręczeni.

— Właściwie stało się to właśnie dzisiaj popołudnia, prawda, Gil? — przyznał pan Burns z zachwycającą otwartością.

Burns był urzędnikiem w firmie spedycyjnej. Miał przyzwoitą pensję, trochę własnych pieniędzy, więc postanowili pobrać się dość szybko.

Pan Satterthwaite słuchał, kiwał głową, złożył im gratulacje.

Zwyczajny młody człowiek — myślał. — Bardzo zwyczajny. Miły, bezpośredni, dużo za nim przemawia; ma o sobie dobre mniemanie, ale nie jest zarozumiały, jest przystojny, ale nie przesadnie. Niczym się nie wyróżnia i prochu nie wymyśli. A dziewczyna go kocha...

Na głos powiedział:

— A pan Eastney...?

Urwał celowo, lecz powiedział dość, by spowodować reakcję, na którą był przygotowany. Twarz Charlie'ego Burnsa pociemniała, a Gillian wyglądała na zmieszaną. Nawet więcej — pomyślał. Była wystraszona.

— To mi się nie podoba — odezwała się cicho. Skierowała te słowa do pana Satterthwaite'a, jakby instynktownie wiedziała, że zrozumie uczucie zupełnie niezrozumiałe dla jej kochanka. — Widzi pan, zrobił dla mnie wiele dobrego. Zachęcał mnie, bym zajęła się śpiewem i pomógł mi zacząć. Ale ja wiedziałam od początku, że naprawdę wcale nie mam dobrego głosu, nie pierwszej klasy. Oczywiście, dostałam kilka angaży... — Urwała.

— I kilkakrotnie wpakowałaś się w kłopoty — dorzucił Burns. — Każda dziewczyna chce, żeby ktoś się nią zaopiekował. Gillian spotkało sporo nieprzyjemności, panie Satterthwaite. W sumie spotykały ją przede wszystkim nieprzyjemności. Jest ładna, sam pan widzi, i... cóż, to często przysparza dziewczynie kłopotów.

Razem objaśnili pana Satterthwaite'a co do natury wydarzeń, które Burns niejasno zakwalifikował jako „nieprzyjemności”: młody człowiek, który postrzelił się, dyrektor banku (człowiek żonaty!) zachowujący się nieprzyzwoicie, napastliwy obcy (najwyraźniej szaleniec), starszy artysta poczynający sobie jak dzikus. Ślad nieszczęść i tragedii, jaki zostawiła za sobą Gillian West, został opisany przez Charlesa Burnsa tonem, jakim mówi się o rzeczach banalnych.

— Moim zdaniem — zakończył — ten Eastney jest odrobinę stuknięty. Gdybym nie zjawił się i nie zajął się nią, Gillian wpadłaby znów w tarapaty.

Jego śmiech zabrzmiał dla pana Satterthwaite'a trochę głupkowato i zarozumiale. Dziewczyna nie odpowiedziała mu uśmiechem. Patrzyła z powagą na pana Satterthwaite'a.

— Phil jest w porządku — stwierdziła wolno. — Zależy mu na mnie, zresztą mnie też na nim zależy, jak na przyjacielu, ale... ale nie ma w tym nic więcej. Nie wiem, jak przyjmie wiadomość o zaręczynach. Boję się, że... — Urwała, nie znajdując słów w obliczu przeczuwanego zagrożenia.

— Jeśli w jakikolwiek sposób mogę pani pomóc — powiedział ciepło pan Satterthwaite — proszę mną rozporządzać.

Wydało mu się, że Charlie Burns spogląda na niego z urazą, ale Gillian szybko odpowiedziała:

— Dziękuję panu.

Pan Satterthwaite opuścił nowych znajomych obiecawszy, że w następny czwartek wypiją razem herbatę.

Gdy ów czwartek nadszedł, poczuł dreszczyk miłego oczekiwania. Jestem starym człowiekiem — myślał — lecz nie tak starym, by nie zachwycała mnie piękna twarz. Twarz... — Pokręcił głową, przeczuwając coś złego.

Gillian była sama. Charlie Burns miał zjawić się później. Wydawała się o wiele szczęśliwsza, jakby zdjęto jej z serca wielki ciężar. Zresztą sama to przyznała.

— Bałam się powiedzieć Philowi o Charlie'em. To było głupie z mojej strony, powinnam lepiej znać Phila. Oczywiście, zdenerwował się, ale nikt nie mógłby zareagować milej. Naprawdę. Niech pan spojrzy, co przysłał mi dziś rano. To prezent ślubny. Czyż nie jest wspaniały?

Był to rzeczywiście wspaniały podarunek, biorąc pod uwagę sytuację Philipa Eastneya: najnowszy model radia tranzystorowego.

— Oboje kochamy muzykę — wyjaśniała dziewczyna. — Phil powiedział, że kiedy będę słuchała koncertów, powinnam go wspomnieć. Na pewno to zrobię. Byliśmy przecież bliskimi przyjaciółmi.

— Musi być pani dumna z takiego przyjaciela — powiedział pan Satterthwaite łagodnie. — Przyjął cios jak prawdziwy sportowiec.

Gillian skinęła głową. Dostrzegł łzy napływające jej do oczu.

— Poprosił, bym zrobiła dla niego jedno. Dzisiaj wypada rocznica naszego pierwszego spotkania. Chciał, bym została w domu i spędziła spokojny wieczór słuchając radia, zamiast wychodzić gdzieś z Charliem. Powiedziałam, że zrobię to, oczywiście, i że jestem bardzo wzruszona, że będę myślała o nim z wdzięcznością i uczuciem.

Pan Satterthwaite pokiwał głową, ale był zaskoczony. Rzadko mylił się w ocenie charakteru i uznałby Philipa Eastneya za absolutnie niezdolnego do podobnie sentymentalnej prośby. Ten człowiek musiał być bardziej banalny, niż przypuszczał. Natomiast Gillian wyraźnie uważała cały pomysł za zupełnie zgodny z naturą odrzuconego adoratora. Pan Satterthwaite był odrobinę — ale tylko odrobinę — rozczarowany. Sam był sentymentalny i zdawał sobie z tego sprawę, ale od reszty świata oczekiwał czegoś lepszego. Poza tym sentymentalizm przynależał ludziom w jego wieku; współczesny świat nie zostawił dlań miejsca.

Poprosił Gillian, by mu coś zaśpiewała, a ona spełniła jego prośbę. Powiedział, że ma czarujący głos, ale doskonale wiedział, że był to głos zdecydowanie drugiej kategorii. Każdy sukces, jaki osiągnęłyby w tym zawodzie, zawdzięczałaby swej twarzy, a nie głosowi.

Niezbyt palił się do ponownego spotkania z młodym Burnsem, więc wstał, gotów do odejścia. W tej samej chwili jednak jego uwagę przyciągnął przedmiot stojący na kominku, wyglądający pośród zgromadzonej tam tandety jak klejnot na wysypisku śmieci.

Był to pełen wdzięku gięty puchar z cienkiego zielonego szkła, na długiej nóżce; na jego brzegu widniało coś na kształt wielkiej bańki mydlanej z opalizującego szkła. Gillian dostrzegła jego zaciekawienie.

— To dodatkowy prezent ślubny od Phila. Jest dość ładny, prawda? Phil pracuje w fabryce szkła.

— Jest piękny — powiedział z szacunkiem pan Satterthwaite. — Nawet dmuchacze szkła z Murano byliby z niego dumni.

Odszedł z obudzonym ponownie zainteresowaniem Philipem Eastneyem. Nadzwyczajny młody człowiek. A mimo to dziewczyna o cudownej twarzy wołała Charlie'ego Burnsa. Dziwaczny i niezbadany jest ten świat!

Przyszło mu do głowy, że z powodu nadzwyczajnej urody Gillian West wieczór, jaki spędził z panem

Quinem, do niczego nie doprowadził. A przecież z zasady każde spotkanie z tą zagadkową postacią kończyło się jakimś zdarzeniem — dziwnym i nieoczekiwanym. W nadziei spotkania tajemniczego znajomego pan Satterthwaite skierował swe kroki do restauracji „Arlecchino”, gdzie niegdyś napotkał pana Quina i gdzie, wedle swoich słów, pan Quin często bywał.

Przechodził z sali do sali, rozglądając się wokół, lecz nigdzie nie dostrzegł śniadej, uśmiechniętej twarzy przyjaciela. Znalazł jednak kogoś innego. Przy małym stoliku siedział samotnie Philip Eastney.

Restauracja była zatłoczona, więc pan Satterthwaite zajął miejsce naprzeciw niego. Nagle ogarnęło go uczucie triumfu, zupełnie jakby wreszcie złapano go i wpleciono w połyskującą kanwę wydarzeń. Cokolwiek się działo, znalazł się w samym centrum. Teraz rozumiał, co miał na myśli pan Quin tamtego wieczoru w operze. Toczył się dramat i była w nim jedna, ważna rola przeznaczona dla pana Satterthwaite’a. Nie wolno mu zawieść: musi wyrecytować swoją kwestię.

Dołączył do Philipa Eastneya z uczuciem, że robi to, co nieuniknione. Łatwo było nawiązać rozmowę. Eastney aż palił się do zwierzeń. Jak zawsze, pan Satterthwaite przyjął rolę zachęcającego do rozmowy, życzliwego słuchacza. Mówili o wojnie, ładunkach wybuchowych, gazach trujących, o których Eastney miał wiele do powiedzenia, gdyż przez większą część wojny był zatrudniony w fabryce gazów bojowych. Pan Satterthwaite stwierdził, że jest on naprawdę interesującym rozmówcą.

Ponoć jednego gazu nigdy nie użyto. Zbyt szybko nadeszło zawieszenie broni. A wiele się po nim spodziewano. Jeden oddech wystarczał, by zabić. Eastney opowiadał o tym z ożywieniem.

Przełamawszy lody, pan Satterthwaite łagodnie naprowadził konwersację na muzykę. Chuda twarz Eastneya rozjaśniła się. Mówił z pasją i oddaniem prawdziwego miłośnika muzyki. Dyskutowali o Yoaschbimie, a młody człowiek wyrażał się o nim entuzjastycznie. Obaj z panem Satterthwaite’em zgodzili się, że nic na ziemi nie dorówna doskonałemu tenorowi. Jako chłopiec Eastney słyszał Carusa i nigdy tego nie zapomniał.

— Wie pan, że potrafił rozbić swoim śpiewem kieliszek? — zapytał.

— Zawsze wkładałem to między bajki — powiedział z uśmiechem pan Satterthwaite.

— Otóż nie, ja wierzę, że to szczerą prawdą. To jest możliwe. Chodzi o rezonans.

Zagłębił się w techniczne szczegóły. Na twarzy miał wypieki, oczy mu błyszczały. Temat najwyraźniej go fascynował i, jak zauważył pan Satterthwaite, doskonale wiedział, o czym mówi. Zorientował się również, iż jego rozmówca obdarzony jest niespotykanym umysłem, który można by opisać niemal jako umysł geniusza. Błyskotliwego, niekonsekwentnego, niezdecydowanego jeszcze, w jakiej dziedzinie dać upust swoim zdolnościom — lecz niewątpliwie geniusza.

Pomyślał o Charlie’em Burnsie i zdziwił go wybór Gillian West.

Z zaskoczeniem uświadomił sobie, jak późno się zrobiło, i poprosił o rachunek. Eastney spojrzał na

niego przeprasząco.

— Wstyd mi, że tak się rozgadałem — powiedział.

— Zesłał mi pana los, to naprawdę był szczęśliwy przypadek. Musiałem... musiałem z kimś porozmawiać.

— Roześmiał się dziwacznie. Oczy wciąż płonęły mu tłumionym podnieceniem, a w całej jego postaci było coś... tragicznego.

— Sprawił mi pan ogromną przyjemność — powiedział pan Satterthwaite. — Nasza rozmowa była niezwykle interesująca, sporo się dowiedziałem.

Uklonił się na swój śmieszny, przesadnie uprzejmy sposób i wyszedł z restauracji. Noc była ciepła; gdy szedł wolno ulicą, opanowało go dziwaczne wrażenie — że nie jest sam, że ktoś idzie u jego boku. Daremnie powtarzał sobie, że to tylko złudzenie — uczucie nie zniknęło. Ktoś szedł obok niego ciemną, cichą ulicą, ktoś, kogo nie mógł dojrzeć. Zastanawiał się, co sprawiło, że przed oczami stanęła mu wyraźnie postać pana Quina. Zupełnie jakby to właśnie on kroczył obok, mimo iż wzrok zapewniał pana Satterthwaite'a, że to nieprawda — że jest sam.

Lecz wrażenie nie zniknęło, a wraz z nim pojawiło się następne: niepokój, przygnębiające przecucie jakiegoś nieszczęścia. Musiał coś zrobić, i to szybko. Działo się coś bardzo złego i tylko on mógł to naprawić.

Uczucie było tak silne, że pan Satterthwaite nie próbował z nim walczyć. Zamiast tego zamknął oczy i starał się dokładniej zobaczyć pana Quina. Gdyby tylko mógł go zapytać — lecz od razu zrozumiał, że to bez sensu. Pytanie pana Quina o cokolwiek było bezcelowe

„Wszystkie nici trzyma pan w ręku” — powiedziała by pan Quin.

Nici. Jakie nici? Uważnie przeanalizował własne odczucia i wrażenia. To przecucie niebezpieczeństwa: kogo dotyczyło?

Natychmiast w jego wyobraźni pojawił się obraz Gillian West, siedzącej samotnie i słuchającej radia.

Pan Satterthwaite rzucił pensa mijającemu go gazeciarzowi i chwycił gazetę. Pośpiesznie otworzył ją na stronie z programem londyńskiej rozgłośni. Z zainteresowaniem przeczytał, że wieczorem wystąpi Yoaschbim — zaśpiewa Salve Dimom z Fausta, a potem pieśni ludowe: Pieśń pasterza, Rybkę, Jelonka, itd.

Złożył gazetę. Wiedząc, czego Gillian właśnie słucha, mógł ją wyraźniej zobaczyć. Siedzi tam sama...

Dziwaczna prośba Philipa Eastneya. Taka niemęska, niepodobna do niego. Nie miał w sobie nic sentymentalnego. Był gwałtowny, niebezpieczny, może nawet...

Znów jakaś uporczywa myśl. Niebezpieczny — to było istotne. „Wszystkie nici trzyma pan w ręku”. Dość niezwykle było to spotkanie z Philipem Eastneyem. Eastney stwierdził, że to szczęśliwy przypadek. Przypadek? A może część tego wzoru, którego istnienie narzuciło się panu Satterthwaite’owi raz czy dwa tego wieczoru?

Cofnął się pamięcią. Coś musiało kryć się w rozmowie z Eastneyem, jakaś wskazówka. Inaczej skąd by się wzięło to dziwaczne uczucie niepokoju? O czym on mówił? O śpiewie, pracy w czasie wojny, Carusie.

Caruso — nagle myśli pana Satterthwaite’a pobiegły innym torem. Głos Yaoschbima dorównywał głosowi Carusa. Gillian słucha go teraz: autentycznego, potężnego, rozbrzmiewającego w całym pokoju, wprawiającego szkło w drganie...

Wstrzymał oddech. Szkło! Caruso potrafił rozbić głosem kieliszek! Yoaschbim śpiewa w londyńskim studio, a jego głos brzmi tak samo w odległym o milę mieszkaniu i może rozbić szkło — nie kieliszek, lecz cieniutki zielony puchar. Na ziemię spada kryształowa kulka, która wcale nie musi być pusta...

Zdaniem przechodniów w tej właśnie chwili pan Satterthwaite oszalał. Gwałtownym ruchem ponownie otworzył gazetę, rzucił okiem na program radiowy i co sił popędził w dół spokojnej ulicy. Na jej końcu spostrzegł sunącą wolno taksówkę, wskoczył do niej, podniesionym głosem podał kierowcy adres dodając, że ma tam jechać szybko, gdyż to sprawa życia i śmierci. Taksówkarz uznał go za człowieka niespełna rozumu, ale bogatego, więc uczynił wszystko, co w jego mocy.

Pan Satterthwaite odchylił się na oparcie; w głowie kłębiły mu się strzępy myśli, zapomniane okruchy szkolnej wiedzy, zdania wypowiedziane tego wieczoru przez Eastneya. Rezonans... okresy drgań własnych... jeżeli zbiega się z nimi okres siły... coś o wiszącym moście, po którym maszerują żołnierze, a rytm ich kroku jest taki sam, jak okres mostu. Eastney przestudiował ten temat. Eastney wiedział. I Eastney był geniuszem.

Yoaschbim zaczynał występ o dziesiątej czterdzieści pięć. Właśnie teraz. Tak, lecz najpierw śpiewał Fausta. A to refren Pieśni pasterza kończył się najwyższą nutą, która... która co?

Myśli przelatowały mu przez głowę. Tony, alikwoty, półtony. Niewiele o tym wiedział, w przeciwieństwie do Eastneya. Żeby tylko zdążył!

Taksówka zatrzymała się. Pan Satterthwaite wyskoczył i popędził po kamiennych schodach na drugie piętro niczym młody sportowiec. Drzwi mieszkania były uchylone. Pchnął je i na powitanie usłyszał głos wielkiego tenora. Znał słowa Pieśni pasterza, choć nie w tak niezwykłej aranżacji.

„Spójrz na rozwianą grzywę konia, pasterzu...”

A więc zdążył. Gwałtownie otworzył drzwi do bawialni. Gillian siedziała przy kominku na fotelu z wysokim oparciem.

„Dziś córka Bayra Mischy wychodzi za mąż i muszę spieszyć na ślub.”

Zapewne uznała, że oszalał. Chwycił ją, krzycząc coś niezrozumiale i na wpół wypchnął, na wpół wyciągnął ją na zewnątrz, póki nie stanęli na klatce schodowej.

„I muszę spieszyć na ślub

Ohej!”

Wspaniała, wysoka nuta, wyśpiewana pełnym gardłem, tak potężna, że każdy śpiewak byłby z tego dumny. Towarzyszył jej jeszcze jeden dźwięk: słaby brzęk pękającego szkła.

Bezdomny kot przebiegł koło nich i wślizgnął się przez otwarte drzwi. Gillian poruszyła się, lecz pan Satterthwaite przytrzymał ją, mówiąc niespójnie:

— Nie, nie... To śmierć. Nie ma zapachu, nic, co mogłoby panią ostrzec. Wystarczy powąchać i po wszystkim. Nikt nie wie, jak jest silna. Nie przypomina niczego, co stosowano wcześniej.

Powtarzał to, co powiedział mu podczas kolacji Philip Eastney.

Gillian patrzyła na niego, nic nie pojmując.

3

Philip Eastney wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę. Właśnie minęło wpół do dwunastej. Przez ostatnie trzy kwadransy chodził w tę i z powrotem wzdłuż nabrzeża. Spojrzał na Tamizę i odwrócił się... stając twarzą w twarz z współbiesiadnikiem kolacji.

— To dziwne — powiedział i roześmiał się. — Najwyraźniej dzisiaj przeznaczone jest nam wpadać na siebie.

— Jeśli to rzeczywiście przeznaczenie — odparł pan Satterthwaite.

Eastney przyjrzał mu się uważniej i wyraz jego twarzy się zmienił.

— Tak? — rzucił cicho.

Pan Satterthwaite od razu przeszedł do sedna.

— Właśnie wracam od panny West.

— Tak? — tym samym, śmiertelnie spokojnym tonem.

— Wynieśliśmy z mieszkania... zdechłego kota. Zapadła cisza, a potem Eastney zapytał:

— Kim pan jest?

Pan Satterthwaite mówił przez jakiś czas, przedstawiając cały ciąg wydarzeń.

— Tak więc zdążyłem, jak pan widzi — zakończył. Umilkł, a po chwili spytał łagodnie: — Chce pan coś powiedzieć?

Spodziewał się czegoś: wybuchu, gwałtownych usprawiedliwień. Lecz nic takiego nie usłyszał.

— Nie — odparł Philip Eastney spokojnie, odwrócił się i odszedł.

Pan Satterthwaite patrzył za nim, póki oddalającej się sylwetki nie pochłonał mrok. Wbrew sobie czuł sympatię dla Eastneya — sympatię artysty dla kolegi po fachu, sympatię człowieka sentymentalnego dla autentycznego kochanka, sympatię zwykłego człowieka dla geniusza.

Wreszcie otrząsnął się i podążył w tym samym kierunku, co Eastney. Mgła zaczynała się podnosić. Po chwili napotkał policjanta, który spojrzał na niego podejrzliwie.

— Słyszał pan przed chwilą jakiś plusk? — zapytał policjant.

— Nie.

Policjant wpatrywał się w rzekę.

— Pewnie kolejne samobójstwo — mruknął ponuro.

— Wciąż to robią.

— Zapewne mają swoje powody — powiedział pan Satterthwaite.

— Przeważnie pieniądze — stwierdził policjant. — Czasami chodzi o kobietę — dodał, szykując się do odejścia.

— Niektóre kobiety sprawiają mnóstwo kłopotów, choć to nie ich wina.

— Niektóre kobiety — przytaknął cicho pan Satterthwaite.

Kiedy policjant ruszył w swoją stronę, pan Satterthwaite usiadł na ławce. Wokół niego podnosiła się mgła. Pomyślał o Helenie Trojańskiej. Zastanawiał się, czy była miłą, zwyczajną kobietą, na swoje szczęście — czy nieszczęście — obdarzoną piękną twarzą.

Rozdział dziewiąty

Martwy arlekin

Pan Satterthwaite wędrował wolnym krokiem w górę Bond Street, ciesząc się słońcem. Jak zawsze ubrany był elegancko i wytwornie. Zmierzał do galerii Harchester, gdzie wystawiono prace Franka Bristowa, młodego i dotąd nieznanego artysty, który szybko zyskiwał ogromną popularność. Pan Satterthwaite był mecenasem sztuki.

Gdy tylko wszedł do galerii, powitano go z uprzejmym uśmiechem, jak starego znajomego.

— Dzień dobry, panie Satterthwaite. Wiedziałem, że wkrótce pana zobaczymy. Zna pan prace Bristowa? Doskonale — naprawdę doskonale. Jedyne w swoim rodzaju.

Pan Satterthwaite nabył katalog i pod łukiem sklepienia przeszedł do podłużnej sali, gdzie wisały obrazy. Były to akwarele, wykonane tak niezwykle techniką i tak starannie wykończone, że przypominały kolorowe ryciny. Pan Satterthwaite przechadzał się wolno wzdłuż ścian, przyglądając się im uważnie i na ogół z aprobatą. Uznał, że wystawa Bristowa rzeczywiście zasługiwała na to, by ją odwiedzić. Była tu oryginalność, wizja i do tego precyzyjna technika. Były też, oczywiście, niedociągnięcia, należało się jednak ich spodziewać. W sumie prace te były dziełem bliskim geniuszu. Pan Satterthwaite przystanął przed małym arcydziełem przedstawiającym Most Westminsterski zatłoczony autobusami, tramwajami i spieszącymi dokądś pieszymi. Niewielki obrazek, a jak doskonały. Tytuł brzmiał Mrowisko. Pan Satterthwaite przeszedł dalej i nagle wciągnął oddech, gdyż coś przykuło jego uwagę.

Ten obraz zatytułowano Martwy arlekin. Na pierwszym planie widać było białą—czarną szachownicę podłogi z marmurowych płyt. Na środku leżał na plecach arlekin w swoim czerwono—czarnym stroju, z ramionami rozrzuconymi szeroko. Za nim widniało okno, a za oknem, na tle czerwonej poświaty zachodzącego słońca, wpatrzony w postać na podłodze... stał ten sam człowiek!

Pan Satterthwaite odczuł podniecenie z dwóch powodów: po pierwsze, rozpoznał, albo przynajmniej tak sądził, twarz mężczyzny z obrazu. Wyraźnie przypominała twarz pana Quina, znajomego, którego pan Satterthwaite spotkał kilkakrotnie w dość niezwykłych okolicznościach.

— Nie mogę się mylić — mruknął. — Ale w takim razie, co to ma znaczyć?

Gdyż z doświadczenia wiedział, że z każdym pojawieniem się pana Quina łączyło się coś bardzo ważnego.

Był też, jak już wspomniano, drugi powód zainteresowania pana Satterthwaite'a. Rozpoznał scenę przedstawioną na płótnie.

— Pokój z Tarasem w Charnley — powiedział do siebie. — To dziwne... i nader ciekawe.

Przyjrzał się akwareli uważniej, zastanawiając się, o czym właściwie myślał artysta. Jeden arlekin — martwy, na podłodze, i drugi — zaglądający przez okno... a może to ten sam arlekin? Przeszedł wolno wzdłuż ścian, przesuając niewidzący wzrok po innych obrazach, wciąż pochłonięty zagadką.

Był zaintrygowany. Życie, które tego ranka wydało mu się trochę monotonne, nagle nabrało barw. Miał głęboką pewność, że oto stoi u progu ekscytujących wydarzeń. Podszedł do stolika, przy którym siedział pan Cobb, ważna persona w galerii Harchester i stary znajomy pana Satterthwaite'a.

— Miałbym chęć zakupić numer trzydziesty dziewiąty — powiedział — jeśli nie został już sprzedany.

Pan Cobb zajrzał do rejestru.

— Doskonały wybór — mruknął. — To prawdziwa perełka, prawda? Nie, nie sprzedano go jeszcze. — Podał cenę. — To dobra inwestycja, panie Satterthwaite. Za rok musiałby pan zapłacić trzykrotnie więcej.

— Zawsze pan to mówi przy takich okazjach — zauważył z uśmiechem pan Satterthwaite.

— Ale czyż nie mam racji? — zapytał pan Cobb.

— Nie sądzę, że gdyby chciał pan sprzedać swoją kolekcję, panie Satterthwaite, choć jeden obrazek przyniósłby panu mniej, niż pan za niego zapłacił.

— Kupię ten obraz — zdecydował pan Satterthwaite — i od razu wystawię panu czek.

— Nie pożałuje pan. Wierzę w Bristowa.

— Czy to młody artysta?

— Ma dwadzieścia siedem albo osiem lat.

— Chciałbym go poznać. Może odwiedzi mnie któregoś wieczoru i zje ze mną kolację?

— Dam panu jego adres. Na pewno podskoczy do góry na taką szansę. Pańskie nazwisko wiele znaczy w artystycznym świecie.

— Pochlebia mi pan — stwierdził pan Satterthwaite i chciał jeszcze coś dodać, lecz pan Cobb mu przerwał:

— Oto i on. Zaraz go panu przedstawię.

Wstał zza stołu. Pan Satterthwaite podszedł wraz z nim do dużego, niezdarne młodego człowieka, który oparł się o ścianę i mierzył otaczający go świat spoza barykady nader groźnie zmarszczonych brwi.

Pan Cobb dokonał niezbędnej prezentacji, a pan Satterthwaite odezwał się dość oficjalnie, choć z wdziękiem:

— Miałem właśnie przyjemność nabyć jeden z pańskich obrazów — Martwego arlekina.

— Aha. Nie straci pan na nim — powiedział niezbyt uprzejmie Bristow. — To cholernie dobra praca, nawet, jeśli ja to mówię.

— Widzę — stwierdził pan Satterthwaite. — Bardzo zainteresowały mnie pańskie prace, panie Bristow. Są niezwykle dojrzałe jak na tak młodego człowieka. Zastanawiałem się, czy uczyniłby mi pan tę uprzejmość i zjadł ze mną kolację któregoś wieczoru? Czy jest pan dzisiaj zajęty?

— Właściwie to nie — odparł Bristow, nadal nie okazując nadmiernej uprzejmości.

— Powiedzmy więc: o ósmej? Oto moja wizytówka. Jest na niej mój adres.

— Och, dobrze — rzucił Bristow. — Dzięki — dodał jakby po namyśle.

Młody człowiek, który ma o sobie niskie zdanie i boi się, że świat je podziela — tak podsumował go pan Satterthwaite, wychodząc na skapaną w słońcu Bond Street. Rzadko się mylił w ocenie bliźnich.

Frank Bristow zjawił się jakieś pięć minut po ósmej. Gospodarz czekał na niego wraz z kolejnym gościem. Był nim pułkownik Monckton. Niemal od razu zasiedli do kolacji. Na owalnym mahoniowym stole stało jeszcze czwarte nakrycie i pan Satterthwaite stwierdził tonem wyjaśnienia:

— Trochę spodziewałem się, że wpadnie mój przyjaciel, pan Quin. Ciekawe, czy pan go kiedyś spotkał. Pana Harleya Quina?

— Nikogo nie spotykam — burknął Bristow.

Pułkownik Monckton przypatrywał mu się z obojętnym zainteresowaniem, jakim mógłby obdarzyć nowy gatunek meduzy. Pan Satterthwaite dokładał wysiłku, by rozmowa potoczyła się w przyjacielskiej atmosferze.

— Ten obraz zaciekał mnie szczególnie, gdyż wydało mi się, że przedstawia pokój w Charnley. Mam rację? — A kiedy artysta przytaknął, ciągnął dalej: — To bardzo interesujące. Kilkakrotnie zatrzymywałem się tam w przeszłości. Zna pan Charnleyów?

— Nie, nie znam! Tacy jak oni nie chcieliby mieć ze mną nic wspólnego. Pojechałem tam brekiem.

— Dobry Boże — rzucił pułkownik Monckton, byle coś powiedzieć. — Dobry Boże: brekiem. Frank Bristow spojrzał na niego gniewnie.

— A dlaczego nie? — zaatakował gwałtownie.

Biedny pułkownik był zaskoczony. Spojrzał z wyrzutem na pana Satterthwaite'a, jakby chciał powiedzieć: „Te prymitywne formy życia mogą interesować pana jako przyrodnika, ale dlaczego wciągać w to mnie?”

— Och, breki są okropne — stwierdził na głos. — Potwornie trzęsą na wybojach.

— Jeśli kogoś nie stać na rolls-royce'a, musi jeździć brekiem — powiedział ze złością Bristow.

Pułkownik spojrział na niego ze zdumieniem. Jeśli nie uda mi się sprawić, by ten młody człowiek poczuł się swobodnie — pomyślał pan Satterthwaite — czeka nas przygnębiający wieczór.

— Zawsze fascynowało mnie Charnley — odezwał się.

— Byłem tam tylko raz po tragedii. To ponury dom. Wręcz upiorny.

— To prawda — przyznał Bristow.

— W rzeczywistości ma aż dwa duchy — dołączył się Monckton. — Ponoć Karol I przechadza się po tarasie z głową pod pachą. Zapomniałem, dlaczego. Jest jeszcze

Plącząca Dama ze Srebrnym Dzbanem, która pojawia się zawsze po śmierci jednego z Charnleyów.

— Phi — prychnął z pogardą Bristow.

— To bez wątpienia nieszczęśliwa rodzina — rzucił pośpiesznie pan Satterthwaite. — Czterech dziedziców tytułu zmarło gwałtowną śmiercią, a ostatni lord Charnley popełnił samobójstwo.

— Ponura historia — rzekł z powagą Monckton. — Byłem tam, kiedy to się stało.

— To musiało być ze czternaście lat temu — stwierdził pan Satterthwaite. — Od tamtej pory dom jest zamknięty.

— Nie dziwię się — powiedział Monckton. — Na pewno był to potworny szok dla młodej dziewczyny. Pobrali się miesiąc wcześniej i dopiero co wrócili do domu po podróży poślubnej. Na ich powitanie urządzono wielki bal kostiumowy. Kiedy zaczęli nadchodzić pierwsi goście, Charnley zamknął się w Dębowym Salonie i zastrzelił. Nie robi się takich rzeczy. Słucham pana?

Odwrócił gwałtownie głowę w lewo i spojrział na pana Satterthwaite'a z przepraszającym uśmiechem.

— Zaczynam się robić nerwowy. Przez chwilę myślałem, że ktoś siedzi na tym pustym krześle i coś do mnie mówi.

— Tak jest — podjął po chwili — to był potworny szok dla Alix Charnley. Jedna z najładniejszych dziewcząt, jakie chodzą po świecie, do tego przepojona tym, co ludzie nazywają „radością życia”; teraz ponoć sama wygląda jak duch. Nie widziałem jej od lat. Chyba większość czasu spędza za granicą.

— A chłopiec?

— Jest w Eton. Nie wiem, co robi, kiedy osiągnie pełnoletność. Jakoś nie wydaje mi się, że otworzy dom.

— Nadaje się świetnie na lunapark — zauważył Bristow. Pułkownik Monckton spojrział na niego z odrazą.

— Nie, nie, nie, nie myśli pan tak naprawdę — wtrącił szybko pan Satterthwaite. — Gdyby tak było, nie namalowałby pan tego obrazu. Tradycja i atmosfera są nieuchwytnie. Buduje się je przez wieki, a raz zniszczonych nie sposób odtworzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin. — Wstał. — Przejdźmy do palarni. Mam tam kilka fotografii posiadłości, które chciałbym panom pokazać.

Jedną z pasji pana Satterthwaite'a była amatorska fotografia. Był też dumnym autorem książeczki Domy moich przyjaciół. Wspomniani przyjaciele należeli do wysoko postawionych kręgów i album sprawiał wrażenie, że pan Satterthwaite jest większym snobem niż w rzeczywistości.

— To zdjęcie Pokoju z Tarasem zrobiłem w zeszłym roku — powiedział. Podał je Bristowowi. — Widzi pan, wewnątrz widać niemal pod tym samym kątem, co na pańskim obrazie. To piękny dywan, szkoda, że fotografia nie oddaje kolorów.

— Pamiętam — rzucił Bristow. — Cudowna czerwień. Płonął jak płomień. Ale niezbyt pasował. Niewłaściwy rozmiar jak na tak duży pokój, do tego wyłożony biało-czarnymi płytami. To jedyny dywan w całym pomieszczeniu. Psuje cały efekt — jak wielka plama krwi.

— Może to podsunęło panu pomysł obrazu? — zapytał pan Satterthwaite.

— Może — powiedział z zastanowieniem Bristow.

— Chociaż bardziej oczywistym miejscem tragedii byłby następny pokój, ten mały, wyłożony boazerią.

— Dębowy Salon — dorzucił Monckton. — Tak, to właśnie tam straszy. Tam znajduje się Księża Kryjówka — ruchomy fragment boazerii przy kominku. Według legendy tam właśnie ukrywał się Karol I. A dwie osoby poniosły śmierć w pojedynku. I tam zastrzelił się Reggie Charnley.

Wziął zdjęcie od Bristowa.

— Ależ to bucharski dywan — stwierdził — wart kilka tysięcy funtów. Kiedy ja byłem u Charnleyów, leżał w Dębowym Salonie — to właściwe miejsce dla niego. Na tych marmurowych kaflach wygląda idiotycznie.

Pan Satterthwaite zapatrzył się na puste krzesło, które ustawił obok swojego.

— Ciekawe, kiedy go przeniesiono? — rzucił z zastanowieniem.

— Chyba niedawno. Przypominam sobie, rozmawialiśmy o tym w dzień tragedii. Charnley stwierdził, że należałoby go trzymać pod szkłem.

Pan Satterthwaite potrząsnął głową.

— Dom zamknięto zaraz po wypadku i niczego w nim nie zmieniono.

Bristow zadał pytanie, rezygnując ze swoich agresywnych manier.

— Dlaczego lord Charnley się zastrzelił? Pułkownik Monckton poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Nikt tego nie wie — odparł niejasno.

— Przypuszczam — zaczął powoli pan Satterthwaite — że to było samobójstwo.

Pułkownik spojrział na niego ze zdumieniem.

— Ależ oczywiście, że samobójstwo — powiedział.

— Mój drogi przyjacielu, przecież byłem tam wtedy.

Pan Satterthwaite spojrział na puste krzesło obok siebie i uśmiechając się, jakby rozbawił go żart, którego nie zrozumieli pozostali, powiedział cicho:

— Czasem wyraźniej widzi się zdarzenia wiele lat później niż w chwili, kiedy miały miejsce.

— Bzdura — zaprotestował Monckton. — Kompletna bzdura! Jak można widzieć wyraźniej coś, co jest tylko mglistym wspomnieniem?

Jednak pan Satterthwaite uzyskał poparcie z najmniej oczekiwanej strony.

— Wiem, o czym pan mówi — powiedział artysta.

— Całkiem możliwe, że ma pan rację. To kwestia proporcji, prawda? A nawet czegoś więcej: względności i tak dalej.

— Według mnie ta teoria Einsteina to stek bzdur — stwierdził pułkownik. — Taki sam jak spirytualizm i duch czyjejś babki! — Spojrział na nich gniewnie. — To na pewno było samobójstwo. Czyż nie widziałem tego niemal na własne oczy?

— Niech pan nam o tym opowie — powiedział pan Satterthwaite — tak, byśmy i my mogli to zobaczyć.

Pułkownik chrząknął trochę ułagodzony i usadowił się wygodniej.

— Wszystko to stało się zupełnie niespodziewanie — zaczął. — Charnley zachowywał się jak zwykle. Na bal zjechało mnóstwo ludzi. Nikt by nie zgadł, że zastrzeli się, właśnie kiedy zaczęli schodzić się goście.

— Dowiódłby lepszego smaku, gdyby poczekał, aż wyjdą — wtrącił pan Satterthwaite.

— Oczywiście, że tak. To było w bardzo złym guście. — Nietypowe — podsunął pan Satterthwaite.

— Tak jest — zgodził się pułkownik — zupełnie niepodobne do Charnleya.

— A jednak to było samobójstwo?

— Oczywiście. Staliśmy w trójkę, może czwórkę na szczycie schodów. Ja, córka Ostranderów, Algie Darcy i... och, jeszcze jedna czy dwie osoby. Charnley przeszedł przez hol poniżej i wszedł do Dębowego Salonu. Młoda Ostranderówna mówiła potem, że miał przerażający wyraz twarzy i wytrzeszczone oczy, ale to przecież bzdura, nie mogła zobaczyć jego twarzy z miejsca, gdzie staliśmy. Rzeczywiście jednak garbił się, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. Któraś z dziewcząt zawołała do niego... zdaje się, że była to czyjaś guwernantka, którą lady Charnley zaprosiła na przyjęcie z czystej uprzejmości. Zawołała: „Lordzie Charnley, lady Charnley pytała, czy...” Nie zwrócił na nią uwagi, wszedł do pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi i usłyszeliśmy, jak przekręca klucz w zamku. Minutę później rozległ się strzał. Zbiegliśmy do holu. W Dębowym Salonie są jeszcze jedne drzwi, prowadzące do Pokoju z Tarasem. Próbowaliśmy je otworzyć, ale one także były zamknięte. Musieliśmy je wyłamać. Charnley leżał na podłodze, martwy, z pistoletem obok prawej ręki. Czy mogło być to coś innego niż samobójstwo? Wypadek? Niech mi pan nawet nie mówi. Istnieje jeszcze tylko jedno wyjaśnienie: morderstwo, ale nie może być morderstwa bez mordercy. Chyba sam pan to przyzna?

— Morderca mógł uciec — zauważył pan Satterthwaite.

— To niemożliwe. Jeśli ma pan kartkę papieru i ołówek, narysuję plan tego miejsca. Do Dębowego Salonu prowadzi dwoje drzwi: jedne z holu, drugie z Pokoju z Tarasem. Jedne i drugie zamknięto od środka i klucze tkwiły w zamkach.

— A okno?

— Zamknięte, tak samo jak okiennice. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Więc tak to wygląda — rzucił triumfalnie pułkownik Monckton.

— Najwyraźniej — przyznał ze smutkiem pan Satterthwaite.

— Niech pan weźmie pod uwagę — podjął pułkownik — że choć przed chwilą wyśmiewałem spirytualizm, nie waham się przyznać, że panowała tam piekielnie podejrzana atmosfera, zwłaszcza w tym pokoju. W ścianach boazerii jest kilka otworów po kulach, to pozostałości po pojedynkach, na podłodze widnieje osobliwa plama, która pojawia się zawsze, mimo że kilkakrotnie wymieniano deski. Teraz pewnie pojawia się kolejna — plama krwi nieszczęsnego Charnleya.

— A było dużo krwi? — zapytał pan Satterthwaite.

— Bardzo mało, zaskakująco mało, jak orzekł lekarz.

— Gdzie się postrzelił? W głowę?

— Nie, w serce.

— Nielatwo to zrobić — zauważył Bristow. — Okropnie trudno trafić prosto w serce. Sam nigdy nie popełniłbym samobójstwa w ten sposób.

Pan Satterthwaite potrząsnął głową. Nie czuł zadowolenia. Miał nadzieję, że coś odkryje, choć nie

wiedział, co. Pułkownik mówił dalej:

— Ponoć tam straszy, choć ja, oczywiście, niczego nie widziałem.

— Nawet Płaczącej Damy ze Srebrnym Dzbanem?

— Nie, szanowny panie — odparł z naciskiem pułkownik. — Choć założę się, że cała służba przysięgnie, że ją widziała.

— Przesady były przekleństwem średniowiecza — wtrącił Bristow. — Wciąż można natrafić na ich ślady, lecz, dzięki Bogu, my się ich wyzbyliśmy.

— Przesady — zastanowił się pan Satterthwaite, zwracając oczy na puste krzesło. — Nie sądzicie, że czasami mogą okazać się użyteczne?

Bristow spojrział na niego.

— Użyteczne? To dziwne określenie.

— Cóż, mam nadzieję, że przekonałem pana, Satterthwaite — rzucił pułkownik.

— O tak — odparł pan Satterthwaite. — Na pozór wydaje się to takie dziwne — tak bezcelowe, by człowiek tuż po ślubie, młody, bogaty, szczęśliwy, świętujący powrót do domu... Dziwne, ale zgadzam się, że nie można uciec przed faktami. — Powtórzył powoli: — Fakty — i zmarszczył brwi.

— Ciekawe jest to, że nigdy nie dowiemy się, co się za tym kryło — stwierdził Monckton. — Krążyło oczywiście sporo plotek różnego rodzaju. Wiedzą, panowie, co gadają ludzie.

— Lecz nikt nic nie wiedział — rzekł zamyślony pan Satterthwaite.

— Nie przypomina to powieści detektywistycznej, prawda? — zauważył Bristow. — Nikt nie zyskał na śmierci Charnleya.

— Nikt poza nienarodzonym dzieckiem — odparł pan Satterthwaite.

Monckton zachichotał cicho.

— Dotkliwy cios dla Hugona Charnleya — stwierdził.

— Jak tylko okazało się, że ona spodziewa się dziecka, mógł jedynie siedzieć i czekać, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Jego wierzyciele czekali równie niecierpliwie. Wreszcie urodził się chłopiec, co było dla nich wielkim rozczarowaniem.

— Czy wdowa bardzo rozpaczała? — zapytał Bristow.

— Biedactwo, nigdy jej nie zapomnę — powiedział Monckton. — Nie płakała, nie załamała się. Jakby... zamarzła. Jak wam mówiłem, zaraz potem zamknęła dom i, o ile wiem, nigdy go nie

otworzono.

— A więc nie znamy motywu — rzucił z uśmiechem Bristow. — Inny mężczyzna albo inna kobieta — chyba o to chodziło, co?

— Na to wygląda — zgodził się pan Satterthwaite.

— I stawiałbym raczej na inną kobietę — ciągnął Bristow — skoro piękna wdowa nie wyszła powtórnie za męża. Nienawidzę kobiet — dodał beznamiętnie.

Pan Satterthwaite uśmiechnął się lekko. Frank Bristow dostrzegł ten uśmiech i naskoczył na niego.

— Może się pan uśmiechać — rzucił — ale naprawdę ich nienawidzę. Wszystko niszczą. Wtrącają się. Stają między człowiekiem i jego pracą. One... Tylko raz spotkałem kobietę, która była... interesująca.

— Tak myślałem: że musiała jakaś być — stwierdził pan Satterthwaite.

— Nie w sensie, o którym pan myśli. Ja... spotkałem ją przypadkiem. Mówiąc dokładnie, w pociągu. W końcu można przecież spotkać się w pociągu — rzucił prowokacyjnie.

— Oczywiście, oczywiście — łagodnił pan Satterthwaite.

— Pociąg jest równie dobrym miejscem jak każde inne.

— Wracalem z północy. Mieliśmy cały wagon dla siebie. Nie wiem, dlaczego, ale zaczęliśmy rozmawiać. Nie znam jej nazwiska i pewnie nigdy więcej jej nie spotkam. Nie wiem nawet, czy chciałbym tego. Mógłbym... żałować. — Umilkł, szukając właściwych słów.

— Widzicie, ona nie była realna. Jak cień. Jak postać schodząca ze wzgórz w celtyckich baśniach.

Pan Satterthwaite pokiwał łagodnie głową. Łatwo mógł sobie wyobrazić całą scenę. Pozytywista i realista Bristow i srebrzysta, zjawiskowa postać — cień, jak młody człowiek powiedział.

— Można się stać kimś takim, jeśli przeżyło się coś okropnego, coś tak przerażającego, że niemal nie sposób tego znieść. Można wtedy uciec przed rzeczywistością do własnego, wymyślonego świata, a po pewnym czasie, oczywiście, nie sposób już wrócić.

— Czy to właśnie się jej przytrafiło? — zapytał z zaciekawieniem pan Satterthwaite.

— Nie wiem. Nic mi nie powiedziała. Tylko zgaduję. Trzeba zgadywać, jeśli chce się cokolwiek osiągnąć.

— Tak — przyznał wolno pan Satterthwaite. — Trzeba zgadywać.

Otworzono drzwi. Pan Satterthwaite spojrział z oczekiwaniem, lecz lokaj rozczarował go.

— Jakaś dama chce się z panem widzieć w nie cierpiącej zwłoki sprawie. Panna Aspasia Glen.

Pan Satterthwaite podniósł się, dość zaskoczony. Znał to nazwisko. Kto w Londynie go nie znał? Opisywano ją jako Kobietę z Szalem — dała kilka przedpołudniowych przedstawień, które szturmem zdobyły Londyn. Za pomocą szala błyskawicznie wcielała się w różne postacie. Szal stawał się kornetem zakonnicy, chustą młynarki, czepkiem chłopki i setką innych rzeczy, a w każdym wcieleniu Aspasia Glen była zupełnie inna. Pan Satterthwaite myślał o niej z uznaniem jako o artystce. Tak się złożyło, że nigdy jej nie spotkał osobiście. Ogromnie zaintrygowała go jej wizyta o tak niezwykłej porze. Rzucając kilka słów przeprosin, wyszedł z pokoju i przeszedł przez hol do salonu.

Panna Glen siedziała pośrodku dużej sofy obitej złotym brokatem. Przybrana poza pozwalała jej zająć dominującą pozycję w pokoju. Pan Satterthwaite natychmiast zrozumiał, że chce w ten sposób zapanować również nad sytuacją. O dziwo, jego pierwszym odczuciem była niechęć. Szczerze podziwiał artyzm Aspasii Glen. Na scenie wyglądała na osobę sympatyczną i miłą; zachowywała się sugestywnie i delikatnie, a nie władczo. Teraz jednak, stojąc z nią twarzą w twarz, odniósł zupełnie inne wrażenie. Było w niej coś twardego, zuchwałego, gwałtownego. Miała jakieś trzydzieści pięć lat, ciemne włosy, była wysoka — zdecydowanie atrakcyjna, i na pewno to wykorzystywała.

— Musi mi pan wybaczyć tę niezwykłą wizytę, panie Satterthwaite — zaczęła. Mówiła pełnym, dźwięcznym, uwodzicielskim głosem. — Nie powiem, że od dawna chciałam pana poznać, ale cieszę się, że teraz mam pretekst. Jeśli chodzi o dzisiejsze najście — zaśmiała się — cóż, kiedy czegoś chcę, nie potrafię czekać. Kiedy czegoś zapragnę, po prostu muszę to dostać.

— Każdy pretekst, który sprowadza do mnie tak czarującego gościa, przyjmę z radością — Powiedział ze staroświecką galanterią pan Satterthwaite.

— Jaki pan miły — stwierdziła Aspasia Glen.

— Droga pani, czy mogę teraz podziękować za przyjemne chwile, jakie tak często mi pani ofiarowywała, kiedy siedziałem w teatrze?

Obdarzyła go zachwycającym uśmiechem.

— Przejdę do rzeczy. Byłam dziś w galerii Harchester. Widziałam tam obraz, bez którego wprost nie potrafię żyć. Chciałam go kupić, ale nie mogłam, ponieważ pan go kupił wcześniej. Tak więc... — urwała na chwilę.

— Tak bardzo go pragnę. Drogi panie Satterthwaite, po prostu muszę go mieć. Przyniosłam ze sobą czek. — Spojrzała na niego z nadzieją. — Wszyscy mówili mi, jaki z pana miły człowiek. Widzi pan, dla mnie wszyscy są mili. To niezbyt dobre dla mnie, ale tak to już jest.

Więc takimi metodami posługiwała się Aspasia Glen. W duchu pan Satterthwaite chłodno skrytykował tę przesadną pozę rozpieszczonej kobiety-dziecka. Przypuszczała, że powinno to na niego zadziałać, ale wcale się tak nie stało. Aspasia Glen popełniła błąd. Uznała go za starzejącego się głupca, któremu ładna kobieta łatwo się przypochlebi. Lecz za galanterią pana Satterthwaite'a krył się bystry, krytyczny umysł. Świetnie odgadywał prawdziwy charakter ludzi, a nie to, co chcieli

mu pokazać. Teraz widział przed sobą nie czarującą kobietę, proszącą o przysługę, lecz bezwzględną egoistkę, zdecydowaną postawić na swoim z powodów, które pozostawały dla niego niejasne. I był pewien, że tym razem Aspasia Glen nie postawi na swoim. Nie zamierzał oddać jej obrazu z martwym arlekinem. Błyskawicznie wymyślił sposób pozbycia się jej bez otwarcie okazanej nieuprzejmości.

— Na pewno — zaczął — wszyscy ustępują pani, jeśli tylko mogą, i czynią to z zachwytem.

— Więc odda mi pan ten obraz?

Pan Satterthwaite pokręcił głową powoli, z żalem.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Widzi pani... — urwał. — Kupiłem go... dla pewnej damy. To prezent.

— Och! Ale przecież...

Telefon stojący na stoliku zadzwonił ostro. Mrucząc słowa przeprosin, pan Satterthwaite podniósł słuchawkę. Usłyszał cichy, zimny głos, który zdawał się mówić z bardzo daleka.

— Czy mogę prosić pana Satterthwaite'a?

— Tu Satterthwaite.

— Jestem lady Charnley, Alix Charnley. Na pewno pan mnie nie pamięta, od naszego spotkania minęło wiele lat.

— Droga Alix, oczywiście, że panią pamiętam.

— Chciałabym pana o coś poprosić. Byłam dziś na wystawie w galerii Harchester. Wisi tam obraz zatytułowany Martwy arlekin. Może rozpoznał pan na nim Pokój z Tarasem w Charnley.

Chciałabym... chciałabym mieć ten obraz. Pan go kupił. — Umilkła. — Panie Satterthwaite, z pewnych powodów chciałabym mieć ten obraz. Czy odsprzeda mi go pan?

Pan Satterthwaite pomyślał sobie: Ależ to cud! Mówiąc do słuchawki był zadowolony, że Aspasia Glen słyszy tylko jedną stronę rozmowy.

— Jeśli przyjmie pani mój podarunek, będę uszczęśliwiony. — Usłyszał gwałtowny okrzyk za plecami i pośpiesznie ciągnął dalej: — Kupiłem go dla pani. Naprawdę. Proszę posłuchać, droga Alix, chcę panią prosić o przysługę.

— Oczywiście, panie Satterthwaite. Jestem panu bardzo wdzięczna.

— Chcę, żeby przyjechała pani do mnie. Natychmiast. Przez chwilę panowało milczenie, a potem lady

Charnley odparła cicho:

— Zaraz przyjadę.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Aspasia Glen. Rzuciła szybko, ze złością:

— To o tym obrazie pan mówił?

— Tak. Dama, dla której go kupiłem, zjawi się tu za kilka minut.

Nagle twarz Aspasia Glenn ponownie rozpląnęła się w uśmiechu.

— Da mi pan szansę przekonania jej, aby oddała mi obraz?

— Dam pani tę szansę.

W duchu był dziwnie podekscytowany. Znalazł się w środku dramatu, który zmierzał do jakiegoś z góry przesądanego końca. On, obserwator, grał w nim rolę gwiazdy. Zwrócił się do panny Glen.

— Przejdzie pani ze mną do drugiego pokoju? Chciałbym, by poznała pani moich przyjaciół.

Otworzył przed nią drzwi, przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi do palarni.

— Panno Glen — zaczął — pozwoli pani, że przedstawię jej mojego starego znajomego, pułkownika Moncktona. A to pan Bristow, twórca obrazu, który tak pani podziwia.

Zdumiał się, kiedy z krzesła, które pozostawił puste, wstała trzecia postać.

— Myślę, że oczekiwał mnie pan dzisiejszego wieczoru — powiedział pan Quin. — W czasie pańskiej nieobecności przedstawiłem się pana znajomym. Tak się cieszę, że mogłem tu wpaść.

— Drogi przyjacielu, ja... radziłem sobie, jak mogłem, ale... — Zamilkł na widok sardonicznego błysku w ciemnych oczach pana Quina. — Przedstawię pana. Pan Harley Quin, pani Aspasia Glen.

Czy tylko mu się zdawało, czy naprawdę cofnęła się nieco? Przez jej twarz przemknął dziwny grymas. Raptem odezwał się Bristow, rzucając gwałtownie:

— Już mam.

— Co pan ma?

— Wiem, co mnie tak zaintrygowało. Podobieństwo, wyraźne podobieństwo. — Patrzył z uwagą na pana Quina. — Widzi pan to? — zwrócił się do pana Satterthwaite'a. — Nie dostrzega pan wyraźnego podobieństwa do arlekina na moim obrazie, tego, który zagląda przez okno?

To nie była wyobraźnia. Tym razem wyraźnie usłyszał, jak Aspasia Glen wciąga gwałtownie oddech, a nawet zobaczył, jak cofa się o krok.

— Wspominałem, że oczekuję kogoś — powiedział pan Satterthwaite z uczuciem triumfu. — Muszę

wyznać państwu, że mój przyjaciel pan Quin jest niezwykłym człowiekiem. Potrafi rozwiązywać tajemnice. Sprawić, że dostrzegą państwo prawdę.

— Jest pan medium? — spytał pułkownik Monckton, mierząc pana Quina pełnym wątpliwości wzrokiem.

Pan Quin uśmiechnął się i powoli pokręcił przecząco głową.

— Pan Satterthwaite przesadza — stwierdził spokojnie. — Kiedy spotkaliśmy się raz czy dwa, przeprowadził nadzwyczajną dedukcję. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego mnie przypisuje zasługę. Zapewne przemawia przezeń skromność.

— Nie, nie — rzucił z podnieceniem pan Satterthwaite. — Wcale nie. Dzięki panu widzę to, co powinienem dostrzec wcześniej, co właściwie widziałem, ale nie wiedząc o tym.

— Brzmi to okropnie skomplikowanie — ocenił pułkownik Monckton.

— A wcale nie jest — odparł pan Quin. — Problem w tym, że nie zadowala nas to, co widzimy, i dokładamy do tego zupełnie błędną interpretację.

Aspasia Glen zwróciła się do Franka Bristowa.

— Chciałabym wiedzieć — zaczęła nerwowo — co podsunęło panu pomysł tego obrazu?

Bristow wzruszył ramionami.

— Nie bardzo wiem — wyznał. — Coś w tamtym domu, w Charnley, zwróciło moją uwagę. Wielki, pusty pokój. Taras za oknem, myśl o duchach... Dopiero co usłyszałem historię ostatniego lorda Charnley, który się zastrzelił. A gdyby po śmierci nasz duch żył nadal? To musi być dziwne. Stoi pani na tarasie, patrząc przez okno na własnego trupa, i wszystko widzi.

— Co ma pan na myśli, mówiąc wszystko? — zapytała panna Glen.

— Widzi pani, co się stało. Widzi pani...

Drzwi otworzyły się i lokaj zaanonsował lady Charnley.

Pan Satterthwaite wyszedł jej na spotkanie. Nie widział jej od prawie trzynastu lat. Pamiętał ją z tamtego okresu: żywą, promienną dziewczynę. A teraz zobaczył... Lodową Damę. Piękną, bladą, sprawiającą wrażenie, jakby nie chodziła po ziemi, lecz unosiła się nad nią, jak płatek śniegu pchany podmuchami mroźnego wiatru. Miała w sobie coś nierealnego. Była tak zimna, tak odległa.

— Bardzo to miłe z pani strony, że zgodziła się pani przyjść — powiedział pan Satterthwaite.

Poprowadził ją w głąb pokoju. Uniosła lekko rękę w stronę panny Glen, rozpoznając ją, lecz zatrzymała się, ponieważ druga kobieta nie zareagowała.

— Przepraszam — wyszeptała — lecz na pewno już się spotkałyśmy, czyż nie?

— Może widziała ją pani na scenie — wtrącił się pan Satterthwaite. — Panna Aspasia Glen, lady Charnley.

— Miło mi panią poznać, lady Charnley — powiedziała panna Glen.

W jej głosie pojawił się nagle lekki amerykański akcent. Panu Satterthwaite'owi przypomniało się jedno z jej scenicznych wcieleń.

— Zna pani pułkownika Moncktona — ciągnął prezentację — a to pan Bristow.

Dostrzegł raptowny rumieniec na jej policzkach.

— Pan Bristow i ja już się spotkaliśmy — powiedziała i uśmiechnęła się lekko. — W pociągu.

— A to pan Harley Quin.

Obserwował ją uważnie, lecz na twarzy lady Charnley nie pojawił się najmniejszy ślad rozpoznania. Podsunął jej krzesło, a potem, kiedy sam już się usadowił, odchrząknął i odezwał się trochę zdenerwowany:

— Ja... to dość niezwykle spotkanie. Jego centralnym punktem jest ten obraz. Ja... wydaje mi się, że gdybyśmy tylko zechcieli, moglibyśmy wyjaśnić pewne sprawy.

— Chyba nie zamierza pan wywoływać duchów, Satterthwaite? — zapytał pułkownik. — Przez cały wieczór zachowuje się pan dziwacznie.

— Nie — odparł pan Satterthwaite. — Nie chodzi mi o duchy. Mój przyjaciel pan Quin wierzy, a ja się z nim zgadzam, że cofając się pamięcią można wyraźniej zobaczyć to, co się zdarzyło naprawdę, a nie to, co się nam wydaje.

— Przeszłość? — powtórzyła lady Charnley.

— Mówię o samobójstwie pani męża, Alix. Wiem, że to sprawia pani ból...

— Nie — zaprzeczyła Alix Charnley. — Teraz nic już nie sprawia mi bólu.

Panu Satterthwaite'owi przypomniały się słowa Franka Bristowa: „Widzicie, ona nie była realna. Jak cień. Jak postać schodząca ze wzgórz w celtyckich baśniach”. Nazwał ją „cieniem”. Był to nader dokładny opis. Cień, odbicie. Gdzie w takim razie kryła się prawdziwa Alix? Natychmiast odpowiedział sobie na to pytanie: „W przeszłości. Oddzielona od nas czternastoma minionymi latami.”

— Przeraza mnie pani, moja droga — powiedział na głos. — Zachowuje się pani jak Płacząca Dama ze Srebrnym Dzbanem.

Brzęk! Filiżanka stojąca na stole przy łokciu Aspasi spadła na podłogę. Pan Satterthwaite machnięciem ręki zbył jej przeprosiny. Jesteśmy coraz bliżej — pomyślał. — Z każdą chwilą bliżej... ale czego?

— Cofnijmy się myślami do tego wieczoru przed czternastu laty — zaproponował. — Lord Charnley popełnił samobójstwo. Dlaczego? Nikt tego nie wie.

Lady Charnley poruszyła się niespokojnie.

— Lady Charnley wie — rzucił gwałtownie Frank Bristow.

— Bzdura — orzekł pułkownik Monckton, a potem urwał, patrząc na nią ze zmarszczonym czołem.

Lady Charnley spoglądała na malarza. Zachowywała się tak, jakby młody artysta zmuszał ją do mówienia. Skinęła wolno głową i odezwała się chłodnym, cichym głosem:

— Tak, ma pan rację. Ja to wiem. Dlatego do końca życia nie mogę wrócić do Charnley. Dlatego, kiedy mój syn, Dick, chce, bym otworzyła dom i ponownie tam zamieszkała, mówię mu, że to niemożliwe.

— Czy poda nam pani powód, lady Charnley? — spytał pan Quin.

Spojrzała na niego. A potem, jakby zahipnotyzowana, przemówiła spokojnie i prosto jak dziecko.

— Powiem wam, jeśli chcecie. Teraz nic nie ma już większego znaczenia. Między jego dokumentami znalazłam pewien list. Zniszczyłam go.

— Co to był za list? — rzucił pan Quin.

— Od dziewczyny. Biedne dziecko. Była guwernantką u Merriamów. Kochał... kochał się z nią, tak, wtedy, gdy byliśmy już zaręczeni, tuż przed naszym ślubem. Ona... ona też miała mieć dziecko. Napisała o tym w liście; zamierzała mi o tym powiedzieć. Więc on się zastrzelił.

Spojrzała na nich ze znużeniem, półprzytomnie, jak dziecko, które powtórzyło właśnie świetnie wyuczoną lekcję.

Pułkownik Monckton wydmuchał nos w chustkę.

— Mój Boże — powiedział. — Więc o to poszło. Cóż, to wyjaśnia sprawę.

— Doprawdy? — zapytał pan Satterthwaite. — Nie wyjaśnia jednego: dlaczego pan Bristow namalował swój obraz.

— Co ma pan na myśli?

Pan Satterthwaite rzucił okiem na pana Quina, jakby szukając wsparcia, i najwyraźniej je otrzymał, gdyż ciągnął dalej:

— Tak, wiem, że dla was to brzmi niedorzecznie, ale centralnym punktem całej historii jest ten obraz. Wszyscy znaleźliśmy się tu dzisiaj z jego powodu. On po prostu musiał zostać namalowany — to właśnie mam na myśli.

— Mówi pan o tej niesamowitej atmosferze Dębowego Salonu? — zapytał pułkownik Monckton.

— Nie. Nie Dębowego Salonu. Pokoju z Tarasem. W tym rzecz! Duch zmarłego stoi za oknem, zagląda do środka i widzi swoje martwe ciało na podłodze.

— Co nie jest możliwe — stwierdził pułkownik — ponieważ ciało leżało w Dębowym Salonie.

— Załóżmy, że nie — kontynuował pan Satterthwaite. — Załóżmy, że leżało dokładnie tam, gdzie oczyma wyobraźni zobaczył je pan Bristow: na czarno-białej podłodze pod oknem.

— Plecie pan bzdury — orzekł pułkownik. — Gdyby tam leżało, nie znaleźlibyśmy go w Dębowym Salonie.

— Chyba że ktoś je tam przeniósł — podsunął pan Satterthwaite.

— A w takim razie, jakim cudem widzieliśmy Charnleya, jak wchodzi do Dębowego Salonu? — zapytał pułkownik.

— Przecież nie widzieliście jego twarzy, prawda? Widzieliście tylko wchodzącego do tego pokoju mężczyznę, na dodatek w balowym przebraniu.

— Brokat i peruka — przypomniał sobie Monckton.

— No właśnie. Uznaliście, że to lord Charnley, ponieważ tak zwróciła się do niego dziewczyna.

— I dlatego, że kiedy chwilę później wpadliśmy do pokoju, leżał w nim jedynie martwy Charnley. Nie może pan temu zaprzeczyć, Satterthwaite.

— Nie — przyznał zniechęcony gospodarz. — Nie, chyba że była tam jakaś kryjówka.

— Czy nie mówił pan — wtrącił się Bristow — że w tym pokoju jest Księża Kryjówka?

— Och! — zawołał pan Satterthwaite. — Załóżmy, że ktoś...? — Ruchem jednej ręki uciszył wzburzone głosy, a drugą przyłożył do czoła. Dopiero wtedy odezwał się, wolno i niepewnie:

— Mam pewien pomysł... może to tylko pomysł, ale według mnie ma sens. Załóżmy, że ktoś zastrzelił lorda Charnleya. W Pokoju z Tarasem. Potem, razem ze swoim współnikiem, zaciągnął ciało do Dębowego Salonu.

Ułożyli je tam, z pistoletem przy prawej dłoni. Przejdźmy teraz do ich następnego ruchu. Samobójstwo lorda Charnleya musiało wyglądać absolutnie przekonująco. Według mnie to było bardzo proste. Mężczyzna w brokacie i peruce przechodzi korytarzem do drzwi Dębowego Salonu i ktoś, dla pewności, woła do niego „lordzie Charnley” ze szczytu schodów. Mężczyzna wchodzi do

środku, jedne i drugie drzwi zamyka na klucz i strzela, mierząc w boazerię. Jeżeli pamiętacie, już wcześniej widniały w niej ślady po kulach, więc nikt nie zauważy jednego więcej. Potem chowa się w sekretnej komnacie. Drzwi zostają wyłamane, do środka wpadają ludzie. Są przekonani, że lord Charnley popełnił samobójstwo. Nikt nawet nie bierze pod uwagę innej hipotezy.

— Moim zdaniem to brednie — oświadczył pułkownik Monckton. — Zapomina pan, że Charnley miał solidny motyw, by popełnić samobójstwo.

— List znaleziony po śmierci — odparł pan Satterthwaite. — Kłamliwy, okrutny list, napisany przez bardzo sprytną i pozbawioną skrupułów aktoreczkę, która sama zamierzała zostać lady Charnley.

— O kim pan mówi?

— O dziewczynie, która była współniczką Hugona Charnleya — wyjaśnił pan Satterthwaite. — Wie pan, Monckton — każdy to wie — że ten człowiek był łajdakiem. Był pewien, że odziedziczy tytuł. — Zwrócił się ostro do lady Charnley. — Jak brzmiało nazwisko dziewczyny, która napisała list?

— Monica Ford — odparła Alix Charnley.

— Czy to Monica Ford zawołała Charnleya ze szczytu schodów, pułkowniku?

— Tak, teraz, kiedy pan to powiedział, przypominam ją sobie.

— Ależ to niemożliwe — zaprotestowała lady Charnley.

— Ja... rozmawiałam z nią. Powiedziała mi, że to wszystko było prawdą. Potem widziałam ją tylko raz, ale na pewno nie mogła przez cały czas udawać.

Pan Satterthwaite zwrócił wzrok na Aspasię Glen.

— Myślę, że mogła — powiedział spokojnie. — Myślę, że już wtedy miała zadatki na utalentowaną aktorkę.

— Jednego jeszcze pan nie wyjaśnił — odezwał się Frank Bristow. — Na podłodze Pokoju z Tarasem byłaby plama krwi. Powinna być. Nie zdążyliby zmyć jej w pośpiechu.

— Nie — przyznał pan Satterthwaite. — Mogli zrobić tylko jedno, i zajęłoby im to zaledwie sekundę lub dwie: mogli przykryć plamę dywanem z Buchary. Nikt przedtem nie widział tego dywanu w Pokoju z Tarasem.

— Sądzę, że ma pan rację — powiedział Monckton.

— Mimo to te plamy krwi trzeba było kiedyś zmyć?

— Tak. W środku nocy. Kobieta z dzbankiem i miednicą mogła zejść na dół i zmyć je bez trudu.

— A gdyby ktoś ją widział?

— To by nic miało znaczenia. Mówię o faktach. Wspomniałem o kobiecie z dzbankiem i miednicą. A gdybym wspomniał o Płaczącej Damie ze Srebrnym Dzbanem, mówiłbym o interpretacjach. — Pan Satterthwaite wstał i podszedł do Aspasii Glen. — To pani nią była, prawda? Teraz nazywają panią Kobietą z Szalem, ale to tamtej nocy zagrała pani swoją pierwszą rolę: Płaczącą Damę ze Srebrnym Dzbanem. Dlatego przed chwilą rzuciła pani filiżankę. Ten obraz przestraszył panią. Pomyślała pani, że ktoś zna prawdę.

Lady Charnley wyciągnęła oskarżycielsko białą dłoń.

— Monica Ford — szepnęła. — Teraz cię poznaję.

Aspasia Glen z krzykiem zerwała się z krzesła. Odepchnęła malutkiego gospodarza jednym ruchem ręki i roztrzęsiona stanęła przed panem Quinem.

— Nie myliłam się. Ktoś znał prawdę! O, nie dałam się nabrać na wasze błazeństwa, na udawanie, że dopiero teraz odkrywacie, jak to się stało. — Wskazała na pana Quina. — Pan tam był. Stał pan za oknem i zaglądał do środka. Widział pan, co zrobiliśmy razem z Hugonem. Wiedziałam, że ktoś zagląda do pokoju, cały czas to czułam. A jednak, kiedy podniosłam głowę, nikogo nie było. Wiedziałam, że ktoś nas obserwuje. Wydało mi się, że dostrzegam jakąś twarz za oknem. Bałam się jej przez wszystkie te lata. Dlaczego właśnie teraz przerwał pan milczenie? Niech pan powie!

— Może po to, by zmarli mogli spoczywać w spokoju — powiedział pan Quin.

Nagle Aspasia Glen podbiegła do drzwi i stanęła przed nimi, rzucając wyzywająco przez ramię:

— Róbcie, co chcecie. Byliście świadkami tego, co powiedziałam, ale to mnie wcale nie obchodzi. Wcale. Kochałam Hugona i pomogłam mu w tym potwornym czynie, a on mnie porzucił. Zmarł w zeszłym roku. Możecie posłać za mną policję, ale, jak powiedział ten zasuszony staruszek, jestem świetną aktorką. Ciężko im będzie mnie znaleźć. — Zatrzasnęła drzwi za sobą, a w chwilę później usłyszeli huk zamykanych drzwi frontowych.

— Reggie — zawołała lady Charnley. — Reggie. — Po jej twarzy płynęły strumieniem łzy. — Och, mój Boże, mój Boże, teraz mogę wrócić do Charnley. Mogę zamieszkać tam z Dickiem. Mogę opowiedzieć mu o ojcu, o najwspanialszym, najcudowniejszym człowieku na całym świecie.

— Musimy poważnie się zastanowić, co uczynić w tej sprawie — odezwał się pułkownik. — Alix, moja droga, jeżeli pozwoli mi pani odwiedzić się do domu, z przyjemnością porozmawiam na ten temat.

Lady Charnley wstała. Podeszła do pana Satterthwaite'a, położyła dłonie na jego ramionach i pocałowała go bardzo delikatnie.

— Cudownie jest wrócić do życia, gdy tak długo było się martwym — powiedziała. — Widzi pan, to przypominało śmierć. Dziękuję, drogi panie Satterthwaite. — Wyszła z pokoju razem z pułkownikiem Moncktonem. Pan Satterthwaite odprowadził ich wzrokiem. Odwrócił się gwałtownie, słysząc chrząknięcie Franka Bristowa, o którym całkiem zapomniał.

— To cudowna istota — stwierdził markotnie — ale już nie tak interesująca — zakończył ponuro.

— Oto słowa artysty — skwitował pan Satterthwaite.

— Już nie — upierał się Bristow. — Gdybym zjawił się kiedyś w Charnley, pewnie spotkałoby mnie chłodne przyjęcie. Nie chcę pakować się tam, gdzie mnie nie chcą.

— Drogi młodzieńcze, gdyby myślał pan trochę mniej o wrazeniu, jakie wywiera pan na innych, byłby pan mądrzejszy i szczęśliwszy. Dobrze by pan też zrobił, pozbywając się pewnych przestarzałych przekonań, takich jak to, że urodzenie ma w naszym nowoczesnym świecie jakiegokolwiek znaczenie. Jest pan jednym z tych dobrze zbudowanych młodych ludzi, których kobiety zawsze uznają za przystojnych, do tego prawdopodobnie, o ile nie na pewno, jest pan geniuszem. Niech pan to sobie powtarza dziesięć razy przed snem i za trzy miesiące odwiedzi lady Charnley w jej posiadłości. To moja rada, a mam swoje lata i spore doświadczenie.

Na twarzy malarza nagle pojawił się czarujący uśmiech.

— Był pan dla mnie szalenie dobry — wyrzucił z siebie. Uchwycił dłoń pana Satterthwaite'a i ścisnął w potężnej garści. — Jestem bezgranicznie wdzięczny. Teraz muszę lecieć. Dziękuję za jeden z najbardziej niezwykłych wieczorów w moim życiu.

Rozejrzał się, jakby chciał się jeszcze z kimś pożegnać, i powiedział, zaskoczony:

— Pański przyjaciel już wyszedł. Nie zauważyłem, kiedy. Dość osobliwy jegomość, prawda?

— Przychodzi i odchodzi niespodzianie — przyznał pan Satterthwaite. — To jego charakterystyczna cecha. Nie zawsze można go zobaczyć.

— Jest niewidzialny jak arlekin — i Frank Bristow roześmiał się serdecznie z własnego żartu.

Rozdział dziesiąty

Ptak ze złamanym skrzydłem

Pan Satterthwaite wyjrzał przez okno. Padało uparcie. Wstrząsnął nim dreszcz. Niewiele wiejskich domów jest odpowiednio dogrzanych — pomyślał. Rozchmurzył się, uświadamiając sobie, że za kilka godzin będzie zmierzał szybko w stronę Londynu. Kiedy przekroczyło się sześćdziesiątkę, Londyn wydawał się najlepszym miejscem na świecie.

Czuł się troszkę staro i żałośnie. Większość osób w tym domu była tak młoda. Czwooro z nich przeszło właśnie do biblioteki, gdzie urządzili sobie seans z wirującym stolikiem. Zaprosili go do towarzystwa, ale odmówił. Nie bawiło go monotonne powtarzanie liter alfabetu i składanie ich w zazwyczaj bezsensowne słowa.

Tak, Londyn był dla niego najlepszy. Cieszył się, że odrzucił zaproszenie Madge Keeley. Zadzwoiła pół godziny temu z propozycją, by przyjechał do Laidell. Madge była wspaniałą młodą kobietą, ale nie ma jak Londyn. Pana Satterthwaite'a znów przeszedł dreszcz; przypomniał sobie, że na kominku w bibliotece zawsze płonie silny ogień. Otworzył drzwi i ostrożnie wsunął się do zaciemnionego pokoju.

— Jeżeli nie przeszkadzam...

— To było „N” czy „M”? Musimy liczyć od początku. Oczywiście, że nie, panie Satterthwaite. Wie pan, dzieją się naprawdę niezwykle rzeczy. Duch powiedział, że nazywa się Ada Spiers i że nasz John wkrótce poślubi jakąś Gladys Bun.

Pan Satterthwaite usiadł w dużym, wygodnym fotelu przed kominkiem. Powieki mu opadły i zapadł w drzemkę. Od czasu do czasu budził się, gdy dobiegały go fragmenty rozmowy.

— To nie może być PABZL — chyba że chodzi o Rosjanina. John, popychasz, widziałam. Chyba zjawił się nowy duch.

Znów chwila drzemki. Obudził się nagle na dźwięk kolejnego nazwiska.

— QUIN. Zgadza się? Tak, stuknął raz na potwierdzenie. Quin. Masz wiadomość dla kogoś z tu obecnych? Tak. Dla mnie? Dla Johna? Sarah? Evelyn? Nie... ależ nikogo innego tu nie ma. Och! Może dla pana Satterthwaite'a? Mówi „tak”. Panie Satterthwaite, to wiadomość dla pana.

— Jak brzmi?

Pan Satterthwaite był już zupełnie rozbudzony, usiadł prosto, oczy mu błyszczały.

Stolik drgnął i jedna z dziewcząt zaczęła liczyć:

— LAI... to niemożliwe, bez sensu. Żadne słowo nie zaczyna się od LAL

— Proszę kontynuować — rzucił pan Satterthwaite tak rozkazującym tonem, że posłuchano go bez sprzeciwu.

— LAIDEL? I jeszcze jedno „L”... Och, to chyba koniec.

— Mów dalej, duchu.

— Prosimy, powiedz coś jeszcze. Cisza.

— Chyba nie będzie już nic więcej. Stolik znieruchomiał. Jakie to głupie.

— Nie — zaprzeczył zamyślony pan Satterthwaite. — Nie uważam, że to głupie.

Podniósł się i wyszedł z pokoju. Skierował się wprost do telefonu. Po chwili uzyskał połączenie.

— Czy mogę mówić z panną Keeley? To ty, droga Madge? Zmieniłem zdanie i jeśli to możliwe, chciałbym przyjąć twoje przemiłe zaproszenie. Nie muszę tak pilnie wracać do miasta, jak sądziłem. Tak, tak, zdążę przyjechać na kolację.

Odwiesił słuchawkę, a na jego wysuszone policzki wypłynął dziwny rumieniec. Pan Quin — zagadkowy pan Harley Quin. Pan Satterthwaite policzył na palcach, ile razy zetknął się już z tym uosobieniem tajemniczości. Tam, gdzie pojawiał się pan Quin, coś zaczynało się dziać. Co stało się — albo miało się wydarzyć — w Laidell?

O cokolwiek chodziło, czekało tam na pana Satterthwaite'a zadanie do wykonania. Jest tam jakaś rola dla niego — tego był pewien.

Laidell było sporą posiadłością. Właściciel, David .Keeley, należał do tych cichych mężczyzn o nieokreślonej osobowości, którzy zdają się stanowić część umeblowania. Ich niepozorność nie ma nic wspólnego z niedostatkiem inteligencji — David Keeley był znakomitym matematykiem, napisał książkę kompletnie niezrozumiałą dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzkości. Lecz jak wielu intelektualistów, nie miał w sobie wigoru ani uroku. Było już stałym dowcipem określanie Keeleya jako jedyne autentycznego „niewidzialnego człowieka”. Lokaje omijali go przy podawaniu sałatek, a goście zapominali przywitać się z nim czy pożegnać.

Jego córka, Madge, zupełnie nie przypominała ojca. Wspaniale zbudowana młoda dziewczyna, tryskająca energią i życiem. Kobieta z krwi i kości, zdrowa i normalna, do tego wyjątkowo ładna.

To ona powitała pana Satterthwaite'a.

— Jak miło, że mimo wszystko pan przyjechał.

— Wspaniale, że pozwoliła mi pani zmienić zdanie. Madge, moja droga, doskonale wyglądasz.

— Och, ja zawsze dobrze się czuję.

— Tak, wiem, ale to coś więcej. Wyglądasz... kwitnąco, to słowo miałem na myśli. Czyżby coś się wydarzyło? Coś... szczególnego?

Roześmiała się i lekko zarumieniała.

— To okropne, panie Satterthwaite. Zawsze, pan wszystko odgadnie.

Ujął jej dłoń.

— A więc o to chodzi, prawda? Zjawił się Ten Jedyne?

— Był to staroświecki zwrot, ale Madge nie zaprotestowała. Lubiła staromodne maniery pana Satterthwaite'a.

— Tak, sądzę że tak. Ale nikt nie może się dowiedzieć. To tajemnica. Choć nie przeszkadza mi, że pan ją odkrył, panie Satterthwaite. Pan zawsze jest taki miły i życzliwy.

Pana Satterthwaite'a cieszyły romanse innych. Był przecież sentymentalny i wiktoriański.

— Nie mogę spytać, kim jest ten szczęściarz? Cóż, w takim razie powiem jedynie, że mam nadzieję, iż go dzień jest honoru, jaki mu czynisz.

Ależ maruda z tego starego pana Satterthwaite'a — pomyślała Madge.

— Och! Dobrze będzie nam razem — powiedziała.

— Widzi pan, lubimy te same zajęcia, a to przecież bardzo ważne? Mamy wiele wspólnego, wiemy o sobie wszystko. To trwa już od dłuższego czasu. Daje takie miłe poczucie bezpieczeństwa, prawda?

— Bez wątpienia — odparł pan Satterthwaite. — Ale z mojego doświadczenia wynika, że nie można do końca poznać drugiego człowieka. To jeden z interesujących i uroczych aspektów życia.

— Och, zaryzykuję — roześmiała się Madge. Poszli na górę do swoich pokoi, by przebrać się do obiadu.

Pan Satterthwaite zszedł na dół spóźniony. Nie zabrał ze sobą swojego służącego, a zawsze tracił głowę, kiedy jego walizki rozpakowywał ktoś obcy. Wszyscy już czekali. Madge, jak to było obecnie w modzie, powiedziała tylko:

— A to pan Satterthwaite. Umieram z głodu. Chodźmy do stołu.

Poszła przodem wraz z wysoką, siwowłosą kobietą, której nie sposób było nie zauważyć. Miała bardzo czysty, choć ostry głos i piękną twarz o regularnych rysach.

— Jak się pan miewa, panie Satterthwaite — przywitał go pan Keeley.

Pan Satterthwaite aż podskoczył.

— Witam — powiedział. — Obawiam się, że nie zauważyłem pana.

— Jak wszyscy — zauważył ze smutkiem pan Keeley. Przeszli do jadalni. Stał w niej długi, owalny stół z mahoni. Pana Satterthwaite'a usadowiono między młodą gospodynią i niską, ciemnowłosą dziewczyną — krzepką, o donośnym głosie i dźwięcznym, zdecydowanym śmiechu, który wyrażał raczej determinację, by za wszelką cenę okazać wesołość, a nie rzeczywistą radość. Zdaje się, że miała na imię Doris; należała do typu kobiet, którego pan Satterthwaite serdecznie nie znosił. Istnienia takiej Doris nie usprawiedliwiałoby nic pokrewnego sztuce.

Po drugiej ręce Madge siedział mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, którego podobieństwo do siwowłosej kobiety pozwalało domyślić się w nim jej syna.

A dalej...

Pan Satterthwaite wstrzymał oddech.

Nie wiedział, jak to określić. Nie było to czyste piękno. Coś jeszcze, coś bardziej ulotnego, nieuchwytnego.

Słuchała przyciężkiego monologu pana Keeleya, skłoniwszy lekko głowę w bok. Była tam, ale jakby nie całkiem obecna — pomyślał pan Satterthwaite. Wydawała się o wiele mniej rzeczywista niż reszta gości. W lekkim przechyleniu jej ciała było coś przepięknego. Podniosła wzrok i na chwilę ich oczy spotkały się ponad stołem, a pan pan Salterthwaite odnalazł słowo, którego szukał. Czar — to było to. Miała w sobie czar. Może była jedną z tych na wpół ludzkich istot — jedną z Tajemniczego Ludu z Hollow Hills. Sprawiała, że wszyscy wokół wyglądali aż zbyt realnie.

Jednocześnie, o dziwo, wzbudzała w nim litość. Jakby to, iż zdawała się nie całkiem należeć do ludzkiej rasy w jakiś sposób ją okaleczało. Szukał właściwego określenia, i po chwili je znalazł: ptak ze złamanym skrzydłem.

Zadowolony, skupił się ponownie na temacie żeńskich drużyn skautów i miał nadzieję, że harcerka Doris nie zauważyła jego roztargnienia. Kiedy zwróciła się do mężczyzny po swojej drugiej stronie, którego pan Satterthwaite ledwie zauważył, sam pochylił się ku Madge.

— Kim jest dama siedząca obok twojego ojca? — rzucił szeptem.

— Pani Graham? A nie, pyta pan o Mabelle. Nie zna jej pan? Mabelle Annesley. Z domu Clydesley, z tych nieszczęsnych Clydesleyów.

Drgnął. Nieszczęśni Clydesleyowie. Pamiętał. Brat zastrzelił się, siostra utonęła, druga zginęła w czasie trzęsienia ziemi. Dziwna, skazana na zagładę rodzina. Ta dziewczyna musiała być najmłodszą z rodzeństwa.

Nagle został przywołany do rzeczywistości. Madge dotknęła pod stołem jego ręki. Wszyscy poza nimi rozmawiali. Leciutko skinęła głową w lewo. — To on — szepnęła.

Pan Satterthwaite krótko kiwnął głową na znak zrozumienia. Więc to młody Graham był wybrankiem Madge. Cóż, na pozór nie mogła wybrać lepiej. Miły, sympatyczny, dość konkretny młody człowiek. Stworzą ładną parę: oboje są rozsądni, dobrzy, zdrowi, towarzyscy, młodzi.

W Laidell panowały staromodne zwyczaje. Panie pierwsze wstały od stołu. Pan Satterthwaite przeniósł się bliżej Grahama i zaczął rozmowę. Potwierdziła się jego ocena młodego człowieka, jednak uderzyło go coś, co nie bardzo pasowało do charakteru młodzieńca. Roger Graham był roztargniony, błędził myślami gdzieś daleko, a kiedy odstawiał kieliszek na stół, jego ręka drżała.

Coś go gnębi — odgadł bystro pan Satterthwaite. — Choć nic aż tak ważnego, jak mu się wydaje. Niemniej ciekawi mnie, co to jest.

Pan Satterthwaite miał w zwyczaju zażywać po posiłku kilka tabletek na trawienie. Ponieważ zapomniał wziąć je ze sobą, udał się na górę do swojego pokoju. Wracając na dół, poszedł długim korytarzem na parterze. W połowie korytarza były drzwi prowadzące do pokoju nazywanego balkonowym. Kiedy je mijał, zerknął przez otwarte wejście i zatrzymał się raptownie.

Do pokoju, przez małe szybki w oknach, wpadało światło księżycy, tworząc na podłodze osobliwy, regularny wzór z kwadratów. Na niskim parapecie siedziała jakaś postać, przechylona lekko w bok, uderzając cicho w struny ukulele — melodia nie przypominała modnego jazzu, lecz rytmy o wiele starsze: niczym tętent baśniowych koni galopujących po baśniowych wzgórzach.

Pan Satterthwaite stał zafascynowany. Kobieta miała na sobie suknię z granatowego szyfonu, z krezami i plisami przywodzącymi na myśl ptasie pióra. Nucąc pochyliła się nad instrumentem.

Wszedł do środka wolno, krok za krokiem. Nie wystraszyła się i nie wyglądała na zdziwioną.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — zaczął.

— Proszę, niech pan usiądzie.

Usiadł blisko niej na gładkim, dębowym krześle. Nuciała dalej, miękko i cicho.

— Dzisiejsza noc ma w sobie magię — powiedziała.

— Nie sądzi pan?

— Tak, unosi się wokół.

— Chcieli, żebym przyniosła moje ukulele — wyjaśniła.

— I kiedy przechodziłam obok tego pokoju, pomyślałam, jak wspaniale byłoby usiąść tu samej, w ciemności, przy księżycu.

— W takim razie... — Pan Satterthwaite zaczął się podnosić, lecz powstrzymała go.

— Proszę zostać. Pan... pan tu pasuje. To dziwne, ale tak jest.

Ponownie opadł na krzesło.

— To był dziwny wieczór — ciągnęła. — Po południu poszłam do lasu, i spotkałam tam pewnego człowieka... niezwykłego: był wysoki, śniady, przypominał zbłąkaną duszę. Słońce właśnie zachodziło i w promieniach prześwitujących przez liście wyglądał jak arlekin.

— Ach! — Pan Satterthwaite pochylił się do przodu z zaciekawieniem.

— Chciałam odezwać się do niego... wyglądał jak ktoś, kogo znam. Ale zniknął wśród drzew.

— Ja chyba go znam — powiedział pan Satterthwaite.

— Naprawdę? Jest... interesujący, prawda?

— Tak.

Umilkli. Pan Satterthwaite był zakłopotany. Czuł, że powinien coś zrobić, ale nie wiedział co. Na

pewno miało to związek z dziewczyną. Powiedział dość niezręcznie:

— Czasem, gdy ktoś jest nieszczęśliwy, pragnie... uciec.

— Tak, to prawda. — Przerwała nagle. — Och! Rozumiem, co miał pan na myśli. Ale pan się myli. Jest dokładnie na odwrót. Chciałam zostać sama, ponieważ jestem szczęśliwa.

— Szczęśliwa?

— Ogromnie.

Mówiła cicho, lecz pan Satterthwaite doznał wstrząsu. To, co ta dziwna dziewczyna rozumiała przez szczęście, nie miało nic wspólnego ze szczęściem w rozumieniu Madge Keeley. Dla Mabelle Annesley szczęście oznaczało uniesienie — silne, gwałtowne... coś, co przerastało ludzkie odczucia. Odsunął się trochę.

— Nie... nie wiedziałem — powiedział nieskładnie.

— Oczywiście, skąd by pan mógł. I to nie dzieje się teraz, jeszcze nie jestem szczęśliwa... ale będę.

— Pochyliła się do przodu. — Wie pan, jak to jest — stać w lesie... w ogromnym lesie z głębokimi cieniami i drzewami wszędzie wokół, w lesie, z którego może już nigdy nie znajdzie się wyjścia, a potem, nagle, tuż przed sobą zobaczyć krainę marzeń: słoneczną i piękną, i wystarczy tylko jeden krok, by wydostać się spośród drzew i ciemności?

— Tak wiele rzeczy wydaje się pięknymi — zaczął pan Satterthwaite — zanim ich dotkniemy. Czasem to, co najbrzydsze, zdaje się najpiękniejsze.

Podłoga skrzypnęła. Pan Satterthwaite odwrócił głowę. Stał tam jasnowłosy mężczyzna z twarzą bez wyrazu, głupią i nieciekawą. To był ten sam człowiek, którego pan Satterthwaite ledwie zauważył podczas kolacji.

— Czekają na ciebie, Mabelle — powiedział. Wstała, z jej twarzy zniknęło uniesienie, a głos stał się matowy, spokojny.

— Już idę, Gerardzie. Rozmawiałam z panem Satterthwaite'em.

Wyszła z pokoju, a pan Satterthwaite poszedł za nią. Odwrócił głowę przez ramię i dostrzegł wyraz twarzy jej męża — głodne, zrozpaczone spojrzenie.

Czar — pomyślał. — On go .odczuł. Biedak.

Salon był jasno oświetlony. Madge i Doris Coles głośno wyraziły naganę.

— Mabelle, ty potworze, nie było cię całe wieki. Mabelle usiadła na niskim stołeczku, nastroiła ukulele i zaśpiewała. Wszyscy się przyłączyli.

Czy to możliwe, że aż tyle idiotycznych piosenek napisano o „mojej ukochanej”? — pomyślał pan

Satterthwaite.

Musiał jednak przyznać, że synkopowate, zawodzące tony trafiały do serca. Chociaż, oczywiście, nie mogły się równać ze staromodnym walcem.

Powietrze zgęstniało od dymu papierosów. Rytmiczna melodia brzmiała nadal.

Żadnych interesujących rozmów — myślał pan Satterthwaite. — Ani dobrej muzyki. Chwili spokoju. — Żałował, że świat stał się aż tak hałaśliwy.

Nagle Mabelle Annesley przerwała grę, uśmiechnęła się prosto do niego i zaśpiewała jedną z pieśni Griega.

— „Mój łabędziu, mój piękny ptaku...”

Był to ulubiony utwór pana Satterthwaite’a. Lubił nutkę szczerego zdumienia na końcu.

— „Więc był to tylko łabędź? Tylko łabędź?” Potem towarzystwo rozpadło się na małe grupki.

Madge roznosiła drinki, a jej ojciec podniósł ukulele i zaczął z roztargnieniem uderzać w struny. Wreszcie goście zaczęli się żegnać, podchodząc coraz bliżej drzwi. Wszyscy mówili jednocześnie. Gerard Annesley wymknął się niepostrzeżenie jako pierwszy.

Dotarłszy na próg salonu, pan Satterthwaite ceremonialnie życzył pani Graham dobrej nocy. Na górę wiodły dwie klatki schodowe: jedna tuż przed nim, druga na końcu długiego korytarza. Wybrał tę drugą. Pani Graham i jej syn poszli bliższymi schodami, po których wcześniej wspiał się Gerard Annesley.

— Lepiej zabierz swoje ukulele, Mabelle — rzuciła Madge. — Zapomnisz o nim rano, a musisz tak wcześnie wyjechać.

— Dalej, panie Satterthwaite — powiedziała Doris Coles, gwałtownie chwytając go pod rękę. — Kto chodzi spać z kurami... i tak dalej.

Madge ujęła go pod drugie ramię i w trójkę pobiegli korytarzem przy wtórze wybuchów śmiechu Doris. Na końcu zatrzymali się, by poczekać na Davida Keeleya, który szedł za nimi spokojniejszym krokiem, wyłączając po drodze światło. Cała czwórka weszła na schody.

Następnego ranka pan Satterthwaite zamierzał właśnie zejść do jadalni na śniadanie, kiedy delikatnie zastukano do drzwi i weszła Madge Keeley. Miała śmiertelnie bladą twarz i cała się trzęsła.

— Och, panie Satterthwaite.

— Moje drogie dziecko, co się stało? — Wziął ją za rękę.

— Mabelle... Mabelle Annesley....

— Tak?

Co się mogło wydarzyć? Na pewno coś potwornego, tyle zgadywał. Madge ledwie mogła mówić.

— Ona... powiesiła się w nocy... na drzwiach od swojego pokoju. Och, to potworne! — Załamała się zupełnie i rozplakała.

Powiesiła się. To niemożliwe. Nie do pojęcia!

Rzucił kilka pocieszających słów w swoim staroświeckim stylu i pośpieszył na dół. Zastał tam Davida Keeleya, zakłopotanego i bezradnego.

— Dzwoniłem na policję, Satterthwaite. Najwyraźniej tak chyba się robi, tak twierdził lekarz. Właśnie skończył badać... Dobry Boże, potworna sprawa. Musiała być ogromnie nieszczęśliwa, żeby zabić się w ten sposób... Dziwna była ta pieśń wczoraj wieczór. Łabędzi śpiew, co? Sama wyglądała jak łabędź, czarny łabędź.

— Tak.

— Łabędzi śpiew — powtórzył Keeley. — To dowodzi, że wszystko obmyśliła wcześniej, co?

— Na to wygląda... tak, na to wygląda. — Zawahał się, a potem zapytał, czy mógłby zobaczyć... jeżeli nie jest to...

Gospodarz zrozumiał tę wyjąkaną prośbę.

— Jeśli pan chce... Zapomniałem, że ma pan penchant do ludzkich tragedii.

Poprowadził go szerokimi schodami. Na górze najbliższej schodów znajdował się pokój Rogera Grahama, a po przeciwnej stronie korytarza — pokój jego matki. Drzwi tego pokoju były lekko uchylone. Wypływała przez nie delikatna smużka dymu.

Pan Satterthwaite poczuł przelotne zdziwienie. Nie sądził, że pani Graham należy do kobiet, które palą papierosy już od samego rana. Właściwe to w ogóle nie przypuszczał, że pali.

Podeszli do przedostatnich drzwi w korytarzu. Pierwszy wszedł David Keeley, pan Satterthwaite za nim.

Pokój nie był zbyt duży i widać było, że mieszka w nim mężczyzna. Drzwi w jednej ze ścian prowadziły do drugiego pokoju. Z haka na drzwiach wciąż zwisał kawałek odciętego sznura. Na łóżku...

Pan Satterthwaite patrzył przez dłuższą chwilę na bezładny stos szafonu. Ponownie zwrócił uwagę na plisy przywodzące na myśl ptasie pióra. Na twarz zerknął tylko raz.

Przeniósł spojrzenie z drzwi ze zwisającym sznurem na drugie, łączące oba pokoje.

— Były otwarte?

— Tak, tak przynajmniej mówi pokojówka.

— Annesley spał u siebie? Nic nie słyszał? — Mówi, że nic.

— To niemal nie do wiary — mruknął pan Satterthwaite. Spojrzał znów na ciało na łóżku.

— Gdzie jest?

— Annesley? Na dole, z lekarzem.

Zeszli na dół. Właśnie przyjechał inspektor. Pan Satterthwaite z miłym zaskoczeniem rozpoznał w nim starego znajomego, inspektora Winkfielda. Policjant wszedł na górę razem z lekarzem, a w parę minut potem poproszono wszystkich gości o zebranie się w jadalni. Zaciągnięto zasłony i w pokoju zapanował żałobny nastrój. Doris Coles wyglądała na przestraszoną i przygaszoną. Co chwila ocierała oczy chusteczką. Madge była spokojna i skupiona; do tej pory zapanowała już nad emocjami. Pani Graham, jak zwykle zrównowazona, pokazywała poważną, kamienną twarz. Wyglądało na to, że ze wszystkich obecnych tragedia najbardziej dotknęła jej syna. Był strzępem człowieka. David Keeley, jak zawsze, rozpląnął się gdzieś w tle.

Pogrążony w smutku mąż siedział sam, trochę odsunięty od innych. Miał niezbyt przytomny wyraz twarzy, jakby nie bardzo uświadamiał sobie, co się wydarzyło.

Pan Satterthwaite, na zewnątrz opanowany, w duchu aż gotował się w poczuciu wagi zadania, jakie miał wykonać.

Do pokoju wkroczył inspektor Winkfield; tuż za nim szedł lekarz. Inspektor zamknął drzwi, odchrząknął i przemówił:

— To bardzo smutny wypadek... bardzo smutny. W obecnych okolicznościach muszę zadać każdemu z państwa kilka pytań. Jestem pewien, że nie będą państwo protestować. Zacznę od pana Annesleya. Proszę wybaczyć, lecz czy żona kiedykolwiek groziła, że odbierze sobie życie?

Pan Satterthwaite szybko otworzył usta, lecz zaraz zamknął je z powrotem. Miał mnóstwo czasu. Lepiej nie odzywać się zbyt wcześnie.

— Ja... Nie, raczej nie. — Głos pana Annesleya zabrzmiał tak szczególnie, było w nim tyle wahania, że pozostali zaczęli mu się przyglądać ukradkiem.

— Nie jest pan tego pewien?

— Ja... jestem pewien. Nigdy nie groziła.

— Aha! Wiedział pan, że czuje się nieszczęśliwa?

— Nie... nie.

— Nic panu nie powiedziała? Że, na przykład, jest przygnębiona?

— Ja... nie, nic takiego nie mówiła.

Cokolwiek pomyślał sobie inspektor, zatrzymał to dla siebie. Przeszedł do następnego punktu.

— Proszę pokrótce opisać mi zdarzenia z zeszłego wieczoru.

— Wszyscy... udaliśmy się na górę do swoich pokoi. Ja zasnąłem od razu i niczego nie słyszałem. Rano obudził mnie krzyk pokojówki. Pobiegnąłem do przyległego pokoju i znalazłem moją żonę... to znaczy jej... — Głos mu się załamał. Inspektor skinął głową.

— Tak, tak, to wystarczy. Nie musimy się w to zagłębiać. Kiedy po raz ostatni widział pan żonę?

— Ja... na dole.

— Na dole?

— Tak, razem wyszliśmy z jadalni. Ja poszedłem prosto na piętro, kiedy wszyscy rozmawiali jeszcze w holu.

— I nie zobaczył pan już żony? Nie życzyła panu dobrej nocy, idąc spać?

— Spałem już, kiedy wróciła do pokoju.

— Ależ ona poszła zaledwie kilka minut później za panem. Nie myślę się, proszę pana? — Spojrzał na Davida Keeleya, który przytaknął.

— Nie było jej jeszcze pół godziny potem — upierał się Annesley.

Wzrok inspektora spoczął łagodnie na pani Graham.

— Nie zatrzymała się w pani pokoju na rozmowę?

Czy panu Satterthwaite'owi wydało się, czy rzeczywiście minęła chwila, zanim pani Graham odpowiedziała na swój spokojny, stanowczy sposób:

— Nie. Poszłam prosto do swojego pokoju i zamknęłam drzwi. Niczego nie słyszałam.

— Więc mówi pan — inspektor ponownie zwrócił swoją uwagę na Annesleya — że spał pan i niczego nie słyszał. Drzwi łączące oba pokoje były otwarte, prawda?

— Ja... tak sędzę. Lecz moja żona weszła zapewne przez drugie drzwi, z korytarza.

— Nawet w takim wypadku powinien pan coś usłyszeć: krztuszenie się, stuk obcasów uderzających w drzwi...

— Nie. — To powiedział pan Satterthwaite, gwałtownie, nie mogąc się już powstrzymać. Wszyscy

spojrzeli na niego, zaskoczeni. Pan Satterthwaite zderwował się, zaczerwienił i zaczął jąkać: — Proszę o wybaczenie, inspektorze. Ale muszę coś powiedzieć. Idzie pan fałszywym tropem, zupełnie fałszywym. Pani Annesley nie popełniła samobójstwa, jestem pewny. Została zamordowana.

Zapadła martwa cisza, a po chwili inspektor zapytał spokojnie:

— Co sprawia, że tak pan sądzi?

— To... przecucie. Bardzo silne przecucie.

— Ależ musi być coś jeszcze, jakiś szczególny powód?

Oczywiście, że był powód. Tajemnicza wiadomość od pana Quina. Lecz nie można czegoś takiego powiedzieć inspektorowi policji! Pan Satterthwaite rozejrzał się z desperacją, lecz nie znalazł pomocy.

— Kiedy rozmawialiśmy zeszłej nocy, powiedziała mi, że jest bardzo szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa — tylko tyle. To nie pasuje do kobiety, która planuje samobójstwo — stwierdził triumfalnie. Po czym dodał: — Wróciła do salonu po swoje ukulele, żeby nie zapomnieć o nich rankiem. To też nie pasuje do samobójstwa.

— Nie pasuje — przyznał inspektor. — Może i nie.

— Zwrócił się do Davida Keeleeya: Czy zaniósła z sobą ukulele na górę?

Matematyk wyteżył pamięć.

— Myślę... tak, tak zrobiła. Poszła na górę, niosąc je w rękę. Pamiętam, że widziałem ją, kiedy skręcała na rogu schodów, zanim zgasiłem światło.

— Och! — zawołała Madge. — Ale ono jest tutaj!

— Wskazała dramatycznym gestem na leżący na stole instrument.

— To dziwne — powiedział inspektor. Przeszedł szybko przez pokój i pociągnął za dzwonek.

Kazał lokajowi odszukać pokojówkę, która sprzątała rano pokoje. Kiedy przyszła, z przekonaniem stwierdziła, że ukulele było pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, odkurzając rano pokój.

Inspektor pozwolił jej odejść i rzucił sucho:

— Chciałbym pomówić z panem Satterthwaite'em na osobności. Możecie państwo się rozejść, ale nikt nie może opuszczać domu.

Gdy tylko zamknęły się drzwi za ostatnim wychodzącym, pan Satterthwaite zaczął pośpiesznie mówić.

— Jestem pewien, inspektorze, że doskonale prowadzi pan śledztwo. Doskonale. Po prostu czuję... mam, jak mówiłem, silne przeczucie...

Inspektor powstrzymał go uniesieniem dłoni.

— Ma pan rację, panie Satterthwaite. To było morderstwo.

— Wiedział pan? — Pana Satterthwaite'a wyraźnie to zmartwiło.

— Pewne rzeczy zwróciły uwagę doktora Morrisa.

— Spojrzał na lekarza, który nie wyszedł wraz z innymi, a doktor potwierdził to skinieniem głowy.

— Przeprowadziliśmy dokładne oględziny. Sznur wokół jej szyi nie był tym, którym ją uduszono — ten musiał być znacznie cieńszy, podobny do drutu. Przeciął jej skórę. Na to nałożył się ślad sznura. Uduszono ją i dopiero potem powieszono na drzwiach, by upozorować samobójstwo.

— Ale kto...?

— Właśnie — powiedział inspektor. — Kto? To następne pytanie. Może mąż, który spał w pokoju obok, nie pożegnał się z żoną na dobranoc i nic nie słyszał? Chyba nie trzeba szukać daleko. Musimy dowiedzieć się, jak się między nimi układało. Tu może pan się nam przydać, panie Satterthwaite. Zna pan wszystkich i może pan rozmawiać z nimi tak, jak my nie bylibyśmy w stanie. Proszę odkryć, jakie stosunki ich łączyły.

— Niezbyt mi się to podoba... — zaczął pan Satterthwaite oziębło.

— Nie po raz pierwszy pomoże nam pan rozwikłać zbrodnię. Pamiętam sprawę pani Strangeways. Ma pan smykałkę do takich spraw. Wybitną smykałkę.

Tak, to była prawda — miał smykałkę. Powiedział cicho:

— Zrobię, co w mojej mocy, inspektorze.

Czy Gerard Annesley zabił swoją żonę? Pan Satterthwaite przypomniał sobie, jak nieszczęśliwie Annesley wyglądał zeszłej nocy. Kochał ją — i cierpiał. A cierpienie może doprowadzić mężczyznę do szalonych czynów.

Lecz było coś jeszcze, coś zupełnie innego. Mabelle mówiła, że wychodzi z lasu, oczekiwała szczęścia, nie spokojnego szczęścia ludzi racjonalnych, lecz szczęścia irracjonalnego — dzikiego uniesienia...

Jeśli Gerard Annesley powiedział prawdę, Mabelle wróciła do swojego pokoju ponad pół godziny po nim. Ale David Keeley widział, jak wchodziła po schodach. W tym skrzydle były jeszcze dwa zajęte pokoje: pokój pani Graham i pokój jej syna.

Jej syn. Ale on i Madge...

Przecież Madge domyśliłaby się... Chociaż dziewczyna nie należała do domyślnych. Jednak nie ma dymu bez ognia... Dym!

Teraz sobie przypomniał. Smużka dymu wypływająca przez drzwi sypialni pani Graham.

Działał pod wpływem impulsu. Pobiegł prosto na górę do jej pokoju. Był pusty. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz.

Podszedł do kominka. Spalony stosik. Delikatnie rozgarnął go palcem. Miał szczęście. W samym środku znalazł nadpalone tylko szczątki... szczątki listów...

Bardzo małe, ale powiedziały mu coś ważnego.

„Życie może być takie cudowne, Roger, kochany. Nigdy nie wiedziałam... Przez wszystkie lata śniłam — póki nie spotkałam ciebie... Wydaje mi się, że Gerard wie... Przykro mi, lecz co mogę zrobić? Nic prócz ciebie nie jest dla mnie rzeczywiste... Będziemy razem, już wkrótce. Co powiesz mu, kiedy przyjedziesz do Laidell, Rogerze? Dziwnie piszesz, lecz ja się nie lękam...”

Pan Satterthwaite ostrożnie włożył fragmenty listów do koperty, którą znalazł na biurku. Podszedł do drzwi, otworzył je i stanął twarzą w twarz z panią Graham.

Była to nader niezręczna sytuacja i na chwilę pan Satterthwaite stracił pewność siebie. Zrobił to, co było prawdopodobnie najlepsze: postawił na szczerość.

— Przeszukałem pani pokój, pani Graham. I coś znalazłem: paczkę nie do końca spalonych listów.

Przez moment jej twarz wyrażała strach. Natychmiast się opanowała, ale to był strach.

— To listy Mabelle Annesley do pani syna. Zawahała się chwilę, a potem powiedziała spokojnie: — Zgadza, się. Uznałam, że lepiej je spalić.

— Dlaczegoż to?

— Mój syn jest zaręczony. Te listy... gdyby w wyniku samobójstwa tej biednej dziewczyny dostały się do wiadomości publicznej, mogłyby przysporzyć wiele bólu i kłopotów.

— Pani syn mógł sam je spalić.

Nie miała na to gotowej odpowiedzi. Pan Satterthwaite wykorzystał swoją przewagę.

— Znalazła je pani w jego pokoju, przyniosła do siebie i spaliła. Dlaczego? Bała się pani czegoś, pani Graham.

— Nie mam w zwyczaju bać się, panie Satterthwaite.

— To prawda, lecz to była rozpaczliwa sytuacja.

— Rozpaczliwa?

— Pani synowi mogło grozić aresztowanie... za morderstwo.

— Morderstwo!

Zobaczył, jak zbladła. Szybko ciągnął dalej:

— Słyszała pani zeszłej nocy, jak pani Annesley wchodzi do pokoju pani syna. Mówił jej wcześniej o swoich zaręczynach? Nie, widzę, że nie. W takim razie powiedział jej wczoraj. Pokłócili się i on...

— To kłamstwo!

Tak pochłonął ich ten pojedynek na słowa, że nie dosłyszeli zbliżających się kroków. Roger Graham stanął za nimi, niedostrzeżony.

— Wszystko w porządku, mamó. Nie... nie martw się. Przejdźmy do mojego pokoju, panie Satterthwaite.

Pan Satterthwaite poszedł za nim. Pani Graham odwróciła się, nie zamierzała do nich dołączyć. Roger Graham zamknął drzwi.

— Proszę posłuchać, panie Satterthwaite. Uważa pan, że to ja zabiłem Mabelle. Myśli pan, że... udusiłem ją, tutaj, przeniosłem i powiesiłem na drzwiach jej sypialni później, kiedy wszyscy już spali?

Pan Satterthwaite badał go przez chwilę wzrokiem. Potem odparł:

— Nie, nie sędzę.

— Dzięki Bogu. Nie mógłbym jej zabić. Ja... kochałem ją. A może nie? Nie wiem. To jest zbyt zagmatwane, bym potrafił to wyjaśnić. Lubię Madge — zawsze ją lubiłem. Dobra z niej dziewczyna. Pasujemy do siebie.

Mabelle była inna. To był... nie umiem tego wyjaśnić... jakiś czar. Myślę, że... bałem się jej. Pan Satterthwaite skinął głową.

— To było szaleństwo... oszalamiające uniesienie. Nic by z tego nie wyszło. Takie uczucie... nie może trwać. Teraz wiem, jak się czuje człowiek, na którego rzucono urok.

— Tak, tak musiał się pan czuć — przyznał pan Satterthwaite, zamyślony.

— Chciałem się z tego wyplątać. Zamierzałem powiedzieć o tym Mabelle... zeszłej nocy.

— Ale nie zrobił pan tego?

— Nie — odparł powoli Graham. — Przysięgam, panie Satterthwaite, że nie widziałem jej po tym, jak pożegnaliśmy się na dole.

— Wierzę panu.

Pan Satterthwaite wstał. To nie Roger Graham zabił Mabelle Annesley. Mógł uciec od niej, ale nie mógłby jej zabić. Bał się jej, bał się tego, co było w niej dzikie, nieuchwytnie, baśniowe. Poznał, czym jest czar i odwrócił się od niego. Wybrał bezpieczny, rozsądny związek, z którego, jak wiedział, „coś wyjdzie”, i wyrzekł się niepojętego marzenia, które nie wiadomo gdzie by go zaprowadziło.

Był rozsądnym młodym człowiekiem — nieinteresującym dla pana Satterthwaite’a, który miał wyrafinowany smak artystyczny.

Zostawił Grahama w jego pokoju i zszedł na dół. Salon był pusty. Ukulele Mabelle leżało na stołeczku pod oknem. Wziął je do ręki i z roztargnieniem uderzył w struny. Nie znał się na tym instrumencie, lecz ucho powiedziało mu, że był kompletnie rozstrojony. Na próbę podkręcił klucz.

Do pokoju weszła Doris Coles. Spojrzała na niego z wyrzutem. — Ukulele biednej Mabelle — powiedziała.

To wyraźne potępienie obudziło upór w panu Satterthwaicie.

— Proszę je dla mnie nastroić — powiedział, i dodał po chwili: — Jeśli pani potrafi.

— Oczywiście, że potrafię — odparła, urażona przypuszczeniem, że mogłaby w czymkolwiek okazać się niekompetentna.

Wzięła od niego instrument, szarpnęła strunę, szybko podkręciła klucz — i struna pękła.

— No coś takiego! Och! Teraz rozumiem... Ależ to niezwykle! To zła struna — o jeden numer za duża. To struna A. Głupio, że założono ją w tym miejscu. Było jasne, że pęknie, jeśli ją mocniej naciągnąć. Ludzie to głupcy.

— Tak — przyznał pan Satterthwaite. — Głupcy. Nawet kiedy próbują być mądrzy...

Powiedział to tak dziwnym tonem, że Doris przyjrzała mu się uważniej. Odebrał jej ukulele i zdjął pękniętą strunę. Wyszedł z pokoju, trzymając instrument w ręku. W bibliotece zastał Davida Keeleya.

— Proszę — powiedział. Wyciągnął strunę. Keeley wziął ją.

— Co to jest?

— Pęknięta struna ukulele. — Urwał, a po chwili podjął dalej: — Co zrobił pan z pierwszą?

— Pierwszą?

— Tą, którą ją pan udusił. Był pan bardzo sprytny, prawda? Poszło błyskawicznie — wtedy, kiedy wszyscy śmialiśmy się, rozmawiając w holu. Mabelle wróciła po ukulele. Tuż przedtem bawił się pan instrumentem i zdjął jedną strunę. Zarzucił ją pan Mabelle na szyję i udusił ją. Potem wyszedł pan, zamknął drzwi na klucz i dołączył do nas. Później, w środku nocy, zszedł pan na dół i pozbył się ciała, wieszając je na drzwiach jej sypialni. Na ukulele założył pan nową strunę — ale niewłaściwą, tu właśnie okazał się pan głupcem. Zapadło milczenie.

— Lecz dlaczego pan to zrobił? — zapytał po chwili pan Satterthwaite. — Na Boga, dlaczego?

Pan Keeley roześmiał się dziwnym, chichoczącym śmiechem, na dźwięk którego panu Satterthwaite'owi zrobiło się niedobrze.

— To było takie proste. Oto, dlaczego! I nikt nawet mnie nie zauważył. Nikt nie zauważył, co robię. Pomyślałem... pomyślałem, że pośmieję się z nich... — I ponownie wybuchnął tym dziwnym chichotem. Spojrzał na pana Satterthwaite'a wzrokiem szaleńca.

Pan Satterthwaite ucieszył się, że w tej chwili do pokoju wszedł inspektor Winkfield.

Dwadzieścia cztery godziny później, w pociągu do Londynu, kiedy pan Satterthwaite przebudził się z drzemki, ujrzał siedzącego naprzeciw wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę.

— Drogi panie Quin!

— Tak, to ja.

Pan Satterthwaite powiedział wolno:

— Nie potrafię spojrzeć panu w twarz. Wstyd mi. Zawiodłem.

— Jest pan tego pewien?

— Nie uratowałem jej.

— Lecz odkrył pan prawdę?

— Tak, tyle zrobiłem. Mogli oskarżyć któregoś z tych dwóch młodych ludzi, może nawet skazać. Więc przynajmniej im ocaliłem życie. Lecz ona... ona... ta dziwna, czarująca istota... — Głos mu się załamał.

Pan Quin patrzył na niego.

— Czy śmierć to największe zło, jakie może spotkać człowieka?

— Ja... cóż... może... nie... — Pan Satterthwaite przypomniał sobie: Madge i Roger Graham... Twarz Mabelle w świetle księżycy i to pogodne, niezmiernie szczęście...

— Nie — przyznał. — Może i śmierć nie jest największym złem... — Pamiętał zmarszczony

granatowy szyfon, który wydał mu się kupką ptasich piór... Ptak ze złamanym skrzydłem... Kiedy podniósł wrzok, był sam. Pana Quina nie było w przedziale.

Ale zostawił coś.

Na kanapie leżał wycięty w jakimś niebieskim kamieniu ptak. Nie miał zapewne żadnej wartości artystycznej — lecz miał coś innego. Nieuchwytny czar.

Tak orzekł pan Satterthwaite, a pan Satterthwaite był koneserem.

Rozdział jedenasty

Na końcu świata

Pan Satterthwaite przyjechał na Korsykę wyłącznie z powodu księżnej. Ta wyspa nie leżała w kręgu jego zainteresowań. Na Riwierze mógł być pewien komfortu, a to wiele dla niego znaczyło. Lubił wygody, ale lubił także i księżną. Na swój nieszkodliwy, uprzejmy, staroświecki sposób pan Satterthwaite był snobem. Cenił tych, którzy należeli do najlepszego towarzystwa. A księżna Leith była autentyczną księżną. Wśród jej przodków nie znalazłby się żaden sklepikarz z Chicago. Była córką i żoną księcia.

A poza tym była starszą panią w znoszonych strojach, zbyt obficie ozdobionych czarnymi perełkami. Miała stosy diamentowych brosz w staroświeckich oprawach i nosiła je tak samo jak jej matka: poprzipinane bezładnie na całej sukni. Ktoś kiedyś powiedział, że prawdopodobnie księżna staje na środku pokoju, a pokojówka obrzuca ją nimi na chybił trafił. Szczodłą ręką obdarowywała organizacje charytatywne, troszczyła się o swoich dzierżawców i służbę, ale tam, gdzie chodziło o drobne sumki, była okropnie skąpa. Zawsze prosiła przyjaciół o podwiezienie, a zakupy robiła w działach z przeceną.

Księżną opanowała przemożna ochota, by wyjechać na Korsykę. Cannes znudziło ją, do tego ostro pokłóciła się o cenę pokoi z właścicielem hotelu.

— A pan pojedzie ze mną, panie Satterthwaite — orzekła. — W naszym wieku nie musimy obawiać się skandalu.

Panu Satterthwaite'owi nawet to pochlebiło. Dotąd nikt nie łączył jego nazwiska ze skandalem. Na to nie był osobą dość znaną. Skandal i księżna — ależ to przepyszne!

— To malownicza wysepka — mówiła księżna. — Wie pan: bandyci i tak dalej. I wyjątkowo tania, jak słyszałam. Manuel zachował się bardzo nierozważnie dziś rano. Tym hotelarzom trzeba pokazać ich miejsce. Nie mogą oczekiwać, że zatrzymają się u nich najlepsi goście, jeśli dalej będą tak postępować. Wyraźnie mu to powiedziałam.

— Zdaje się, że jest dogodne połączenie lotnicze między Korsyką a Antibes — powiedział pan Satterthwaite.

— Pewnie drogo sobie za to policzą — zaprotestowała ostro księżna. — Sprawdzi pan?

— Oczywiście, księżno.

Pan Satterthwaite wciąż jeszcze odczuwał zadowolenie, chociaż jego rola miała najwyraźniej ograniczać się do roli chwalonego wielce, ale... gońca.

Kiedy księżna usłyszała cenę biletu, natychmiast odrzuciła pomysł podróży samolotem.

— Niech sobie nie myślą, że zapłacę tak absurdalną cenę, żeby wsiąść do czegoś równie okropnego i niebezpiecznego.

Popłynęli więc statkiem, a pan Satterthwaite musiał znieść dziesięć godzin dotkliwej niewygodzie. Po pierwsze, ponieważ rejs zaczynał się o siódmej, przyjął za pewne, że podadzą kolację. Ale kolacji nie było. Statek był mały, a morze wzburzone. W Ajaccio nad ranem pan Satterthwaite wysiadł na ląd na wpół żywy.

Za to księżna przeciwnie: czuła się wprost doskonale. Nigdy nie miała nic przeciwko niewygodzie, jeśli mogła zaoszczędzić parę funtów. Entuzjastycznie rozglądała się po nabrzeżu, zachwycając się palmami i wschodem słońca. Wydawało się, że cała miejscowa ludność wyległa, by obserwować przybycie statku. Opuszczaniu trapu towarzyszyły podniecone okrzyki i najprzeróżniejsze wskazówki.

— On dirait que jamais avant on n'a fait cette manoeuvre là! — stwierdził tęgi Francuz stojący obok nich.

— Moja pokojówka chorowała przez całą noc — powiedziała księżna. — Straszliwie głupia dziewczyna.

Pan Satterthwaite uśmiechnął się blado.

— Ja to nazywam marnowaniem dobrego jedzenia — ciągnęła rześko księżna.

— A dostała coś do jedzenia? — spytał zazdrośnie pan Satterthwaite.

— Przypadkiem zabrałam ze sobą parę biszkoptów i baton czekoladowy. Kiedy dowiedziałam się, że nie podadzą nam kolacji, wszystko jej oddałam. Ludzie z niższych sfer okropnie marudzą, jeśli nie dostają regularnych posiłków.

Z okrzykiem triumfu zakończono opuszczanie trapu. Banda malowniczych obdartusów wpadła na pokład, siłą wyrywając pasażerom podręczny bagaż.

— Chodźmy, panie Satterthwaite — powiedziała księżna. — Marzę o gorącej kąpieli i kawie.

O tym samym myślał pan Satterthwaite. Jednak nie do końca udało mu się zrealizować marzenia. W

hotelu powitał ich kłaniający się w pas kierownik; zaprowadzono ich do pokoi. Księżna dostała pokój z łazienką, natomiast panu Satterthwaite'owi wskazano łazienkę, która najwyraźniej znajdowała się w czyjejs sypialni.

Może rzeczywiście nierozsądnie było oczekiwać, że o tak wczesnej porze z kranów popłynie gorąca woda. Potem pan Satterthwaite wypił bardzo czarną kawę, podaną w dzbanku bez pokrywki. Okiennice i okno w jego pokoju otwarto szeroko i do środka wpadało rześkie poranne powietrze. Zapowiadał się dzień pełen oślepiającego błękitu i zieleni.

Kelner zamaszystym gestem zwrócił uwagę gościa na ten widok.

— Ajaccio — oznajmił uroczyście. — Le plus beau port do monde! — I pośpiesznie opuścił pokój.

Spoglądając na ciemnobłękitną zatokę i pokryte śniegiem góry na horyzoncie, pan Satterthwaite był niemal gotów przyznać mu rację. Dopił kawę, położył się na łóżku i szybko zapadł w sen.

Przy obiedzie księżna była w doskonałym nastroju.

— Pobyt tu dobrze panu robi, panie Satterthwaite — orzekła. — Pozbędzie się pan tych swoich nudnych staro—kawalerskich nawyków. — Rozejrzała się po sali przez lorgnon. — Słowo daję, toż to Naomi Carlton Smith.

Wskazała na przygarbioną dziewczynę siedzącą samotnie przy stoliku pod oknem. Miała czarne, niedbale spięte włosy. Jej brązowa sukienka sprawiała wrażenie, jakby uszyto ją z materiału na worki.

— Artystka? — zapytał pan Satterthwaite. Zawsze potrafił oceniać ludzi.

— Zgadza się — potwierdziła księżna. — Przynajmniej sama tak o sobie mówi. Wiedziałam, że wałęsa się gdzieś po najdziwaczniejszych zakątkach świata. Jest biedna jak mysz kościelna, dumna jak sam szatan i zwariowana, jak wszyscy Carlton Smithowie. Jej matka była moją kuzynką.

— Więc pochodzi z Knowltonów? Księżna przytaknęła.

— Zawsze była swoim najgorszym wrogiem — ciągnęła ochoczo. — A to taka mądra dziewczyna. Zadała się z zupełnie nieodpowiednim młodym człowiekiem, jednym z tej bandy z Chelsea. Pisał sztuki albo wiersze, w każdym razie coś bzdurnego. Nikt tego nie kupował, oczywiście. Potem ukradł komuś kosztowności. Złapano go. Nie przypomnę sobie, na ile go skazano, pięć lat, jak mi się zdaje. Ale pan musi to pamiętać? To było zeszłej zimy.

— Zeszłą zimę spędziłem w Egipcie — wyjaśnił pan Satterthwaite. — Pod koniec stycznia chorowałem ciężko na grypę i lekarze nalegali, bym wyjechał do Egiptu. Wiele straciłem. — W jego głosie zabrzmiała nutka autentycznego żalu.

— Mnie się wydaje, że tę dziewczynę coś trapi — stwierdziła księżna, ponownie unosząc do oczu lorgnon. — Nie mogę na to pozwolić.

Wychodząc z sali przystanąła przy stoliku panny Carlton Smith i poklepała ją po ramieniu.

— I co, Naomi, wygląda na to, że mnie nie poznajesz? Naomi wstała dość niechętnie.

— Ależ poznaję, księżno. Widziałam, jak pani wchodziła. Pomyślałam, że najprawdopodobniej to pani nie rozpoznała mnie.

Mówiła przeciągle, zupełnie nie zwracając uwagi na maniery.

— Kiedy skończysz lunch, przyjdź na taras porozmawiać ze mną — rozkazała księżna.

— Dobrze. — Naomi ziewnęła.

— Szokujące maniery — orzekła księżna, idąc z panem Satterthwaite'em na taras. — Tacy są wszyscy Carlton Smithowie.

Wypili swoją kawę w pełnym słońcu. Siedzieli jakieś sześć minut, kiedy z hotelu powoli wyszła Naomi i przyłączyła się do nich. Opadła ciężko na krzesło i wyciągnęła nogi, rozsiadając się bez wdzięku.

Miała dziwną twarz o wystającym podbródku i głęboko osadzonych szarych oczach. Mądrą, nieszczęśliwą

— której brakowało tak mało, by stać się piękną.

— I cóż, Naomi — zaczęła energicznie księżna — co tu porabiasz?

— Och, sama nie wiem. Po prostu spędzam czas.

— Malujesz?

— Trochę.

— Pokaż mi swoje obrazy.

Naomi uśmiechnęła się. Nie dała się zastraszyć księżnej, była tylko rozbawiona. Poszła do pokoju i po chwili wróciła z teczką.

— Nie spodobają się pani, księżno — ostrzegła. — Może pani mówić śmiało, nie zrani pani moich uczucia

Pan Satterthwaite przysunął sobie krzesło trochę bliżej. Jego zaciekawienie wzrosło, nim minęła minuta. Natomiast księżna szczerze wyraziła dezaprobatę.

— Nawet nie wiem, gdzie tu jest góra, a gdzie dół — narzekła. — Dobry Boże, dziecko, niebo nigdy nie ma takiego koloru... morze zresztą też nie.

— Ja tak je widzę — powiedziała spokojnie Naomi.

— Fe! — skrzywiła się księżna, oglądając kolejny obraz. — Ten przyprawia mnie o dreszcze.

— I o to chodzi — stwierdziła Naomi. — Powiedziała mi pani komplement, nawet o tym nie wiedząc.

Było to dziwaczne, werystyczne studium opuncji, którą ledwie można było rozpoznać. Szaro-zielone drzewko z plamami krzykliwego koloru tam, gdzie owoce winny lśnić jak klejnoty. Kłębiąca się masa zła, mięsista, gnijąca. Pan Satterthwaite wzdrygnął się i odwrócił.

Spostrzegł, że Naomi patrzy na niego i kiwa ze zrozumieniem głową.

— Wiem — powiedziała — ale to naprawdę jest ohydne. Księżna odchrząknęła.

— Najwyraźniej w dzisiejszych czasach łatwo jest zostać artystą — zauważyła ze znużeniem. — Nikt nie próbuje naśladować rzeczywistości. Po prostu nabieracie trochę farby... nie wiem czym, bo na pewno nie pędzlem...

— Szpachlą — wtrąciła Naomi z szerokim uśmiechem.

— I to w dużych ilościach — ciągnęła księżna. — Jak leci. I proszę: wszyscy mówią „Jakie to mądre!” Cóż, ja nie mam do tego cierpliwości. Dajcie mi...

— Ładny obrazek psa lub konia pędzla Edwina Landseera.

— A dlaczego nie? Co złego w Landseerze?

— Nic — odparła Naomi. — Jest w porządku. I ma pani rację. Powierzchnia rzeczy zawsze jest ładna, błyszcząca, gładka. Szanuję panią, księżno, ponieważ ma pani siłę. Stawiała pani czoło życiu otwarcie i szczerze, i wciąż jest na samej górze. Lecz ludzie o niższej pozycji widzą to, co jest pod spodem. To jest na swój sposób interesujące.

Księżna wpatrywała się w nią.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz — oznajmiła.

Pan Satterthwaite nadal oglądał szkice. Zauważył doskonałość techniki, czego nie była w stanie dostrzec księżna. Był zaskoczony i zachwycony. Podniósł wzrok na dziewczynę.

— Sprzeda mi pani jeden z tych obrazów, panno Carlton Smith? — zapytał.

— Może pan mieć każdy za pięć gwinei — odparła obojętnie.

Pan Satterthwaite wahał się przez chwilę, a potem wybrał studium opuncji i aloesu, z żywą plamą żółtej mimozy w tle. Szkarłatny kwiat aloesu zdawał się tańczyć ponad powierzchnią kartki, a całość podkreślały nieubłagane, nakreślone z matematyczną precyzją kształty: podłużny opuncji i

mieczowaty aloesu.

Skłonił się lekko przed Naomi.

— Bardzo się cieszę, że go zdobyłem, to bardzo dobry zakup. Pewnego dnia, panno Carlton Smith, sprzedam ten szkic ze znacznym zyskiem... o ile będę chciał!

Dziewczyna pochyliła się, by zobaczyć, który obraz wybrał. Dostrzegł, że w jej oczach pojawił się nowy wyraz. Po raz pierwszy naprawdę uświadomiła sobie jego obecność i w krótkim spojrzeniu, jakie mu rzuciła, widać było szacunek.

— Wybrał pan najlepszy — powiedziała. — To... to mnie cieszy.

— Cóż, pan pewnie wie, co robi — włączyła się księżna. — Powiem nawet, że pewnie ma pan rację. Ponoć jest pan znawcą. Ale nie wmówi mi pan, że te nowomodne pomysły to sztuka. Na szczęście nie musimy się w to zagłębiać. Zamierzam spędzić na Korsyce tylko kilka dni i chcę obejrzeć wyspę. Chyba masz samochód, Naomi?

Dziewczyna skinęła głową.

— Doskonale. Pojedziemy sobie gdzieś jutro.

— To dwuosobowe auto.

— Bzdura, na pewno ma rozkładane siedzenie, a to wystarczy panu Satterthwaite'owi.

Panu Satterthwaite'owi wyrwało się pełne zgrozy westchnienie. Rankiem przyjrzał się korsykańskim drogom. Naomi popatrzyła na niego z namysłem.

— Obawiam się, że mój samochód na nic się wam nie przyda. To straszny gruchot. Kupiłam go za grosze od poprzedniego właściciela. Daje się namówić do wjechania na górkę, ale nie mogę zabierać pasażerów. W mieście jest całkiem dobry garaż, tam wynajmiecie coś lepszego.

— Mamy wynajmować samochód? — zawołała zgorszona księżna. — Cóż za pomysł. Kim jest ten sympatycznie wyglądający młody człowiek, trochę żółty, który podjechał czteroosobowym autem tuż przed lunchem?

— Chyba mówi pani o panu Tomlinsonie. To emerytowany hinduski sędzia.

— To wyjaśnia kolor jego skóry. A już się bałam, że ma żółtaczkę. Wygląda na przyzwoitego człowieka. Porozmawiam z nim.

Zszedłszy wieczorem na kolację, pan Satterthwaite zastał księżnę, oślepiającą w czarnej aksamitnej sukni i swoich diamentach, rozmawiającą z przejęciem z właścicielem czteroosobowego samochodu. Skinęła władczo ręką.

— Niech pan tu przyjdzie, panie Satterthwaite. Pan Tomlinson opowiada mi nadzwyczaj zajmujące

rzeczy i wie pan? Zabierze nas jutro na wyprawę swoim autem.

Pan Satterthwaite spojrział na nią z podziwem.

— Musimy iść na kolację — powiedziała księżna. — Proszę usiąść przy naszym stoliku, panie Tomlinson. Będzie pan mógł dokończyć swoją opowieść.

— Całkiem przyzwoity człowiek — oznajmiła później.

— Z całkiem przyzwoitym samochodem — odparował pan Satterthwaite.

— Niegrzeczny — stwierdziła księżna i z trzaskiem trzepnęła go po palcach wyblakłym czarnym wachlarzem, który zawsze ze sobą nosiła. Pan Satterthwaite skrzywił się z bólu.

— Naomi też jedzie — ciągnęła księżna. — Swoim wozem. Musimy nad nią popracować. Jest bardzo samolubna. Nie nazwałabym jej egoistką, ale ta jej zupełna obojętność wobec wszystkich i wszystkiego! Zgadza się pan ze mną?

— To chyba nie jest możliwe — powiedział powoli pan Satterthwaite. — To znaczy, każdy musi mieć określone zainteresowania. Istnieją, oczywiście, ludzie pochłonięci jedynie sobą, ale — tu się z panią zgodzę — ona do nich nie należy. Sobą zupełnie się nie przejmuje. A jednak ma silną osobowość, więc coś musi ją interesować. Najpierw pomyślałem, że to jej sztuka, ale tak nie jest. Nigdy nie spotkałem kogoś równie oderwanego od życia. To niebezpieczne.

— Niebezpieczne? Co ma pan na myśli?

— Cóż, to może oznaczać obsesję, a to zawsze jest groźne.

— Satterthwaite — zaczęła księżna — niech pan nie będzie głupcem. Proszę słuchać: jeśli chodzi o jutrzejszy dzień...

Pan Satterthwaite słuchał. Taka już była jego rola w życiu.

Wyjechali wczesnym rankiem, zabierając ze sobą lunch. Naomi, która spędziła już na wyspie pół roku, miała prowadzić. Pan Satterthwaite podszedł do niej, kiedy siedziała już za kierownicą.

— Na pewno... nie mogę pojechać z panią? — zapytał z nadzieją.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Będzie panu o wiele wygodniej na tylnym siedzeniu tamtego samochodu. Miętko i tak dalej. A ten tutaj to rozklekotany stary grat. Na każdym wyboju podskakiwałby pan do góry.

— No i te wzgórza. Naomi roześmiała się.

— Och, to powiedziałam tylko dlatego, żeby uratować pana przed rozkładanym siedzeniem. Księżna mogłaby bez problemu pozwolić sobie na wynajęcie samochodu. To najbardziej skąpa kobieta w

całej Anglii. Mimo to staruszka jest zabawna i nic na to nie poradzę, że ją lubię.

— Więc jednak mógłbym pojechać z panią? — nalegał pan Satterthwaite.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

— Dlaczego tak bardzo chce pan ze mną jechać?

— Czy musi pani pytać? — Pan Satterthwaite skłonił się przed nią na swój śmieszny, staroświecki sposób.

Uśmiechnęła się, ale znowu potrząsnęła głową.

— Wcale nie dlatego — powiedziała, zamyślona. — To dość niezwykle... Ale dzisiaj nie może pan ze mną pojechać. Nie dzisiaj.

— Może innego dnia — podsunął uprzejmie pan Satterthwaite.

— Och, innego dnia! — Roześmiała się nagle, a pan Satterthwaite pomyślał, że jej śmiech brzmi dziwnie. — Innego dnia! Cóż, zobaczymy.

Ruszyli w drogę. Przejechali przez miasto, a potem wzdłuż długiego łuku zatoki. Skręcili w głąb łądu, aby przeciąć rzekę, i wrócili na wybrzeże z setkami malutkich piaszczystych zatoczek. A potem zaczęli piąć się w górę. W górę, wciąż w górę, po mrozących krew w żyłach zakrętach, w górę po zabójczo krętej drodze. Błękitna zatoka została daleko w dole, a na jej drugim brzegu Ajaccio błyszczało w słońcu, białe jak miasto z tysiąca i jednej nocy.

Pokonywali kolejne zakręty, a przepaść raz pojawiała się z prawej, raz z lewej strony. Panu Satterthwaite'owi trochę kręciło się w głowie i robiło się odrobinę niedobrze. Gdyby ta droga była szersza! Wciąż wspinali się w górę.

Ochłodziło się. Owiał ich wiatr wprost z ośnieżonych szczytów. Pan Satterthwaite postawił kołnierz płaszcza i zapiął się ciasno pod brodą.

Było bardzo zimno. Po drugiej stronie zatoki wciąż widniało Ajaccio skąpane w blasku słońca, które tutaj przesłoniły gęste, szare chmury. Pan Satterthwaite nie podziwiał już widoków. Tęsknił za ogrzewanym pokojem w hotelu i wygodnym fotelem.

Przed nimi mały samochód Naomi piął się jednostajnie w górę. Bez przerwy w górę. Znaleźli się na dachu świata. Po obu stronach ciągnęły się zbocza, zbiegające ku dolinom. Patrzyli wprost na ośnieżone szczyty. Wiatr dał prosto w nich, ostry jak nóż. Nagle wóz Naomi zatrzymał się i dziewczyna obejrzała się.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała. — Na końcu świata. To chyba nie najlepszy dzień na taką wyprawę.

Wysiedli. Dotarli do maleńkiej wioski, składającej się z jakichś sześciu kamiennych chat.

Trzydziestocentymetrowe litery dumnie obwieszczały jej nazwę: Coti Chiaveeri.

Naomi wzruszyła ramionami.

— To oficjalna nazwa, mnie bardziej podoba się Koniec Świata.

Przeszła kilka kroków, a pan Satterthwaite dołączył do niej. Zeszli poniżej zabudowań. Droga urywała się. Jak powiedziała Naomi, to był koniec, to, co znajduje się pod spodem: początek niczego. Za nimi ciągnęła się biała wstęga drogi, przed nimi — nicość. Dopiero daleko, daleko w dole — morze...

Pan Satterthwaite odetchnął głęboko.

— To niezwykle miejsce. Wydaje się, że tu wszystko może się zdarzyć, że można spotkać... każdego...

Urwał, gdyż tuż przed nimi siedział na głazie jakiś mężczyzna, z twarzą zwróconą ku morzu. Nie dostrzegli go wcześniej — pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jakby wyskoczył z otaczającego ich krajobrazu.

— Zastanawiam się, czy nie jest to... — zaczął pan Satterthwaite.

W tej samej chwili obcy odwrócił się i pan Satterthwaite zobaczył jego twarz.

— Ależ to pan Quin! Nadzwyczajne. Panno Carlton Smith, przedstawiam pani mojego przyjaciela, pana Quina. To niezwykle człowiek. Ależ tak, panie Quin, ależ tak. Zawsze pojawia się pan w najbardziej odpowiednim momencie... — Urwał, mając wrażenie, że powiedział coś bardzo znaczącego, choć za nic nie mógł domyślić się, co to było.

Naomi w typowy sobie, szorstki sposób uściśnęła rękę pana Quina.

— Przyjechaliśmy tu na piknik — powiedziała. — Ale wygląda na to, że przemarzniemy do szpiku kości.

Pana Satterthwaite'a przeszedł dreszcz.

— Może — zaczął niepewnie — znajdziemy jakieś schronienie?

— Na pewno nie tutaj — stwierdziła Naomi. — Jednak warto to było zobaczyć, prawda?

— Tak, rzeczywiście. — Pan Satterthwaite zwrócił się do pana Quina: — Panna Carlton nazywa to miejsce Końcem Świata. Odpowiednia nazwa, co?

Pan Quin powoli pokiwał głową.

— Tak, bardzo sugestywna. W takie miejsce trafia się tylko raz w życiu. Stąd nie można już pójść dalej.

— Co ma pan na myśli? — zapytała ostro Naomi. Odwrócił się do niej.

— Cóż, zwykle mamy jakiś wybór, prawda? W lewo lub w prawo. Do przodu albo do tyłu. Tutaj za plecami ma pani drogę, ale przed sobą — nic.

Naomi wpatrywała się w niego. Nagle zadrżała i zaczęła wycofywać się w stronę pozostałych osób. Obaj mężczyźni podążyli za nią. Pan Quin kontynuował rozmowę, lecz tym razem tonem swobodnej pogawędki.

— Ten mały samochód należy do pani, panno Carlton Smith?

— Tak.

— Sama pani prowadzi? Trzeba mocnych nerwów, by pokonać tę trasę. Zakręty są przerażające. Chwila nieuwagi, niesprawne hamulce i spada się w przepaść, w dół i w dół. To może się... łatwo przydarzyć.

Dołączyli do reszty. Pan Satterthwaite przedstawił swojego przyjaciela. Poczł, że ktoś ciągnie go za ramię. To była Naomi. Odciągnęła go na bok.

— Kto to jest? — dopytywała się gwałtownie. Pan Satterthwaite spojrział na nią ze zdumieniem.

— Cóż, właściwie sam nie wiem. To znaczy, znam go już od kilku lat... od czasu do czasu spotykamy się przypadkowo, ale jeśli chodzi o to, czy coś o nim wiem...

Przerwał. To, co mówił, było bez znaczenia i dziewczyna nawet go nie słuchała. Stała z opuszczoną głową, zaciskając ręce w pięści.

— On wie — powiedziała. — On wie. Ale skąd?

Na to pan Satterthwaite nie miał odpowiedzi. Mógł tylko patrzeć na nią bez słowa, niezdolny pojąć jej wzburzenie.

— Boję się — mruknęła.

— Pana Quina?

— Jego oczu. On widzi...

Coś zimnego i mokrego spadło na policzek pana Satterthwaite'a. Spojrział w górę.

— Śnieg! — zawołał, zaskoczony.

— Wybraliśmy ładny dzień na piknik. Opanowała się z wysiłkiem.

Co robić? Każdy miał jakiś pomysł. Śnieg padał gęsto. Pan Quin rzucił propozycję, na którą wszyscy przystali z ochotą. Na końcu szeregu domków stała mała kamienna gospoda. Ruszyli spieszenie ku

niej.

— Mają państwo własny prowiant — mówił pan Quin — a tam prawdopodobnie dostaniecie kawę.

Było to małe pomieszczenie, dość ciemne, gdyż niewiele światła wpadało przez jedyne okienko, lecz z drugiego końca izby rozchodził się miły, obiecujący ciepło blask. Stara Korsykanka dorzucała właśnie wiązkę gałęzi do ognia. Zapłonął jaśniej i nowo przybyli dostrzegli, że ktoś już tu dotarł przed nimi.

Na końcu drewnianego stołu siedziały trzy osoby. Dla pana Satterthwaite'a scena ta miała w sobie coś nierealnego, a jeszcze bardziej nierealni wydali mu się ci ludzie.

Kobieta u szczytu stołu wyglądała jak księżna — to znaczy jak powszechne wyobrażenie księżnej. Była idealną grande dame z teatralnej sceny. Arystokratyczną głowę trzymała wysoko, śnieżnobiałe włosy miała ułożone w wyszukaną fryzurę. Jej szara suknia udrapowana była w opadające miękko, artystyczne fałdy. Oparła podbródek na długiej, białej dłoni, a w drugiej ręce trzymała bułkę posmarowaną pâté de foie gras. Po jej prawej stronie siedział bardzo blady mężczyzna o kruczoczarnych włosach, w okularach w rogowej oprawie. Ubrany był wprost przepięknie. Właśnie odrzucił w tył głowę i wyciągnął lewą rękę, jakby zamierzał coś zadeklamować.

Po lewej stronie białowłosej damy siedział wesolutki człowieczek z łysą głową. Nikt nie spojrzał na niego po raz drugi.

Przez chwilę stali niepewnie, a potem księżna (autentyczna księżna) objęła dowodzenie.

— Czyż ta śnieżnica nie jest okropna? — powiedziała miłym tonem, podchodząc do stołu z uśmiechem, który przydawał się jej zawsze, kiedy pracowała w komitetach i biurach opieki społecznej. — Zapewne zaskoczyła państwa tak samo, jak nas? Lecz Korsyka jest cudowna. Przyjechałam tu dopiero wczoraj rano.

Czarnowłosa mężczyzna powstał i księżna z łaskawym uśmiechem usiadła na jego miejscu.

Odezwała się białowłosa dama.

— My jesteśmy tu od tygodnia.

Pan Satterthwaite drgnął. Czy ktokolwiek, kto choć raz usłyszał ten głos, mógłby go zapomnieć? Poniósł się echem po kamiennej izbie, nabrzmiały uczuciem, subtelny i melancholijny. Wydało mu się, że kobieta powiedziała coś cudownego, godnego pamięci, bardzo znaczącego. Że przemówiła z głębi serca.

Szepnął pospiesznie do pana Tomlinsona:

— Ten w okularach to pan Vyse, ten producent. Emerytowany hinduski sędzia popatrzył na pana Vyse'a z wyraźną niechęcią.

— Co produkuje? — spytał. — Dzieci?

— Och, mój Boże, ależ skąd! — Pan Satterthwaite był zaszokowany wzmianką o czymś tak niedelikatnym w połączeniu z panem Vyse'em. — Sztuki.

— Chyba wyjdę na zewnątrz — rzuciła Naomi. — Tu jest za gorąco.

Na dźwięk jej ostrego, opryskliwego głosu pan Satterthwaite aż podskoczył. Niemal na oślep ruszyła w stronę drzwi, odpychając na bok pana Tomlinsona. Na progu stanęła twarzą w twarz z panem Quinem. Zagroził jej drogę.

— Proszę wrócić i usiąść — powiedział rozkazującym tonem.

Ku zdumieniu pana Satterthwaite'a dziewczyna zawahała się tylko przez chwilę i usłuchała go. Usiadła przy drugim końcu stołu, jak najdalej od innych.

Pan Satterthwaite ruszył do przodu i uchwycił producenta za klapę marynarki.

— Pewnie mnie pan nie pamięta — zaczął. — Nazywam się Satterthwaite.

— Oczywiście! — Długa, koścista dłoń zacisnęła się boleśnie na rękę pana Satterthwaite'a. — Drogi przyjacielu. Co za spotkanie. Zna pan oczywiście pannę Nunn?

Pan Satterthwaite aż podskoczył. Nic dziwnego, że ten głos wydał mu się znajomy. Tysiące ludzi w całej Anglii przechodził dreszcz na dźwięk tych cudownych, pełnych emocji tonów. Rosina Nunn! Największa aktorka dramatyczna w Anglii. Pan Satterthwaite uległ jej czarowi jak wszyscy. Nikt nie mógł się z nią równać. Wcielala się w rolę, odnajdując najbardziej subtelne odcienie znaczeń. Zawsze uważał ją za aktorkę intelektualną — taką, która rozumie i dociera do samej duszy odtwarzanej postaci.

Można było wybaczyć mu to, że jej nie rozpoznał. Rosina Nunn często zmieniała upodobania. Przez dwadzieścia pięć lat swojego życia była blondynką. Po tournée po Stanach wróciła z kruczoczarnymi lokami i poważnie zajęła się tragedią. „Francuska markiza” była jej najnowszym kaprysem.

— A przy okazji, to pan Judd, mąż panny Nunn — Vyse niedbale przedstawił łysego mężczyznę.

Pan Satterthwaite wiedział, że Rosina Nunn miała już kilku mężów. Pan Judd musiał być ostatnim.

W tej chwili energicznie rozwijał paczuszki wyciągane z kosza u swego boku. Zwrócił się do żony:

— Jeszcze trochę pâté, moja droga? Ostatniej kromki nie posmarowałaś tak grubo, jak lubisz.

Rosina Nunn podała mu swoją bułkę i stwierdziła półgłosem:

— Henry wymyśla czarujące posiłki. Sprawy zaopatrzenia zawsze pozostawiani jemu.

— Nakarm bydełko — powiedział pan Judd i roześmiał się. Poklepał żonę po ramieniu.

— Traktuje ją, jakby była psem — pan Vyse ze smutkiem szepnął do ucha panu Satterthwaite'owi. —

Kroi dla niej jedzenie na kawałki. Dziwaczne istoty z tych kobiet.

Pan Satterthwaite wraz z panem Quinem zajęli się rozpakowywaniem lunchu. Jaja na twardo, szynkę i ser gruyere rozdano wokół stołu. Księżna i panna Nunn pograżyły się w prowadzonej półgłosem rozmowie. Od czasu do czasu słychać było głęboki kontralt aktorki.

— Chleb musi być lekko opieczony, rozumie pani? Potem cieniutka warstwa marmolady. Zwinać i wstawić do pieca na minutę, nie dłużej. Po prostu pychotka.

— Ta kobieta żyje po to, by jeść — mruknął pan Vyse. — Tylko po to. Nie potrafi myśleć o niczym innym. Pamiętam, jak to było w Jadąc w stronę morza, wie pan: I spędzę czas tak cudnie i spokojnie. Nie mogłem uzyskać tego efektu, o który mi chodziło. Wreszcie kazałem jej myśleć o miętowych czekoladkach. Uwielbia je. Od razu uzyskałem ten efekt — odległe spojrzenie, które trafia prosto w serce.

Pan Satterthwaite milczał. Przypomniał sobie tę scenę. Pan Tomlinson siedzący naprzeciw odchrząknął, zanim przyłączył się do rozmowy.

— Jak słyszę, wystawia pan sztuki? Sam lubię dobre przedstawienie. Pisarz Jim, o, to dopiero jest sztuka.

— Mój Boże — powiedział tylko pan Vyse i wstrząsnął nim dreszcz.

— Malutki ząbek czosnku — mówiła panna Nunn do księżnej. — Niech pani powie swojemu kucharzowi. Jest cudowne.

Westchnęła z zadowoleniem i zwróciła się do męża.

— Henry — powiedziała żałośnie — nawet nie spojrzałam na kawior.

— Najprawdopodobniej siedzisz na nim — odparł pogodnie pan Judd. — Położyłaś go za sobą na krześle.

Rosina Nunn poderwała się szybko i rozpromieniona spojrzała na pozostałych.

— Henry jest aż za dobry. Jestem okropnie roztargniona. Nigdy nie wiem, gdzie co kładę.

— Tak jak tamtego dnia, kiedy schowałaś perły do kosmetyczki — powiedział wesoło Henry. — I zostawiłaś ją w hotelu. Daję wam słowo, musiałem się wtedy solidnie nadzwonić, a ile telegramów wysłałem!

— Były ubezpieczone — panna Nunn oddała się wspomnieniom. — Nie tak jak mój opal. — Przez jej twarz przebiegł delikatny grymas rozdzierającego serce żalu.

Kilkakrotnie w obecności pana Quina pan Satterthwaite miał wrażenie, że uczestniczy w jakiejś sztuce. Tym razem było ono bardzo silne. Zupełnie jak we śnie. Każdy miał swoją rolę. Słowa „mój opal” były wskazówką dla niego. Pochylił się do przodu.

— Pani opal, panno Nunn?

— Masz masło, Henry? Dziękuję. Tak, mój opal. Ukradziono go i nigdy go nie odzyskałam.

— Proszę nam o tym opowiedzieć — powiedział pan Satterthwaite.

— A więc... Urodziłam się w październiku, więc opale przynoszą mi szczęście. Chciałam mieć coś naprawdę pięknego. Długo musiałam czekać. Powiedziano mi, że to jeden z najdoskonalszych opali. Niezbyt duży, wielkości mniej więcej dwuszylingowej monety, ale... och, ten kolor i ogień!

Westchnęła. Pan Satterthwaite zauważył, że księżna poruszyła się nerwowo, niespokojnie, ale panny Nunn nic nie mogło teraz powstrzymać. Mówiła dalej, a delikatny ton jej głosu nadawał całej opowieści charakter starodawnej, smutnej sagi.

— Ukradł go młody człowiek nazwiskiem Alex Gerard. Pisał sztuki.

— Bardzo dobre — ocenił profesjonalnie pan Vyse.

— Sam trzymałem jedną przez sześć miesięcy.

— Wystawił ją pan? — zapytał pan Tomlinson.

— Och, nie — pana Vyse'a zaszokował sam pomysł.

— Lecz wie pan, nawet kiedyś o tym myślałem.

— Była tam wspaniała rola dla mnie — powiedziała panna Nunn. — Tytuł brzmiał Dzieci Racheli, chociaż w całej sztuce nie było nikogo o tym imieniu. Przyszedł do teatru, żeby porozmawiać ze mną o swoim dziele. Spodobał mi się. Był sympatyczny... i bardzo nieśmiały, biedak. Pamiętam — na jej twarzy pojawiło się to piękne, rozmarzone spojrzenie — że kupił mi miętowe czekoladki. Opal leżał na toaletce. Gerard był kiedyś w Australii i trochę znał się na opalach. Podniósł go do światła i obejrzał. Pewnie wtedy włożył go ukradkiem do kieszeni. Zauważyłam zgubę, gdy tylko wyszedł. Ależ była awantura. Pamięta pan? — Zwróciła się do pana Vyse'a.

— O tak, pamiętam — jęknął.

— W jego pokoju znaleziono pustą kasetkę — ciągnęła panna Nunn. — Był bez grosza, a jednak następnego dnia wpłacił do banku sporą sumę. Próbował się tłumaczyć, ponoć jakiś przyjaciel postawił na konia w jego imieniu, ale nie potrafił pokazać nam tego przyjaciela. Mówił, że musiał wsadzić kasetkę do kieszeni przez pomyłkę. To było bardzo nieprzekonywujące, prawda? Mógł wymyślić coś lepszego... Musiałam złożyć zeznanie na policji. Wszystkie gazety zamieściły moje zdjęcia. Mój agent twierdził, że to bardzo dobra reklama dla mnie, ale wolałabym odzyskać mój opal.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Może ananasa z puszki? — podsunął pan Judd. Panna Nunn rozchmurzyła się.

— Gdzie jest?

— Dałem ci przed chwilą.

Panna Nunn obejrzała się, sprawdziła przed sobą, przyjrzała się podejrzliwie swojej jedwabnej szarej torebce, a potem wolno przyciągnęła wielką torbę z purpurowego jedwabiu, która leżała obok niej na podłodze. Powoli zaczęła wykladać jej zawartość na stół, co pan Satterthwaite obserwował z zainteresowaniem.

Był tam puszek do pudru, szminka, mała kasetka na klejnoty, motek wełny, następny puszek, dwie chusteczki, pudełko czekoladek z kremem, emaliowany nóż do papieru, lusterko, małe, brązowe drewniane pudełko, pięć listów, orzech włoski, kawałek fiołkoworóżowego krepdeszynu, wstążka i nadgryziony rogalik. Na koniec pojawiła się puszka ananasów.

— Eureka — mruknął cicho pan Satterthwaite.

— Słucham?

— Nic takiego — wyjąkał pośpiesznie pan Satterthwaite. — Jaki uroczy nóż do papieru.

— Prawda? Ktoś mi go podarował, nie pamiętam, kto. — To indyjskie pudełko — zauważył pan Tomlinson.

— Bardzo pomysłowe.

— Też je od kogoś dostałam. Mam je od dawna. W teatrze zawsze stało na mojej toalecie. Chociaż nie jest zbyt ładne, prawda?

Pudełko było zrobione ze zwykłego ciemnobrązowego drewna. Otwierało się z boku. Na wieczku widniały dwie klapki, obracające się wokół osi.

— Może i niezbyt ładne — przyznał ze śmiechem pan Tomlinson — ale założę się, że nigdy czegoś takiego nie widzieliście.

Pan Satterthwaite pochylił się z podnieceniem.

— Dlaczego powiedział pan, że jest pomysłowe? — zapytał.

— A nie jest? — sędzia zwracał się do panny Nunn, ale ona popatrzyła na niego bez wyrazu. — Zapewne nie wolno mi zdradzić jego sekretu?

Panna Nunn wciąż nie reagowała.

— Jakiego sekretu? — zapytał pan Judd.

— Na moją duszę, nie wie pan? Spojrzał po zaciekawionych twarzach.

— To dziwne. Mogę je wziąć na chwilę? Dziękuję. Otworzył je.

— A teraz poproszę, by ktoś dał mi coś do schowania, coś niezbyt dużego. O, kawałek sera, to się doskonale nada. Wkładam go do środka i zamykam pudełko.

Obracał je przez chwilę w dłoniach.

— A teraz zobaczcie...

Powtórnie otworzył pudełko. Było puste.

— Coś takiego! — powiedział pan Judd. — Jak pan to zrobił?

— To całkiem proste. Wystarczy obrócić pudełko do góry dnem i przesunąć do połowy lewą klapkę, a potem zamknąć prawą. Żeby odzyskać nasz kawałek sera, trzeba zrobić na odwrót. Przekręcamy prawą klapkę do połowy, lewą zamykamy, pudełko wciąż trzymamy dnem do góry. I teraz... proszę!

Wieczko odskoczyło. Wszyscy przy stole westchnęli. Ser leżał tam — ale było też coś jeszcze. Okrągły przedmiot, pobłyskujący wszystkimi barwami tęczy.

— Mój opal! — To było jak sygnał trąbki. Rosina Nunn stała wyprostowana, przyciskając ręce do piersi. — Mój opal! skąd się tam wziął?

Henry Judd odchrząknął.

— Ja... cóż, przypuszczam, Rosy, że sama tam go włożyłaś.

Ktoś poderwał się od stołu i wybiegł na zewnątrz. To była Naomi Carlton Smith. Pan Quin poszedł za nią.

— Ale kiedy? To znaczy, że...?

Pan Satterthwaite obserwował ją, kiedy prawda powoli do niej docierała. Trwało to całe dwie minuty.

— To znaczy, że to się stało w zeszłym roku? W teatrze?

— Wiesz — usprawiedliwiał ją Henry. — Bawisz się różnymi rzeczami. Tak jak z tym kawiozem dzisiaj.

Panna Nunn starała się nadążyć za myślami.

— Wrzuciłam go bezmyślnie, a potem pewnie zaczęłam się bawić pudełkiem i przypadkowo przekręciłam klapki. Ale w takim razie... w takim razie... — Wreszcie zrozumiała. — W takim razie Alec Gerard niczego nie ukradł. Och! — wzruszający, gorzki okrzyk z głębi krtani. — To straszne!

— Cóż — odezwał się pan Vyse — szybko można to naprawić.

— Tak, ale rok spędził w więzieniu. — Potem zaskoczyła ich wszystkich. Zwróciła się gwałtownie do księżnej: — Kim jest ta dziewczyna, ta, która przed chwilą stąd wybiegła?

— Panna Carlton Smith była zaręczona z panem Gerardem — odparła księżna. — Bardzo to przeżyła.

Pan Satterthwaite wyszedł po cichu. Śnieg już nie padał, Naomi siedziała na kamiennym murku. W rękę trzymała szkicownik, a wokół niej leżały rozrzucone kredki. Obok stał pan Quin.

Wyciągnęła szkicownik w stronę pana Satterthwaite'a. Rysunek wykonano pośpiesznie, ale mimo to był genialny. Wirujące płatki śniegu i jakaś postać wśród nich.

— To bardzo dobre — ocenił pan Satterthwaite. Pan Quin spojrzał w niebo.

— I po burzy — powiedział. — Drogi będą śliskie, ale nie sądzę, by doszło do wypadku... już nie.

— Nie będzie żadnego wypadku — odezwała się Naomi. Jej słowa miały jakieś ukryte znaczenie, lecz pan Satterthwaite nie potrafił go odczytać. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego — nagłym, oślepiającym uśmiechem. — Pan Satterthwaite może pojechać ze mną, jeśli chce.

Wtedy dopiero zrozumiał, do czego omal nie doprowadziła jej rozpacz.

— Cóż, muszę się z wami pożegnać — powiedział pan Quin.

Odszedł.

— Dokąd on idzie? — zapytał pan Satterthwaite, patrząc za nim.

— Pewnie tam, skąd przyszedł — odparła dziwnym tonem Naomi.

— Lecz... lecz tam nic nie ma — powiedział pan Satterthwaite, gdyż pan Quin zmierzał do miejsca na skraju urwiska, gdzie zobaczyli go po raz pierwszy. — Sama pani to powiedziała: to Koniec Świata.

Oddał jej szkicownik.

— To jest bardzo dobre — powtórzył. — Doskonale uchwycone podobieństwo. Lecz czemu... czemu ubrała go pani w strój z balu przebierańców?

Na sekundę ich spojrzenia się spotkały.

— Tak go widzę — wyjaśniła Naomi.

Pan Satterthwaite nie wiedział właściwie, co skłoniło go do odwiedzenia Denmanów. Nie należeli do ludzi jego pokroju, to znaczy nie należeli do wielkiego świata ani do ciekawszych jeszcze kręgów artystycznych. Byli filistynami, do tego nudnymi. Po raz pierwszy pan Satterthwaite spotkał ich w Biarritz, przyjął zaproszenie, przyjechał, wynudził się — a jednak znów do nich wracał.

Dlaczego? Po raz kolejny zadawał sobie to pytanie dwudziestego pierwszego czerwca, pędząc z Londynu w swoim rolls-roysie.

John Denman był mężczyzną czterdziestoletnim, solidnym, dobrze ustawionym, szanowanym w świecie biznesu. Jednak z panem Satterthwaite'em nie łączyli go wspólni znajomi, a tyrn bardziej wspólne przekonania. Denman był mądry w swojej dziedzinie, lecz poza nią zupełnie pozbawiony wyobraźni.

Dlaczego to robię? — zastanawiał się pan Satterthwaite, ale jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, wydawała się tak niejasna i niedorzeczna, że wolałby o niej zapomnieć. Ponieważ odpowiedź ta brzmiała: jego ciekawość wzbudził jeden z pokoi w wygodnym i świetnie prowadzonym domu. Ten pokój to salonik pani Denman.

Nie wyrażał jej osobowości, gdyż, o ile pan Satterthwaite mógł osądzić, ona w ogóle nie posiadała czegoś takiego jak osobowość. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety tak pozbawionej wyrazu. Wiedział, że z pochodzenia była Rosjanką. John Denman trafił do Rosji zaraz po wybuchu wojny, walczył z oddziałami rosyjskimi i o włos uniknął śmierci, kiedy zaczęła się rewolucja. Przywiózł ze sobą rosyjską dziewczynę, uciekinierkę bez grosza. Poślubił ją mimo wyraźnego sprzeciwu rodziców.

Pokój pani Denman nie wyróżniał się niczym szczególnym. Urządzony przyzwoicie, umeblowany autentycznym Hepplewhite'em, miał atmosferę trochę bardziej męską niż kobiecą. Jednak znalazł się w nim jeden niespójny szczegół: chiński parawan z laki, w kolorach kremowej żółci i bladego różu. Każde muzeum kupiłoby go z zachwytem. Był rzeczą dla kolekcjonera, rzadką i piękną.

W solidnym angielskim otoczeniu wydawał się zupełnie nie na miejscu. Powinien stanowić główny akcent pokoju, w którym wszystko subtelnie by z nim harmonizowało. A mimo to pan Satterthwaite nie oskarżał Denmanów o brak smaku. Wystrój reszty domu tworzył spójną całość.

Potrząsnął głową. Ta rzecz, choć tak trywialna, ogromnie go intrygowała. Dla niej właśnie wciąż tu przyjeżdżał. Może był to kobiecy kaprys, lecz takie rozwiązanie go nie zadowalało. Wystarczyło pomyśleć o pani Denman: kobiecie spokojnej, o surowych rysach, mówiącej po angielsku tak poprawnie, że nikt nie odgadłby w niej cudzoziemki.

Samochód dotarł do celu i pan Satterthwaite wysiadł, wciąż skupiony nad zagadką chińskiego parawanu. Posiadłość Denmanów, Ashmead, miała około pięciu akrów powierzchni i znajdowała się w Melton Heath, które leży trzydzieści kilometrów od Londynu, pięćset stóp nad poziomem morza i zamieszkane jest przede wszystkim przez ludzi o sporych dochodach.

Lokaj uprzejmie powitał pana Satterthwaite'a. Państwa Denman nie było, wyszli na próbę, lecz mieli nadzieję, że pan Satterthwaite rozgości się do ich powrotu.

Pan Satterthwaite skinął głową i przystąpił do realizacji zaleceń, wkraczając do ogrodu. Po pobieżnej inspekcji klombów powędrował cienistą aleją, docierając do bramy w murze. Nie była zamknięta, więc otworzył ją i wyszedł na wąską ścieżkę.

Rozejrzał się w obie strony. Alejka była czarująca, cienista i zielona, okolona wysokim żywopłotem — typowa wiejska dróżka, pełna zakrętów, w dobrym, staroświeckim stylu. Przypomniawszy mu się adres wytłoczony na papierze listowym: „Ashmead, Aleja Arlekina”, Przypomniał sobie także miejscową nazwę, którą usłyszał od pani Denman.

— Aleja Arlekina — szepnął miękko do siebie. — Ciekawe...

Skręcił za róg.

Nie wtedy, lecz znacznie później zastanawiał się, dlaczego to wcale się nie zdziwił, spotykając swego nieuchwytnego przyjaciela, pana Harleya Quina. Podali sobie ręce.

— Więc jest pan tutaj — powiedział pan Satterthwaite.

— Tak. Zatrzymałem się w tym samym domu, co pan.

— Zatrzymał się pan?

— To pana dziwi?

— Nie — odparł wolno pan Satterthwaite. — Tylko że... no cóż, pan nigdzie nie zatrzymuje się na długo, prawda?

— Tylko na tyle, ile trzeba — odrzekł z powagą pan Quin.

— Rozumiem.

Przez jakiś czas spacerowali w milczeniu.

— Ta aleja... — zaczął pan Satterthwaite i urwał.

— Należy do mnie — powiedział pan Quin.

— Tak myślałem. Właśnie tak sobie pomyślałem. Ma jeszcze inną nazwę, miejscową. Nazywają ją Aleją Zakochanych. Wiedział pan o tym?

Pan Quin skinął głową.

— Lecz chyba w każdej wiosce jest Aleja Zakochanych? — rzucił łagodnie.

— Pewnie tak — przyznał pan Satterthwaite i lekko westchnął.

Nagle poczuł się stary, wyrzucony poza nawias. Mały, zasuszony, pomarszczony zręda. Po obu stronach drogi rósł żywopłot, zielony i pełen życia.

— Ciekawe, gdzie ta aleja się kończy? — zapytał raptem.

— Tutaj — odparł pan Quin.

Minęli ostatni zakręt. Aleja kończyła się na ugorze i niemal u ich stóp otwierał się wielki dół. Wypełniały go błyszczące w słońcu puszki, stare buty, kolejne puszki, zbyt zardzewiałe, by błyszczeć, strzępy gazet, tysiąc jeden drobiazgów, które nie miały już dla nikogo znaczenia.

— Śmietnisko — wykrzyknął pan Satterthwaite, wzdychając głęboko z pogardą.

— Czasem na śmietniku leżą wspaniałe skarby — zauważył pan Quin.

— Wiem, wiem — zawołał pan Satterthwaite i zacytował z lekkim zażenowaniem: — „Przynies mi dwie najpiękniejsze rzeczy w tym mieście, powiedział Bóg”. Wie pan, co jest dalej, prawda?

Pan Quin skinął głową.

Pan Satterthwaite przeniósł wzrok wyżej, na ruiny maleńkiej chatki usadowionej przy ścianie urwiska.

— Niezbyt miły widok z okien — zauważył.

— Zdaje się, że w dawnych czasach nie było tu wysypiska — powiedział pan Quin. — Chyba zamieszkali w niej Denmanowie zaraz po swoim ślubie. Do dużego domu przeprowadzili się po śmierci starszych państwa. Chatkę rozebrano, kiedy zaczęto stąd wydobywać kamień, lecz, jak pan widzi, nie do końca.

Zawrócili i zaczęli iść z powrotem.

— Przypuszczam — zaczął z uśmiechem pan Satterthwaite — że wiele par wędruje tą aleją w ciepłe letnie wieczory.

— Prawdopodobnie.

— Zakochani — mówił pan Satterthwaite. Powtórzył to słowo w zamyśleniu, bez typowego dla Anglików zakłopotania. Taki efekt wywierał na niego pan Quin.

— Zakochani... Wiele pan dla nich uczynił, panie Quin.

Jego towarzysz skinął głową bez słowa.

— Ratował ich pan od smutku, a nawet więcej — od śmierci. Był pan nawet adwokatem zmarłych.

— Mówi pan o sobie, o tym, co pan zrobił, nie ja.

— Na jedno wychodzi — stwierdził pan Satterthwaite.

— Wie pan o tym — upierał się, ponieważ pan Quin milczał. — Działał pan za moim pośrednictwem. Z jakichś powodów nie wkracza pan sam do akcji.

— Niekiedy to robię — powiedział pan Quin.

W jego głosie brzmiała nowa nuta. Wbrew sobie pan Satterthwaite zdrzął lekko. Pewnie popołudnie zrobi się chłodne — pomyślał. A jednak słońce zdawało się świecić równie jasno, jak przed chwilą.

W tym momencie z za zakrętu przed nimi wyłoniła się jakaś dziewczyna. Była bardzo ładna, jasnowłosa, niebieskooka, ubrana w różową bawełnianą sukienkę. Pan Satterthwaite rozpoznał w niej Molly Stanwell, którą kiedyś już spotkał u Denmanów.

Pomachała mu ręką na powitanie.

— John z Anną właśnie wrócili — zawołała. — Wiedzieli, że pan przyjedzie, ale po prostu musieli pójść na próbę.

— Jaką próbę? — zapytał pan Satterthwaite.

— Jakiejś maskarady, nie wiem, jak to się dokładnie nazywa. Aktorzy śpiewają, tańczą i robią mnóstwo innych rzeczy. Pan Manly, pamięta go pan? Śpiewa ładnym tenorem. Ma być Pierrotem, a ja jestem Pierretą. Tańczyć będą profesjonalni aktorzy. Wie pan, jako Arlekin i Kolombina. Do tego jeszcze chór dziewczęcy. Lady Roscheimer ćwiczy z ogromnym zapałem z dziewczynami z wioski. I naprawdę zaczyna jej z tego coś wychodzić. Muzyka jest dość ładna, ale bardzo nowoczesna, właściwie bez melodii. Claude Wickam. Może go pan zna?

Pan Satterthwaite przytaknął, gdyż, o czym wspomniano już wcześniej, do jego metier należało znać wszystkich. Wiedział wszystko o ambitnym geniuszu Claudzie Wickamie, a także o lady Roscheimer — grubej Żydówce ze skłonnością do utalentowanych artystycznie młodych mężczyzn. Znał też sir Leopolda Roscheimera, który pragnął szczęścia swej żony i, co niezwykle rzadkie wśród mężów, nie miał nic przeciwko temu, by szukała go na własny sposób.

Zastali Claude'a Wickama w trakcie herbaty z Denmanami. Wpychał sobie do ust wszystko, co było pod ręką, mówił szybko i wymachiwał dużymi białymi dłońmi, które wyglądały tak, jakby miały podwójne stawy. Jego krótkowzroczne oczy zerknęły z za wielkich okularów w rogowej oprawie.

John Denman, wyprostowany, lekko czerwony na twarzy, gładko przylizany, słuchał uprzejmie, choć ze znużeniem. Jak tylko pojawił się pan Satterthwaite, muzyk zaczął do niego kierować swoje uwagi. Anna Denman siedziała przy zastawie do herbaty, cicha i nijaka jak zawsze.

Pan Satterthwaite spojrział na nią ukradkiem. Wysoka, posępna, chuda, z mocno napiętą na kościach policzkowych skórą, czarnymi włosami z przedziałkiem pośrodku, ogorzałą cerą. Kobieta spędzająca dużo czasu na świeżym powietrzu, nie zwracająca sobie głowy kosmetykami. Holenderska lalka,

drewniana, bez życia, a jednak...

Ta twarz powinna skrywać emocje — pomyślał — a żadnych nie kryje. Dlatego jest tak niestosowna. Zupełnie niestosowna. Zwrócił się do Claude'a Wickama:

— Słucham pana? Co pan mówił?

Claude, który lubił brzmienie własnego głosu, zaczął jeszcze raz od początku:

— Rosja to jedyny kraj na świecie wart zainteresowania. Eksperymentują. Z ludzkim życiem, można i tak rzec, ale eksperymentują. Wspaniale! — Jedną ręką wepchnął do ust kanapkę, a drugą przestał wymachiwać tylko po to, by ugryźć kawałek czekoladowego eklera. — Weźmy — powiedział z pełnymi ustami — rosyjski balet. — Przypomniał sobie o gospodyni i zwrócił się do niej, pytając co sądzi o rosyjskim balecie.

Pytanie było jedynie preludium do poważniejszej kwestii, to jest tego, co sam Claude Wickam sądzi o rosyjskim balecie, lecz niespodziewana odpowiedź pani Denman zupełnie zbiła go z tropu.

— Nigdy go nie widziałam.

— Co? — Gapił się na nią z otwartymi ustami.

— Lecz... przecież...

Mówiła dalej, tonem jednostajnym i beznamiętnym.

— Przed ślubem byłam tancerką. Teraz więc...

— Urlopu nie spędza się w pracy — oświadczył jej mąż.

— Taniec. — Wzruszyła ramionami. — Znam wszystkie sztuczki. Nie interesuje mnie.

— Och!

Claude potrzebował zaledwie chwili, by odzyskać pewność siebie. Podjął wątek.

— Mówiąc o ludzkim życiu — odezwał się pan Satterthwaite — i eksperymentach. Jeden z nich sporo Rosjan kosztował.

Claude Wickam odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

— Wiem, co chce pan powiedzieć — zawołał. — Kharsanova! Nieśmiertelna i jedyna Kharsanova! Widział pan, jak tańczy?

— Trzykrotnie — odparł pan Satterthwaite. — Dwa razy w Paryżu, raz w Londynie. Nigdy... nigdy jej nie zapomnę.

Mówił niemal z czcią.

— Ja też ją widziałem — powiedział Claude Wickam. — Miałem dziesięć lat. Wuj zabrał mnie na przedstawienie. Boże! Nigdy tego nie zapomnę.

Gwałtownie cisnął kawałek bułki między kwiaty.

— W muzeum berlińskim stoi jej statuetka — kontynuował pan Satterthwaite. — Jest cudowna. To wrażenie kruchości, jakby można ją było stłuc dotknięciem palca. Widziałem ją jako Kolombinę, w Jeziorze Łabędzim, jako umierającą nimfę. — Umilkł, potrząsając głową. — Była genialna. Minie wiele lat, zanim narodzi się godna jej następczyni. Do tego taka młoda. Zabito ją bezmyślnie, niepotrzebnie, na samym początku rewolucji.

— Głupcy! Szaleńcy! Małpy! — wołał Claude Wickam. Zakrztusił się herbatą.

— Studiowałam z Kharsanową — odezwała się pani Denman. — Dobrze ją pamiętam.

— Była wspaniała, prawda? — zapytał pan Satterthwaite.

— Tak — potwierdziła cicho pani Denman. — Wspaniała.

Claude Wickam odszedł. John Denman westchnął głęboko z ulgą, aż jego żona roześmiała się. Pan Satterthwaite skinął głową.

— Wiem, co pan myśli. Jednak mimo wszystko muzyka, którą komponuje ten chłopiec, jest prawdziwą muzyką.

— Zapewne — powiedział Denman.

— Bez wątpienia. Jak długo taka pozostanie, to zupełnie inna kwestia.

Denman spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— To znaczy?

— Sukces nadszedł prędko, a to niebezpieczne. Zawsze. — Spojrzał nad stołem na pana Quina. — Zgadza się pan ze mną?

— Pan zawsze ma rację — odparł pan Quin.

— Przejdziemy na górę do mojego pokoju — zdecydowała pani Denman. — Tam jest tak miło.

Poprowadziła ich za sobą. Pan Satterthwaite wstrzymał oddech na widok chińskiego parawanu. Podniósł wzrok i napotkał badawcze spojrzenie pani Denman.

— Jest pan człowiekiem, który zawsze ma rację — powiedziała, kiwając wolno głową. — Co pan sądzi o moim parawanie?

Poczuł, że słowa te były wyzwaniem, i odpowiedział trochę niepewnie, jękając się lekko:

— Cóż, jest... jest piękny. Więcej nawet: wyjątkowy.

— Ma pan rację. — Za nimi stanął Denman. — Kupiliśmy go na początku małżeństwa. Za dziesiątą część jego prawdziwej wartości, a mimo to przez rok ledwie wiąźaliśmy koniec z końcem. Pamiętasz, Anno?

— Tak — powiedziała pani Denman. — Pamiętam.

— Właściwie nie mieliśmy żadnego powodu, by go kupować. Nie wtedy. Teraz, oczywiście, jest inaczej. Parę dni temu w salonie Christie wystawiono bardzo dobre rzeczy z laki. Akurat to, czego potrzebujemy, by ten pokój stał się doskonały. Wszystko chińskie, resztę się usunie. Uwierzy pan, Satterthwaite, że moja żona nie chciała o tym słyszeć?

— Lubię ten pokój takim, jaki jest — odparła pani Denman.

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Ponownie pan Satterthwaite poczuł się wyzwany i pokonany. Rozejrzał się wokoło i po raz pierwszy dostrzegł, że w pokoju brak jakiegokolwiek osobistego akcentu. Nie było zdjęć, kwiatów, drobiazgów. Wcale nie przypominał kobiecego pokoju. Poza parawanem — jedynym niespójnym przedmiotem — mógłby stanowić ekspozycję domu meblowego.

Zauważył, że uśmiecha się do niego.

— Proszę posłuchać. — Pochyliła się i przez chwilę wydawała się mniej angielska, bardziej egzotyczna. — Mówię to panu, gdyż pan zrozumie. Kupiliśmy ten parawan za coś więcej niż pieniądze. Kupiliśmy go z miłości. Z miłości, gdyż był piękny i unikatowy, obywaliliśmy się bez innych rzeczy, rzeczy, których potrzebowaliśmy, których nam brakowało. Chińskie przedmioty, o których wspominał mój mąż, kupilibyśmy tylko za pieniądze, nie oddalibyśmy za nie nic z siebie.

Jej mąż roześmiał się.

— Niech będzie, jak chcesz — powiedział, ale w jego głosie brzmiał cień irytacji. — A jednak on zupełnie nie pasuje do angielskiego wnętrza. Pozostałe meble są dobre, solidne, autentyczne, ale przeciętne. Dobry, prosty, późny Hepplewhite. Skinęła głową.

— Dobra, solidna, autentyczna Anglia — szepnęła miękko.

Pan Satterthwaite wpatrzył się w nią. Uchwycił sens skryty za jej słowami. Angielski pokój i przepiękny chiński parawan... Nie, znów mu to uleciało.

— Spotkałem pannę Stanwell w alei — powiedział lekko. — Mówiła mi, że w dzisiejszym przedstawieniu będzie Pierretta.

— Tak — potwierdził Denman. — Jest świetna.

— Niezgrabnie stawia stopy — zauważyła Anna.

— Bzdura — orzekł jej mąż. — Wszystkie kobiety są takie same, panie Satterthwaite. Nie znoszą, kiedy chwali się przy nich inne. Molly jest bardzo ładną dziewczyną, więc oczywiście inne muszą jej wetknąć szpilkę.

— Mówiłam o tańcu — upierała się Anna Denman. Wydawała się trochę zdziwiona. — Jest bardzo ładna, to prawda, lecz jej stopy poruszają się niezgrabnie. Nie możesz zaprzeczyć, ponieważ znam się na tańcu.

Pan Satterthwaite wtrącił się taktownie.

— Ponoć przyjedzie dwoje profesjonalnych tancerzy?

— Tak, na sam balet. Księżę Oranoff przywiezie ich swoim samochodem.

— Sergiusz Oranoff?

Pytanie padło z ust Anny Denman. Jej mąż odwrócił się i spojrzał na nią.

— Znasz go?

— Znałam go... w Rosji.

Pan Satterthwaite pomyślał, że John Denman wygląda na zaniepokojonego.

— Pozna cię?

— Tak. Pozna.

Roześmiała się — niskim, niemal triumfalnym śmiechem. Teraz w jej twarzy nie było nic z holenderskiej lalki. Kiwnęła uspokajająco głową w stronę męża.

— Sergiusz. A więc przywiezie dwoje tancerzy. Zawsze interesował go taniec.

— Pamiętam — rzucił ostro John Denman, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pan Quin poszedł za nim. Anna Denman podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła o połączenie. Zatrzymała pana Satterthwaite'a ruchem ręki, kiedy zamierzał postąpić za przykładem obu mężczyzn.

— Chciałam mówić z lady Roscheimer. Ach, to pani. Tu Anna Denman. Czy księżę Oranoff już przyjechał? Co? Co? Mój Boże, to potworne!

Słuchała jeszcze przez chwilę, potem rozłączyła się. Zwróciła się do pana Satterthwaite'a.

— Zdarzył się wypadek. Do przewidzenia, skoro Sergiusz Iwanowicz prowadził. Nie zmienił się przez te wszystkie lata. Dziewczyna nie jest ciężko ranna, tylko posiniaczona i w szoku. Nie da rady zatańczyć wieczorem. Mężczyzna ma złamaną rękę. Samemu Sergiuszowi nic się nie stało. Diabeł

troszczy się o swoich.

— A co z dzisiejszym przedstawieniem?

— No właśnie, przyjacielu. Trzeba coś z tym zrobić. Usiadła zamyślona. Po chwili spojrzała na niego.

— Zła ze mnie gospodyni, panie Satterthwaite. Nie zabawiam pana.

— Zapewniam panią, że nie jest to konieczne. Choć jedną rzecz chciałbym wiedzieć, pani Denman.

— Tak?

— Jak poznała pani pana Quina?

— Często tu przyjeżdża — odparła powoli. — Przypuszczam, że ma tu własną ziemię.

— Ależ ma, ma. Powiedział mi o tym po południu.

— Jest... — Urwała. Napotkała spojrzenie pana Satterthwaite'a. — Zapewne wie pan, kim jest, lepiej ode mnie — dokończyła.

— Ja?

— Czyż nie?

Zmieszał się. Ta kobieta niepokoiła jego uporządkowaną, schludną duszyczkę. Czuł, że chce pchnąć go dalej, niż miał ochotę pójść, że pragnie zmusić go do wyrażenia tego, czego nie był gotów przyznać nawet sam przed sobą.

— Pan wie! — powiedziała. — Sądzę, że wie pan niemal wszystko, panie Satterthwaite.

To był wielki komplement, lecz ten jeden raz nie odurzył go. Pokręcił głową z niezwykłą u siebie pokorą.

— Cóż można wiedzieć? — zapytał. — Niewiele, tak niewiele.

Skinęła głową. Po chwili odezwała się ponownie, zadumanym głosem, nie patrząc na niego.

— Przypuśćmy.... Coś panu powiem. Nie będzie się pan śmiał? Nie, nie sądzę, by to pana rozśmieszyło. Przypuśćmy więc, że aby wykonywać... — urwała na chwilę — swój zawód, trzeba użyć fantazji, udawać przed sobą coś, co nie istnieje, wyobrażać sobie pewną postać... To tylko zabawa, gra, pan rozumie? Nic poza tym. Lecz pewnego dnia...

— Tak? — Pan Satterthwaite był zaintrygowany.

— Fantazja się urzeczywistnia! To, co sobie wyobrażaliśmy, rzecz niemożliwa, nieistniejąca — staje

się prawdą! Czy to szaleństwo? Proszę mi powiedzieć, panie Satterthwaite. Czy to szaleństwo, czy pan też w to wierzy?

— Ja.,. — Dziwne, jak trudno było mu wydobyć z siebie słowa. Jak mocno zdawały się tkwić głęboko w gardle.

— To głupie — stwierdziła Anna Denman. — Głupie. Wybiegła z pokoju, pozostawiając pana Satterthwaite'a z niewypowiedzianym wyznaniem wiary.

Kiedy zszedł na kolację, pani Denman zabawiała gościa — wysokiego, śniadego mężczyznę zbliżającego się do lat średnich.

— Księżę Oranoff, pan Satterthwaite.

Obaj skinęli głowami. Pan Satterthwaite miał wrażenie, że jego nadejście przerwało rozmowę, która nie zostanie już podjęta. Lecz nie odczuwał napięcia. Rosjanin poruszał lekko i swobodnie tematy nader bliskie sercu pana Satterthwaite'a. Był to człowiek o wyrafinowanym smaku artystycznym i wkrótce odkryli, że mają wielu wspólnych znajomych. Dołączył do nich John Denman i rozmowa zeszła na sprawy miejscowe. Oranoff wyraził żal z powodu wypadku.

— To nie była moja wina. Lubię prowadzić szybko, ale jestem dobrym kierowcą. To było fatum, przypadek — wzruszył ramionami — który rządzi nami wszystkimi.

— Odzywa się w tobie Rosjanin, Sergiuszu Iwanowiczu — zauważyła pani Denman.

— I znajduje wdzięczną słuchaczkę w tobie, Anno Michajłowna — odparował szybko.

Pan Satterthwaite przyjrzał się całej trójce. John Denman, jasnowłosey, wyniosły, angielski w każdym calu, i ta dwójka: oboje ciemnowłosey, szczupli, dziwnie podobni. Coś zaświtało mu w głowie, ale co? Aha! Już wiedział. Pierwszy akt Walkirii. Sigmund i Sieglinde — jak bliźnięta — i obcy im Hunding. Pana Satterthwaite'a ogarnęły różne domysły. Czyżby tu kryło się wyjaśnienie obecności pana Quina? W jedno wierzył na pewno: gdziekolwiek zjawiał się pan Quin, zanosilo się na dramat. Czy krył się tutaj, w starej, banalnej tragedii trójkąta?

Był lekko rozczarowany. Miał nadzieję na coś lepszego.

— Co ustalono, Anno? — zapytał Denman. — Pewnie trzeba to będzie odłożyć. Słyszałem, że dzwoniłaś do Roscheimerów.

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie trzeba nic odkładać.

— Lecz nie poradzisz sobie bez baletu?

— Na pewno nie sposób wystawić Arlekinady bez Arlekina i Kolombiny — zgodziła się sucho Anna. — Ja będę Kolombiną, John.

— Ty? — Był zdumiony... zaniepokojony, jak ocenił pan Satterthwaite.

Skinęła spokojnie głową.

— Nie musisz się obawiać, John. Nie przyniosę ci wstydu. Zapominasz, że to był niegdyś mój zawód.

Pan Satterthwaite pomyślał: Jaką dziwną rzeczą jest głos. To, co przekazuje... i co pozostawia niewypowiedziane, a jednak pełne znaczenia! Chciałbym wiedzieć....

— Cóż — rzucił Denman niechętnie. — To rozwiązuje jedną połowę problemu. Co z drugą? Gdzie znajdziesz Arlekina?

— Znalazłam go... tam.

Wskazała ręką na otwarte drzwi, w których właśnie pojawił się pan Quin. Oddał jej uśmiech.

— Dobry Boże, Quin — powiedział John Denman. — Zna się pan coś na tym? Nigdy bym nie zgadł.

— Pan Quin został polecony przez fachowca — wyjaśniła jego żona. — Pan Satterthwaite ręczy za niego.

Uśmiechnęła się do pana Satterthwaite'a, a mały człowieczek odparł cicho:

— O tak, ręczę za pana Quina.

Denman zainteresował się już innym tematem.

— Wiecie, że po spektaklu szykuje się bal maskowy? Ogromna niedogodność. Będziemy musieli pana wystroić, Satterthwaite.

Pan Satterthwaite stanowczo pokręcił głową.

— Wytłumaczają mi moje lata. — Przyszedł mu do głowy znakomity pomysł. Stołowa serwetka na ramieniu... — Oto ja, starszy kelner, który pamięta lepsze czasy.

Roześmiał się.

— Ciekawy zawód — ocenił pan Quin. — Tyle można zobaczyć.

— Ja muszę założyć idiotyczny strój Pierrota — stwierdził ponuro Denman. — Przynajmniej jest chłodno. A co z panem? — Spojrzał na Oranoffa.

— Założę kostium Arlekina — odparł Rosjanin. Jego wzrok zatrzymał się na dłużej na twarzy gospodyni.

Pan Satterthwaite zastanawiał się, czy pomylił się, wyobrażając sobie, że na chwilę atmosfera zrobiła się napięta.

— To może być nas trzech — roześmiał się Denman. — Mam stary kostium Arlekina, który żona uszyła mi na początku małżeństwa na jakieś przyjęcie. — Urwał, patrząc na szeroki gors koszuli. — Pewnie się w niego nie zmieszczę.

— Nie — odparła jego żona — teraz się już w niego nie zmieścisz.

I ponownie jej głos mówił coś więcej niż wypowiedziane słowa.

Spojrzała na zegar.

— Jeśli Molly nie zjawi się wkrótce, nie będziemy na nią czekać.

Lecz w tej chwili zaanonsowano jej przyjście. Miała już na sobie sukienkę Pierretty — biało-zieloną — i wyglądała w niej czarująco, jak ocenił pan Satterthwaite.

Była podniecona, pełna entuzjazmu wobec zbliżającego się przedstawienia.

— Okropnie się denerwuję — wyznała, kiedy pili kawę po obiedzie. — Wiem, że głos będzie mi drżał i zapomnę słów.

— Masz uroczy głos — powiedziała Anna. — Na twoim miejscu tym bym się nie martwiła.

— Ale ja się martwię. Nie przejmuję się resztą, to znaczy tańcem. Na pewno pójdzie mi dobrze. Przecież nie można bardzo pomylić się w tańcu, prawda?

Zwracała się do Anny, ale starsza kobieta nie odpowiedziała. Zamiast tego zaproponowała:

— Zaśpiewaj coś panu Satterthwaite'owi. Na pewno podniesie cię na duchu.

Molly podeszła do fortepianu. Jej głos w starej irlandzkiej balladzie zabrzmiał świeżo i melodyjnie.

— „Shielo, ciemnowłosa Shielo, cóż widzisz takiego? Cóż widzisz takiego w ognia płomieniu?
Chłopca, który mnie kocha i chłopca, który mnie rzuca.

Widzę też chłopca z Krainy Cienia, A ten przyniesie mi smutek.”

Kiedy skończyła śpiewać, pan Satterthwaite skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę.

— Pani Denman nie myli się. Ma pani uroczy głos. Może niezbyt wyszkolony, lecz zachwycająco naturalny, z tą niemożliwą do wyuczenia nutką młodości.

— Zgadza się — dołączył się John Denman. — Tylko tak dalej, Molly, i nie poddawaj się tremie. A teraz jedźmy już lepiej do Roscheimerów.

Rzeszli się, aby włożyć okrycia. Noc była wspaniała i, ponieważ dom Roscheimerów stał zaledwie sto jardów dalej postanowili pójść pieszo.

Pan Satterthwaite szedł obok przyjaciela.

— To dziwne — powiedział — lecz piosenka Molly skojarzyła mi się z panem. Ten trzeci chłopiec, „z Krainy Cienia”, kryje w sobie tajemnicę, a gdziekolwiek jest jakaś tajemnica, cóż... pan mi przychodzi na myśl.

— Czy jestem tak tajemniczy? — zapytał z uśmiechem pan Quin.

Pan Satterthwaite przytaknął energicznie.

— Ależ tak. Wie pan, aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, że jest pan zawodowym tancerzem.

— Naprawdę?

— Niech pan posłucha. — Pan Satterthwaite zanucił miłosny motyw z Walkirii. — To brzmiało mi w głowie przez cały obiad, kiedy patrzyłem na tę dwójkę.

— Jaką dwójkę?

— Księcia Oranoffa i panią Denman. Nie zauważył pan w niej odmiany? Jakby... jakby otworzono nagle okiennicę i w pokoju rozblęsnęło światło.

— Tak — zgodził się pan Quin. — Może i tak.

— Stary dramat — ciągnął pan Satterthwaite. — Nie myślę, się, prawda? Tych dwoje należy do siebie. Pochodzą z tego samego świata, mają te same myśli, marzenia... Można dostrzec, jak do tego doszło. Dziesięć lat temu Denman na pewno był bardzo przystojny, młody, urzekający, postać rodem z romansu. Do tego uratował jej życie. Wszystko to bardzo naturalne. A teraz, kimże takim on jest? Dobry człowiek, zamożny, odnoszący sukcesy, lecz cóż, przeciętny. Prawy, uczciwy Anglik, zupełnie jak meble Hepplewhite'a. Tak samo angielski i tak samo zwyczajny jak ta ładna dziewczyna ze swoim świeżym, niewyszkolonym głosem. Och, może się pan uśmiechać, ale nie może pan temu zaprzeczyć.

— Niczemu nie zaprzeczam. To, co pan widzi, jest zawsze prawdą. A jednak...

— Jednak?

Pan Quin pochylił się. Jego ciemne, melancholijne oczy odszukały wzrok pana Satterthwaite'a.

— Tak niewiele nauczył się pan o życiu? — szepnął. Zostawił pana Satterthwaite'a odrobinę wytrąconego z równowagi i tak zadumanego, że pozostali wyruszyli bez niego, nie czekając, aż wybierze odpowiedni szalik. Wyszedł przez ogród, otwierając tę samą furtkę, którą odkrył po południu. Aleja skąpana była w świetle księżyca i nawet teraz dostrzegł splecioną w uścisku parę.

Przez chwilę pomyślał, że to...

A potem zobaczył wyraźnie. John Denman i Molly Stanwell. Dobiegł go głos Denmana, ochryply i

udręczony.

— Nie mogę żyć bez ciebie. Co my pocniemy? Pan Satterthwaite obrócił się, by wrócić tam, skąd przyszedł, lecz zatrzymała go czyjaś dłoń. Ktoś oprócz niego stał w bramie, ktoś, kto także to zobaczył.

Wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, aby pan Satterthwaite zrozumiał, jak błędne były jego przypuszczenia.

Trzymała drżącą z udręki dłoń na jego ramieniu, póki tych dwoje nie odeszło aleją i nie zniknęło za zakrętem. Zaczął coś mówić, jakieś głupie, nic nie znaczące banały, które miały przynieść pocieszenie — słowa żałośnie niestosowne wobec bólu, jaki musiała odczuwać. Odezwała się tylko raz.

— Proszę mnie nie opuszczać.

To go wzruszyło. A więc komuś jednak był potrzebny. Mówił dalej; jego słowa może i nie miały znaczenia, lecz były lepsze od milczenia. Tak dotarli do Roscheimerów. Raz po raz jej dłoń zaciskała się na jego ramieniu. Czuł, że cieszy się z jego towarzystwa. Zdjęła rękę dopiero, kiedy dotarli do celu. Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę.

— Teraz zatańczę — powiedziała. — Niech pan się o mnie nie boi, przyjacielu. Zatańczę.

Odeszła szybko. Pana Satterthwaite'a pochwyliła w swe szpony obsypana diamentami lady Roscheimer, lamentując głośno. Po chwili przekazała go Claude'owi Wickamowi.

— Ruina! Kompletna ruina! Zawsze przytrafiają mi się takie rzeczy. Ci wieśniacy sądzą, że potrafią tańczyć. Nawet nie skonsultowano się ze mną... — Mówił dalej, bez końca. Znalazł współczującego słuchacza, kogoś, kto go rozumiał. Rozczulił się nad samym sobą. Przerwał dopiero na pierwsze dźwięki muzyki.

Pan Satterthwaite ocknął się z zamyślenia. Znow stał się uważnym krytykiem. Wickam był nieprawdopodobnym osłem, ale potrafił komponować muzykę: delikatną, nieuchwytną jak pajęczyna, choć pozbawioną przesłodzonych akcentów.

Scenografia była dobra. Lady Roscheimer nie szczędziła wydatków, kiedy chodziło o jej protegowanego. Polanka w Arkadii z efektami świetlnymi, które nadawały scenie właściwą atmosferę nierealności.

Dwie tańczące od niepamiętnych czasów postacie. Smukły Arlekin z maską na twarzy i magiczną różdżką błyszczącą w świetle księżyca... Biała Kolombina, wirująca w piruecie jak odwieczne marzenie...

Pan Satterthwaite usiadł. Widział to już wcześniej. Tak, na pewno...

Przeniósł się duchem daleko od salonu lady Roscheimer. Znalazł się w muzeum berlińskim, obok statuetki nieśmiertelnej Kolombiny.

Arlekin i Kolombina kontynuowali taniec. Cały świat należał do nich...

Światło księżyca... i ludzka postać. Pierrot wędrujący przez las, śpiewający do księżyca. Pierrot, który ujrzał Kolombinę i nie może zaznać spokoju. Baśniowa para znika, lecz Kolombina ogląda się za siebie. Usłyszała pieśń ludzkiego serca.

Pierrot błąka się po lesie... wokół ciemność... jego głos milknie w oddali...

Wiejskie błonia, tańczą wiejskie dziewczęta, pierroci i pierretty. Jest wśród nich Molly. Żadna z niej tancerka, Anna Denman miała rację, ale jej głos jest świeży i melodyjny. Śpiewa swoją piosenkę: „Pierretta tańczy na błoniach”.

Dobra melodia — pomyślał z uznaniem pan Satterthwaite. Wickam potrafił zniżyć się do napisania melodii, kiedy była potrzebna. Taniec większości wiejskich dziewcząt przyprawiał go o dreszcze, lecz rozumiał, iż lady Roscheimer była zdecydowana w swojej działalności filantropijnej.

Zmuszają Pierrota, by przyłączył się do kręgu. Odmawia. Wędruje dalej z pobladłą twarzą — wieczny kochanek szukający swego ideału. Zapada wieczór. Arlekin i Kolombina, niewidzialni, tańczą w nieświadomym ich obecności tłumie. Błonia pustoszeją, tylko znużony Pierrot zasypia na trawiastym brzegu rzeki. Arlekin i Kolombina tańczą wokół niego. Pierrot budzi się i widzi Kolombinę. Uwodzi ją na próżno, błaga, zaklina...

Przystaje, niepewna. Arlekin nakłania ją do odejścia. Lecz ona już go nie dostrzega. Słucha Pierrota, który ponownie śpiewa pieśń miłości. Rzuca się w jego ramiona. Kurtyna opada.

Drugi akt zaczyna się w chacie Pierrota. Kolombina siedzi przy palenisku. Jest blada, zmęczona. Nasłuchuje... lecz czego? Pierrot śpiewa dla niej, prosi, by znów myślała o nim. Ściemnia się. Rozlega się grzmot... Kolombina odkłada wrzeciono. Jest niespokojna. Nie słucha już Pierrota. W powietrzu brzmi jej własna muzyka, muzyka Arlekina i Kolombiny... Budzi się. Przypomina sobie.

Uderzenie pioruna! W drzwiach staje Arlekin. Pierrot nie może go zobaczyć, lecz Kolombina zrywa się z radosnym śmiechem. Nadbiegają dzieci — odpycha je. Przy następnym grzmocie rozpadają się ściany i Kolombina wybiega roztańczona w dziką noc razem z Arlekinem.

Ciemność, melodia Pierretty. Powoli się rozwidnia. Znów chata. Pierrot i Pierretta zestarzelili się, posiwili; siedzą przy ogniu w fotelach. Muzyka jest wesoła, choć stłumiona. Pierretta kiwa głową. Przez okno wpada blask księżyca, a wraz z nim motyw zapomnianej dawno temu piosenki Pierrota. On kręci się niespokojnie w fotelu.

Delikatna muzyka... baśniowa muzyka... Na zewnątrz Arlekin i Kolombina. Drzwi otwierają się gwałtownie i Kolombina tanecznym krokiem wchodzi do środka. Pochyliła się nad śpiącym Pierrotem, całuje go w usta...

Huk grzmotu! Znów znalazła się na zewnątrz. Pośrodku sceny widać oświetlone okno, a za nim sylwetki Arlekina i Kolombiny, oddalające się w tańcu, coraz mniej widoczne...

Spada polano. Pierretta podskakuje zdenerwowana, biegnie do okna i zaciąga zasłonę. Tak się to

kończy — nagłym dysonansem.

Pan Satterthwaite siedział nieruchomo, kiedy publiczność zaczęła bić brawo i krzyżeć z zachwytem. Wreszcie podniósł się i wyszedł z sali. Podeszedł do Molly Stanwell, która przyjmowała pochwały, zarumieniona i podekscytowana. Dostrzegł Johna Denmana, jak łokciami przebija się przez tłum, z blaskiem w oczach. Molly skierowała się ku niemu, lecz on, niemal nieświadomie, odsunął ją. To nie jej szukał.

— Moja żona? Gdzie jest moja żona?

— Zdaje się, że wyszła do ogrodu.

Jednak to pan Satterthwaite odnalazł ją pierwszy. Siedziała na kamiennej ławce pod cyprysem. Kiedy zbliżył się do niej, uczynił rzecz dziwną. Ukląkł i podniósł jej dłoń do ust.

— Ach! — powiedziała. — Myśli pan, że dobrze tańczyłam?

— Tańczyła pani... tak samo jak zawsze, madame Kharsanova.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Więc... odgadł pan.

— Jest tylko jedna Kharsanova. Nikt nie mógłby zobaczyć, jak pani tańczy, i zapomnieć. Lecz dlaczego? Dlaczego?

— A co innego mogłam zrobić?

— To znaczy?

Zawsze mówiła prosto i równie prosto odpowiedziała mu teraz.

— Ależ pan to rozumie. Jest pan człowiekiem światowym. Wielka baletnica może mieć kochanków, lecz mąż to coś innego. A on... on nie zgadzał się na innych. Chciał, bym należała do niego tak... tak jak nigdy nie mogłaby należeć do nikogo Kharsanova.

— Rozumiem — powiedział pan Satterthwaite. — Rozumiem. Więc pani rzuciła taniec?

Skinęła głową.

— Musiała go pani bardzo kochać — stwierdził łagodnie pan Satterthwaite.

— Żeby się, tak poświęcić? — roześmiała się.

— Nie całkiem. Żeby zrobić to z tak lekkim sercem.

— A, tak... może... ma pan rację.

— A teraz? — spytał pan Satterthwaite. Spoważniała.

— Teraz? — Umilkła, a po chwili rzuciła głośniejszą, w ciemność:

— To pan, Sergiuszu Iwanowiczu?

W świetle księżyca pojawił się książę Oranoff. Wziął ją za rękę i nieświadomie uśmiechnął się do pana Satterthwaite'a.

— Dziesięć lat temu obchodziłem żałobę po Annie Kharsanovej — powiedział po prostu. — Była częścią mnie. Dziś ponownie ją odnalazłem. Nigdy się już nie rozstaniemy.

— Na końcu alei, za dziesięć minut — powiedziała Anna. — Nie zawiodę cię.

Oranoff skinął głową i odszedł. Tancerka zwróciła się do pana Satterthwaite'a. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

— Cóż, nie jest pan zadowolony, mój przyjacielu?

— Czy wie pani — zaczął gwałtownie pan Satterthwaite — że mąż pani szukał?

Dostrzegł, jak jej twarz drgnęła, lecz głos pozostał i spokojny.

— Tak — odparła poważnie. — To możliwe.

— Widziałem jego oczy. One... — urwał raptownie.

Zachowała spokój.

— Tak, być może. Przez godzinę. Godzina może być magiczna, zrodzona ze wspomnień przeszłości, z muzyki, ze światła księżyca... lecz minie.

— Więc nie mogę pani przekonać? — Czuł się stary, i przygnębiony.

— Przez dziesięć lat żyłam z człowiekiem, którego kocham — mówiła Anna Kharsanova. — Teraz odchodzę do tego, który od dziesięciu lat kocha mnie. i Pan Satterthwaite nie odezwał się. Nie został mu i już żaden argument. Poza tym to rzeczywiście wydawało się najprostszym rozwiązaniem. Tylko... tylko nie takiego rozwiązania pragnął. Poczuł jej rękę na ramieniu.

— Wiem, przyjacielu, wiem. Jednak nie ma trzeciego wyjścia. Zawsze szukamy jednego: kochanka, idealnego, wiecznego kochanka. Słyszemy muzykę Arlekina. Nie zadowoli nas żaden ziemski kochanek, gdyż wszyscy są śmiertelni. A Arlekin jest tylko mitem, niewidzialnym... chyba że...

— Tak. Tak?

— Chyba że... jego imię brzmi... Śmierć!

Pan Satterthwaite zadrżał. Odeszła od niego, pochłonęły ją ciemności...

Nie wiedział, jak długo tam siedział, lecz raptownie podskoczył z wrażeniem, że marnuje cenny czas. Ruszył pośpiesznie, pchany w określonym kierunku, niemal wbrew woli.

Kiedy dotarł do alei, ogarnęło go dziwne uczucie nierealności. Magia... magia i światło księżyca. I dwie zbliżające się do niego postacie...

Oranoff w stroju Arlekina. Tak najpierw pomyślał. Potem, kiedy go minęli, zrozumiał swoją pomyłkę. Ta smukła, gibka postać mogła należeć tylko do jednej osoby: do pana Quina...

Poszli aleją, lekko, jakby płynęli w powietrzu. Pan Quin obrócił głowę i obejrzał się, a pan Satterthwaite przeżył szok, gdyż nie była to twarz pana Quina, jaką znał do tej pory. To była obca twarz... choć nie, nie całkiem obca. Ach! Wiedział już: to była twarz Johna Denmana, takiego, jakim był, zanim życie ułożyło mu się zbyt wygodnie. Żywa. żadna przygód twarz chłopca i kochanka...

Dobiegł go jej śmiech, czysty i szczęśliwy... Patrzył za nimi i dostrzegł w oddali światła chatki. Stał jak człowiek pogrążony we śnie.

Obudzono go brutalnie. Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i spojrzał w twarz Sergiusza Oranoffa. Mężczyzna był blady, zaniepokojony.

— Gdzie ona jest? Gdzie jest? Obiecała, a jednak nie przyszła.

— Madame właśnie poszła w dół alei. Sama. Powiedziała to służąca pani Denman, stojąca w cieniu bramy za nimi. Czekala z okryciem swej pani.

— Stałam tu i widziałam, jak przechodzi — dodała. Pan Satterthwaite rzucił ostro:

— Sama? Powiedziałaś: sama? Pokojówka rozszerzyła w zdumieniu oczy.

— Tak, proszę pana. Nie widział jej pan?

Pan Satterthwaite schwycił kurczowo Oranoffa.

— Szybko — rzucił. — Ja... ja się boję.

Poszli razem aleją. Rosjanin mówił szybko, bezładnie.

— To cudowne stworzenie. Ależ zatańczyła dzisiaj. I ten pański przyjaciel. Kto to jest? Wspaniały tancerz. Wyjątkowy! Dawno temu, kiedy tańczyła Kolombinę Rimskiego-Korsakowa, nigdy nie znalazła idealnego Arlekina. Mordoff, Kassnine — żaden z nich nie był doskonały. Miała taką swoją fantazję. Kiedyś mi o tym powiedziała. Zawsze tańczyła z wyśnionym Arlekinem, który naprawdę nie istniał. Tańczył z nią prawdziwy Arlekin, tak mówiła. To dzięki tej fantazji stawała się tak cudowną Kolombiną.

Pan Satterthwaite skinął głową. Ale myślał tylko o jednym.

— Szybciej — rzucił. — Musimy zdążyć na czas. Och! Musimy zdążyć.

Minęli ostatni zakręt i podeszli do głębokiego dołu, w którym leżało coś, czego nie było tam przedtem: ciało kobiety w cudownej pozie, z ramionami rozrzuconymi szeroko i głową odrzuconą w tył. Martwa twarz, martwe ciało, triumfujące i piękne w blasku księżyca.

Pan Satterthwaite mgliście przypomniał sobie pewne słowa. Były to słowa pana Quina: „wspaniałe skarby na śmietniku...” Teraz je rozumiał.

Oranoff wyrzucał z siebie urywane zdania. Po jego twarzy płynęły łzy.

— Kochałem ją. Zawsze ją kochałem. — Użył niemal tych samych słów, które trochę wcześniej tego dnia przyszły na myśl panu Satterthwaite'owi. — Należeliśmy do tego samego świata, ona i ja. Mieliśmy te same myśli, te same marzenia. Zawsze bym ją kochał...

— Skąd pan wie?

Rosjanin spojrzał na niego, zaskoczony irytacją w jego głosie.

— Skąd pan to wie? — ciągnął pan Satterthwaite. — Tak myślą wszyscy zakochani, to właśnie mówią... Ale jest tylko jeden kochanek...

Odwrócił się i niemal wpadł na pana Quina. Wzburzony chwycił go za ramię i odciągnął na bok.

— To pan! — zawołał. — To pan był z nią przed chwilą.

Pan Quin odczekał moment, po czym odparł łagodnie:

— Może pan i tak to ująć, jeśli pan chce.

— A pokojówka nie widziała pana?

— Nie widziała.

— Ale ja widziałem. Dlaczego?

— Może z powodu ceny, którą pan zapłacił, widzi pan rzeczy, których inni nie dostrzegają.

Pan Satterthwaite patrzył na niego przez chwilę, nie rozumiejąc. Potem nagle zaczął drzeć jak liść osiki.

— Co to za miejsce? — wyszeptał. — Co to za miejsce?

— Mówiłem już panu wcześniej. To moja aleja.

— Aleja Zakochanych — mruknął pan Satterthwaite. — Wędrują nią zwykli ludzie.

— Większość, wcześniej czy później.

— A na jej końcu... co znajdują na końcu?

Pan Quin uśmiechnął się. Jego głos brzmiał bardzo łagodnie. Wskazał na zrujnowaną chatkę powyżej.

— Dom swoich marzeń... albo wysypisko śmieci. Kto to może wiedzieć?

Pan Satterthwaite spojrział na niego. Ogarnął go nagły bunt. Poczł się oszukany, zdradzony.

— Ale ja... — głos mu drżał. — Ja nigdy nie poszedłem pańską aleją.

— Żałuje pan?

Pan Satterthwaite zląkł się. Zdało mu się, że sylwetka pana Quina rośnie do ogromnych rozmiarów... Miał wrażenie czegoś złowieszczonego, groźnego... Radość, smutek, rozpacz.

I jego wygodna duszyczka skurczyła się, przestraszona.

— Żałuje pan? — powtórzył pan Quin. Było w nim coś przerażającego.

— Nie — wyjąkał pan Satterthwaite. — Nie... I nagle otrząsnął się.

— Ale widzę różne rzeczy — zawołał. — Może jestem tylko obserwatorem życia, ale dostrzegam to, czego inni nie widzą. Sam pan to powiedział, panie Quin.

Lecz pan Quin już zniknął.